



MASZ- KARON

PATRYCJA PUSTKOWIAK

Marianna to dziewczyna brzydka, niesympatyczna – i wcale za to nie przeprosza. I dlatego właśnie ją lubię. Świetnie napisana, świeża i zabawna powieść, która może bardzo zaboлеć.

OLGA WRÓBEL, KURZOJADY

PROZA
PL

Patrycja Pustkowiak

Maszkaron

znak *littera
nova*

KRAKÓW 2018

W serii Proza PL ukazały się:

Sylwia Chutnik, *Jolanta*

Sylwia Chutnik, *W krainie czarów*

Anna Cieplak, *Lata powyżej zera*

Jacek Dehnel, *Krivoklat*

Zośka Papużanka, *On*

Zośka Papużanka, *Świat dla ciebie zrobiłem*

Zofia Posmysz, *Wakacje nad Adriatykiem*

Żanna Słoniowska, *Dom z witrażem*

Magdalena Tulli, *Szum*

Magdalena Tulli, *Włoskie szpilki*

Michał Witkowski, *Fynf und cfancyś*

Michał Witkowski, *Margot*

Michał Witkowski, *Wymazane*

Więcej na:

www.seriaproza.pl

Część I

I

Zacząłam umierać we wtorek, pierwszego listopada, kilka minut po dwudziestej. Z biologicznego punktu widzenia byłam zdrową trzydziestopięciolatką; nie od razu więc zorientowałam się, że to ona, ta cała śmierć i jej podchody – nie byłam biegłą w jej przewrotnych sztuczkach. Wysypka nie jest przecież czymś śmiertcionośnym i nawet ta nietypowa, wyskakująca czerwonymi koloniami na całym ciele, nie powinna przecież wzbudzać aż takich strasznych podejrzeń. Z początku byłam więc nawet rozbawiona, drapałam się zawzięcie po rękach, nogach i brzuchu, próbując na czas dostarczyć dłonie we wszystkie swędzące miejsca. Mogę określić to tylko w jeden sposób: Syzyfowa praca.

Kiedy wysypka dotarła w okolice twarzy, a moje serce zniemacka przyspieszyło rytm i zaraz zaczęło walić jak po wielogodzinnym biegu, przestraszyłam się nie na żarty. Próbowałam wstać z łóżka, ale coś, jakby niewidzialna ręka, stanowczo pchnęło mnie tam z powrotem, a przy kolejnej próbie starcia rzuciło pod ścianę, jakbym była opętana, jakbym natychmiast potrzebowała egzorcysty. Zacząłam mieć problemy z oddychaniem – powietrze, to dobro uchodzące za powszechne, stało się nagle ekskluzywne, łapałam je gorączkowymi haustami i, nie wiedzieć czemu, traciłam też wzrok.

Przypomniałam sobie, że widziałam raz w telewizji, jak robi się potrawy z żywych jeszcze ryb, rzuconych na rozgrzaną patelnię. Niemiłosiernie podskakiwały na gorącym tłuszczu, ewidentnie nie chciały umierać, prawdopodobnie wierzyły, że uda im się wydostać z pułapki. Nie miały

świadomości, że są już w połowie rozcięte, a ich szanse na cokolwiek przedstawiają się raczej marnie. Czułam się teraz podobnie. W swoich żalonych wysiłkach utrzymania się przy życiu przypominałam te ryby; też byłam rzucona na gorącą patelnię własnego pokoju i męczyłam się w drgawkach. Wszystko zdawało mi się obce i nieosiągalne – sofa, której nie widać, łóżko, do którego nie można podejść o własnych siłach, okno, którego nie da się otworzyć, by wpuścić do środka trochę nieistniejącego jakby powietrza.

– Co jest, co jest?! Ratunku! – wycharczałam, Bóg wie do kogo, bo nikogo nie było przecież w pobliżu, mieszkałam sama – trzydzieści metrów kwadratowych pustej, wynajętej na rok przestrzeni, w której teraz konałam bez żadnej asysty.

Mój stan pogarszał się z minuty na minutę. Przed chwilą jeszcze coś widziałam, teraz zaczęłam już całkiem ślepnąć i tracić równowagę. Przypomniał mi się jakiś letni obóz sprzed lat, na którym podstępem mnie upito („Jak można upić kogoś podstępem?” – pytano mnie później, z nutą nieufności. „Sama zachodzę w głowę. Mówili, że to fasolka po bretońsku” – odpowiadałam twardo, wzruszając ramionami), i kiedy doczołgałam się do namiotu, to przez to wyblakłe płótno, płótno koloru słoneczników po długiej ulewie, widziałam tylko migotliwe żółte plamki, a cały świat wirował mi przed oczami, rozmywał się i uciekał. Teraz było podobnie.

Niewiele więcej już mogłam pomyśleć, bo na chwilę chyba straciłam przytomność, a głowa opadła mi nagle całkiem bezwiednie na drewnianą poręcz sofy, jakby już do mnie nie należała. Kiedy otworzyłam oczy, byłam kompletnie zdezorientowana, leżałam gdzieś w okolicach tej sofy, jakbym była jej odrąbaną nogą, sama się czułam jak czyjaś odrąbana noga, po chwili jednak ustaliłam, że mimo wszystko wciąż jestem w jednym kawałku, zatem wstałam, z trudem i chybotliwie jak ledwo co narodzona sarna, i na własnych, choć obcych zarazem, bo niemiłosiernie się trzęsących nogach, dotarłam do łazienki. To był zdecydowanie jeden z moich najgorszych

pomysłów, innych niż złe zresztą nie miewałam. Przejrzałam się w lustrze i Bóg mi świadkiem, gdybym była bazyliżką, na miejscu padłabym martwa.

Wyglądałam, jakbym brała udział w maratonie przez mokradła pełne komarów i właśnie teraz dotarła do mety, rozchyliła symboliczną bramę z tataraku i wyłoniła się zza niej, czerwona i zziębnięta, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami jak dopiero co wyciągnięty z wanny nieszczęsny wigilijny karp. Moja głowa przypominała dynię – była czerwona, napuchnięta, pękata i zdawało się, że tyka jak oszalały zegar. Z przerażeniem spojrzałam na swoje dłonie, puchnące w szalonym tempie, na palce, w które ktoś wytrwale pompował jakąś ponadprogramową treść, tak że po chwili przypominały parówki Morlinki, nie mogłam nimi ruszyć, nie mogłam ich zgiąć. Nagle to wszystko zdało mi się efektem jakiegoś makabrycznego eksperymentu – wyglądało na to, że ktoś po prostu przyszył do moich przegubów obce dłonie, napuchnięte dłonie topielca. Trzęsące się i również puchnące nogi odmawiały dźwignia reszty mnie, jakbym była ciężarem ponad ich siły, rozogniony korpus unosił się w górę i w dół, kiedy próbowałam oddychać, a tłuste i mokre od potu włosy przylegały do głowy jak czepek, przez co było mi jeszcze bardziej gorąco.

Całe moje czerwone, dyszące, panikujące ciało, ów nieodpowiedni skafander, w który na siłę mnie wtłoczono, było mi obce, jak było mi obce zawsze.

W tych kilku sekundach dzielących mnie od omdlenia, kiedy wbiłam wzrok w swoje odbicie w lustrze, w to coś rozpaczliwie łapiące powietrze, powiększone o trzy rozmiary, jakby odrażającej mnie było mi za mało i ktoś zmyślnie przemnożył mnie przez trzy, zesłał mi bonusowe sterty ohydztwa, w tę zatem amerykańską wersję mnie, do tego chyba dopiero co odcięta ze stryczka, na którym musiałam wisieć, tuż nad kanałem, pośród żerowisk gzów, dopadła mnie ponura refleksja: nie wiadomo, czy bardziej okropne było to, że umierałam, czy to, że w związku z tym drastycznym aktem

umierania nic a nic nie straciłam na urodzie.

II

Byłam brzydka. Byłam brzydka, jednak nie tym rodzajem brzydoty, który wywołuje współczucie, byłam brzydka tym rodzajem brzydoty, który wywołuje zdumienie i odrazę – gdyby nadziać mnie na kij i chodzić ze mną po ulicach, na pewno by się wyludniły. Byłam tak brzydka, że gdy wchodziłam do sklepu, ludzie rozglądali się wkoło, szukając planu tego niskobudżetowego horroru, z którego urwał się jeden ze statystów. Byłam tak brzydka, że gdyby z Sukiennic odpadł jakiś maskaron, do rekonstrukcji wystarczyłoby użyć mojej głowy.

Swoją piekielną twarzą, twarzą, którą został pobrany wymaz z piekła, obrażałam ludzkość. Nie tylko twarzą zresztą, nie było tak, że piekielna głowa została nadziana na niebiańskie ciało, przeciwnie – doskonale pasowała do marnej reszty. Moja twarz z ciemnym znamieniem na policzku, które wyglądało tak, jakby jakiś złośliwiec przybił tam pieczętkę, z oczami jak dwie zabarwione na niebiesko piłki pingpongowe wbite niewprawną dłonią w kawałek wysuszonego ciasta, ustami jak dwie dżdżownice, uszami gacka – wielkimi i odstającymi, uszami, którymi mogłabym wachlować całe zastępy spoconych plażowiczów na wszystkich, nawet najogromniejszych plażach, z włosami nędznymi jak stara wyliniała słomianka, wreszcie z tym idealnym małym noskiem, osadzonym w mojej twarzy chyba w ramach dowcipu, niczym karnawałowa czapeczka na głowie skazańca, godziła w ludzki majestat. Wszystko to zatknięte było na braku szyi – nawet gdyby moja głowa stanowić miała cenne trofeum z jakiejś walki nieludzkich plemion, niesiona na szyi jak na palu, to i tak rozczarowywała swoją podstawą; słupek, na który była nabita, bawił.

Głowa wraz z brakiem szyi wieńczyła ciało nieforemne, chybotające się jak stary namiot rozpięty na chudych niezgrabnych nogach. Ramiona moje były proste, męskie, usztywnione, jakby ktoś zainstalował mi pod ubraniem krzyż i mnie na nim osadził. Ów niby niewinny żart natury doskonale oddawał mój rzeczywisty stan – byłam męczennicą wiszącą na krzyżu własnego ciała. Byłam męczennicą, lecz z pewnością nie pańską. Nie miałam pana, nikt nigdy nie wziął mnie w posiadanie. Mimo ukończonych trzydziestu pięciu lat byłam dziewiczą jak nietknięta ludzką stopą dżungla. Wzrastałam w swojej demonicznej bujności, jakbym była z czarciego ziarna, rzuconego na ludzką ziemię nonszalanckim gestem, na zmarnowanie. Kiedyś, na jakiejś ilustracji, a może po prostu w internecie, zobaczyłam go – sławetnego maskarona, zawieszzonego gdzieś ponad miastem, samotnego w swej nieludzkiej odrębności. Maskarona, który z dachu jakiegoś budynku tęsknym, ale i złowrogim wzrokiem obejmował całą odległą, niedostępną resztę, do której mocą własnej brzydoty nijak nie mógł przynależeć. Ze mną było tak samo.

III

Mówią, że gdy umierasz, przed oczami przemyka ci całe życie, i to może być prawda. Nagle to zobaczyłam – całe moje życie: ciemny pusty tunel, przez który czołgam się jak kulawy szczur. Najpierw zaczynam się rodzić – forsuję głową kanał rodny mojej matki, by wyjść na świat w tym samym roku, w którym – już za kilka miesięcy – zacznie się stan wojenny, na ulicach pojawi się krew, taka sama, w jaką teraz wpadam, ta, której wszędzie pełno, wyslizguję się ze swojej matki w kałużę krwi, pępowina zostaje odcięta, zaczynam się drzeć wniebogłosey. Myją mnie, leci na mnie woda, podobnie jak za niespełna pół roku polecą gdzieś tam, za oknami, na demonstrantów. Położna unosi mnie wysoko. Jestem.

Nie byłam szczęśliwym dzieckiem. Uświadomiłam sobie to pewnego dnia na rodzinnych wakacjach. Świetlista ławica rybek płynęła mi pod stopami. Unosiłam się na wodzie w dmuchanym kole. Nie pamiętam, gdzie to było, ale na pewno nad jakimś zalewem. Miałam kilka lat i mój ojciec zarządził lekcję pływania. Wsadził mnie w dmuchane koło ratunkowe i wysłał samotnie na jezioro – on i mama zostali na brzegu; właściwie kiedy później o tym pomyślałam, zastanawiałam się, czy nie chcieli przypadkiem mnie utopić; to był już ten wiek, w którym szpetota zaczyna malować się na twarzy niczym mroźne kwiaty na zimowych szybach. Coraz bardziej oddalałam się od brzegu, w objęciach dmuchanego koła, a oni stali tam, daleko, prześwieceni słońcem, ich miny wyrażały coś nieodgadnionego.

Pamiętam, jak dryfowałam na powierzchni, trochę mimo woli, trochę na siłę, z wymuszoną radością, jakbym chciała pokazać innym, że potrafię –

z dzisiejszej perspektywy muszę stwierdzić, że stanowiło to doskonałą lekcję życia. W pewnym momencie, kiedy woda poniosła mnie już daleko, tak że płynęłam przez tę bezkresną toń jak zapomniany nenufar, pomyślałam – choć teraz wydaje mi się niewiarygodne, że mogłam na to wpaść jako dziecko – że wystarczy podnieść ręce, żeby oszukać to dmuchane koło, wysunąć się z jego fałszywych objęć, zostawić to, co na brzegu, bo w sumie i tak nigdy nie będę umiała na niego wyjść, nieudany owoc ewolucji. Pomyślałam więc, że osunę się w dół, w to jezioro, i pozwolę, by objęły mnie niewzruszone kręgi granatowej mętnej wody.

Patrzyłam na rodziców stojących na brzegu, machających do mnie, obok nich, jak statyści na planie, cały czas przechodzili ludzie, słońce nieubłaganie padało na nich wszystkich, przecinało brzozy zagajnik, nad brzegiem jeziora stał sprzedawca i wychylając głowę z drewnianej budy, krzyczał: „ryby, świeże ryby!”, ktoś kupował lody i wciskał je w rączki rozentuzjasmowanych dzieci. Jedno z nich trzymało czerwony balonik, który poszybował w górę, wiatr walczył z parawanem w niebiesko-białe paski rozstawionym na gorącym piasku, za nim skrywała się para dobrze zbudowanych młodych ludzi wystawiających twarze do słońca, wyglądali jak posągi przodowników pracy.

Dzieliło mnie od nich wszystkich kilkanaście metrów i dzieliło mnie od nich zarazem coś niewypowiedzianego. Koło ratunkowe trzymało mnie jak niepewna dłoń. Poda mną była toń jeziora; wystarczyło przesunąć ręce w górę. Patrzyłam na nich, słońce przechodziło znad drewnianego dachu budy w dal, powoli mijało brzozy zagajnik. Tysiące świetlnych punkcików migotało na wodzie, jakby ta była nocnym cmentarzyskiem; w oddali przepłynęła łódź.

Kiedy znów zaczęłam powoli ruszać nogami w wodzie, koło wraz ze mną popłynęło w kierunku brzegu. Patrzyłam w twarze stojących tam rodziców – miałam wrażenie, że przyglądają mi się z wymuszoną, fałszywą radością, taką samą, jaka miała być i moim, niesprawnego pływaka,

udziałem. Wydawało mi się, że w ich twarzach jest jakaś bezsilność wobec mocy tego koła, które mimo wszystko, rozpaczliwie, utrzymywało mnie na powierzchni. Wyłowili mnie z jeziora trochę niechętnie, a trochę z nadzieją – jak oblepione mułem znalezisko, które, pozornie brzydkie, może kryć w sobie coś niezwykłego. Potem nie byłam już tego wszystkiego pewna.

Kiedy już jako dorosła osoba wspominałam tę chwilę, gdy wracaliśmy razem do obozowiska, ja w środku, uczeplona ich rąk, wydawało mi się, że to wszystko, tę całą niechęć, musiałam sobie wymyślić – że jesteśmy taką dobrą rodziną. I nasze życie jest takie dobre, zwyczajne – takie samo jak to, którego nigdy nie będę miała.

Kolejne wydarzenia tylko potwierdzały moje przypuszczenia. Dzieciństwo na krakowskim osiedlu. Las bloków przede mną jak wrogie wojska. Strach, z jakim pokonywałam kolejne ulice. Dzikie dzieci w kapeluszach z łopianu – sfera, której robiłam za przynętę. Bloki – katownia szcurków i moja katownia, obawa przed zejściem pod schody, do piwnicy, choćby po to, żeby przynieść dla mamy słoje kiszonych ogórków.

To samo przez całą szkołę podstawową: tańce w parach, do których nie miałam pary, karuzele koloru lizaków obracające się żwawo wyłącznie dla innych, dla mnie zawsze zajęte, poranna degustacja mleka i radość, jaką wzbudzałam, niezdarnie je chłopcując, dławiąc się wstrętnym kozuchem, WF – synonim niechybnej kompromitacji, piłki uderzające mnie w twarz, jakby sterował nimi demon, śmiech dzieci wybuchający regularnie, jak podkład w sitcomach, problemy z pamięcią, kiedykolwiek zostawałam wywołana do odpowiedzi.

– Pokraka! Złamas! Muflon!

Gdy wracałam ze szkoły do domu, przez sad, który wyrósł na krakowskim osiedlu, wśród bloków, słowa moich pobratymców trafiały we mnie jak celne razy. Oni, moi rówieśnicy, władcy fauny tego regionu, czatowali na mnie na najlepiej dobranych, strategicznych pozycjach

i patrzyli na mnie tak, jakbym na czole miała narysowaną tarczę. Ja – ich ofiara, w którą zawsze mogli wymierzyć pokrzywione proce i luki niewprawnie sklecone z gałęzi. Zawsze trafiali.

Jeśli w miejscowym sadzie rosły jakieś owoce, rachityczne wiśnie, drobne mirabelki, już zaraz nie rosły – rozpryskiwały się na mojej twarzy. Co ciekawe, zawarte w nich kwasy AHA zawodziły – mimo wieloletniego traktowania mojej cery wszystkimi owocami z okolicy ta dalej przypominała fakturę i kolorem powierzchnię Księżyca. Osiedle było dla mnie jak gigantyczna strzelnica, jak gra komputerowa, w której byłam wiecznym celem, tyleż usilnie, co bezskutecznie próbującym wymknąć się wszystkim czyhającym na niego wrogom.

Siedziałam sama w oślej ławce. Najczęściej podczas lekcji uciekałam wzrokiem za okno – obserwowałam wędrówkę słońca po okolicznych drzewach, szkolnym boisku, wieżowcach na horyzoncie. Czasem odrobinie słońca udawało się zaplątać w mój granatowy chałat z wiecznie odpruwającą się tarczą.

Patrzyłam na koleżanki wychodzące parami na lekcje, chichoczące po kątach, grające w tajemne gry, których zasady pozostawały dla mnie niejasne. Było tak, jakby wszyscy wkoło należeli do jakiegoś sekretnego bractwa, do którego ja nie mogłam wstąpić.

I pewnego dnia, nie wiem, jak to się stało, wpadłam na ten szatański pomysł. Jakby na głowie usiadło mi stado czarnych owadów i wszystko mi podyktowało. Stałam przed moimi szkolnymi kolegami na zalanym słońcem boisku, gdzie siedzieli zgromadzeni jak przed ważną naradą, i mimo że generalnie miałam problem z mówieniem czegokolwiek na głos, powiedziałam:

– Hej, wiecie co? Rozmnożyły mi się papużki. – Jakby ktoś przeze mnie przemówił, doskonale rozumiem dziś opętanych. – Moje papużki faliste mają dzieci, chcecie je zobaczyć? Mogę wam dać po jednej.

Nigdy nie widziałam takiego zainteresowania na twarzach innych.

Słuchali mnie, jakbym była guru ich sekty.

– Tak, chcemy, daj mi, nie, mnie daj! Daj, daj! Jakiego są koloru? –

W moim kierunku posypał się grad pytań. Atencja rówieśników spowodowała, że aż straciłam oddech. Otrzymałam kilka propozycji siedzenia z kimś w ławce, spotkania się po lekcjach, ba, nawet wspólnego wążania kleju w sobotę.

Moja zaskakująca popularność trwała równo trzy dni. Po tym czasie zaczęły do nas przychodzić matki ze swoimi dziećmi, niektóre z nich miały nawet przy sobie w pełni wyposażone klatki dla ptaków.

– My po papużki – mówiły.

– Jakie, kurwa, papużki? – pytała moja matka. Za jej rządów w domu do żadnych papużek by nie doszło! Miała alergię – zresztą na wszystko, łącznie ze sobą samą.

Następnego dnia, kiedy wkroczyłam do klasy, patrzono na mnie tak, jak patrzy się na skazanych na śmierć okrutników. *Dead men walking*. Dzieci w milczeniu rozstępowały się przede mną, gdy szłam do swojej ławki – ostatniej w rzędzie, tej, w której znów nikt nie siedział. Śliwki i wiśnie zaczęły od tej pory lecieć w moim kierunku z jeszcze większą mocą.

Kiedyś pod szkołą podstawową znalazłam żabę. Siedziała w dole, który ktoś wykopał, zacienionym, skrytym przed ludzkim wzrokiem, jakby na poziomie minus jeden względem poziomu ziemi. Pomyślałam, że chciałabym być na jej miejscu.

IV

Potem wkroczyłam w wiek nastoletni. Moje ciało zaczęło się rozrastać i wydzielać soki, jakbym była jakimś rodzajem rośliny. Wstydziłam się go. Umykałam przed ludzkim wzrokiem jak dzikie zwierzę. Kiedy rodzice przyjmowali w domu gości, robiłam wszystko, żeby na nich nie wpaść. Gdyby do tego doszło, mogliby sobie pomyśleć, że zorganizowano tutaj chybioną edycję kulinarnego święta konsumpcji ludziny – chybioną, gdyż ta ostatnia uciekła z rożna i teraz, nieznacznie tylko naderwana, symbolicznie okopcona i niezobowiązująco poszarpana, przechadza się po kuchni, przecząc, że jest żywnością, i podszywając się pod zwykłego człowieka tak skutecznie, że niektórzy padli nawet tej mistyfikacji ofiarą. Staralam się ukrywać nawet przed rodzicami. Jak tylko chciałam wziąć kąpiel, barykadowałam się najpierw w łazience, bo byłam pewna, że kiedy baczniej mi się przyjrzą, pomyślą, że oto poszły rury i sam potwór z Loch Ness wpłynął w przestwór żeliwnej wanny, a teraz tapła się w niej, pomrukując z lubością, rozgarniając odporne masywy wody płetwami, które do złudzenia przypominają wadliwe ręce.

To obce ciało chciało mną rządzić. Coraz częściej wołało o to, co do tej pory widziałam jedynie na starych pornosach puszcanych ukradkiem z kaset wideo. Desperacko szukałam rozwiązania. Myślałam nawet o długich białych świecach, które matka trzymała w szufladzie zielonej meblościanki na wypadek, gdyby w bloku wyłączono prąd. Jako że nader rzadko się to działo, były długie, gładkie, gotowe do akcji. Tak naprawdę ciągle jednak zastanawiałam się, jak to wszystko może wyglądać z udziałem drugiego człowieka. Szczególnie wtedy, gdy patrzyłam na moje koleżanki – a te

wkroczyły właśnie w wiek pełen rozchichotania i ściśle tajnych rozmów przeprowadzanych w szkolnych szatniach, do których mnie, jak zwykle, nie dopuszczano.

Mogły wszystko – ich ciała były gorącym towarem przekazywanym z rąk do rąk, podczas gdy moje miało status meduzy – dryfowało w czarnym morzu moich niespełnionych potrzeb, a inni, ci, którzy mogliby po nie sięgnąć, trzymali się od niego z daleka, bali się nawet na nie nadebrać, jakby rzeczywiście groziło to poparzeniem. Niezależnie od tego, jak je eksponowałam, jak bardzo starałam się uczynić je atrakcyjnym, wciąż było tym samym – dynią na Halloween, jednocześnie strasznym i zabawnym eksponatem, którego nikt nie chciałby mieć na stałe w domu. Przypominałam ofertę wyjazdu do krajów arabskich dzień po zamachu terrorystycznym – nikt nie chciał ze mnie skorzystać.

Choć byłam nastolatką i dysponowałam jakimś kapitałem – młodością – i tak nie mogłam sobą nic ugrać. Nawet młodość nie była wystarczająco mocną kartą. We wszystkich próbach osiągnięcia czegoś na polu relacji damsko– męskich kończyłam zawsze jako żałosny klaun mający w ofercie kilka marnych trików, mim z przyklejonym do twarzy uśmiechem skrywającym rozpacz. Kiedy wszyscy potencjalni kandydaci do złapania się na moje kulawe, podpatrzone u innych, u mnie zupełnie niedziałające sztuczki rozchodzili się do domów, opuszczali miejsca, w których ze mną byli – a z roku na rok, wraz z kończeniem kolejnych szkół, liczba tych miejsc się kurczyła – zostawałam sama, a na moim niedotykanym przez nikogo ciele osiadał kurz z nagle opustoszałych, jeszcze niedawno tętniących życiem kątów. Coraz bardziej przypominałam żałosny zapomniany posąg. Byłam przegrana, a cisza zapadająca zawsze po zgromadzeniach, w których brałam udział, napełniona żalną nadzieją, była najodpowiedniejszą dla mnie muzyką: muzyką przegranych.

Jeden jedyny raz udało mi się doprowadzić do spotkania o tak zwanym charakterze. Nie wiem już teraz, jak to się stało, może mocą regularnie

zapadającej na świecie ciemności lub nader częściej w młodości konsumpcji używek. W każdym razie pewnego dnia znalazłam się w mieszkaniu mojego kolegi ze szkoły.

– Czego słuchasz? – zapytał.

– Trochę New Kids on the Block, trochę Roxette – odpowiedziałam. Tylko te dwie kasety miałam w domu.

– Chcesz browara?

Nie czekając na odpowiedź, wcisnął mi w rękę puszkę. Przed chwilą już jedną wypiałam – a trzeba pamiętać, że dzięki jednej puszcze wtedy w zażyłości z alkoholem osiągnęłam współczesny poziom Keitha Richardsa. Rozglądałam się wkoło chwiejnym wzrokiem – nie wiedziałam, czy to pokój czy złudzenie optyczne. Co ustaliłam: wieża z kolumnami, tapczan, plakat New Kidsów – super, chyba, mimo stresu, udało mi się wstrzelić z odpowiedzią.

– Wczoraj zajebaliśmy kota – rzucił niby od niechcienia. – Płatał się po polu, to żeśmy go kamieniami. Nieźle go rozjebało.

– Spoko – rzuciłam tylko, jak sądziłam, na luzie.

– W twojej piwnicy też są szczury? – zapytał. – U nas są. Wielkie skurwysyny. – Przyglądał mi się dłuższą chwilę i między jednym a drugim łykiem browara rzucił tym samym tonem co wcześniej : – Idziemy w ślinę?

Propozycja była, owszem, zaskakująca i, jak to mówią, nie do odrzucenia. Przysunęłam się do niego na taką odległość, że dostrzegłam w jego oczach to coś, być może żar typowy dla oczu kocich morderców, wtedy mnie pocałował, czy raczej wsadził mi język w usta i wykonywał nim pozbawione składu i ładu ruchy obrotowe. Nie żebym była w tej materii doświadczona, ale miałam nieodparte wrażenie, że coś jest nie tak. Zostać przelizanym – teraz rozumiałam, o czym mówiły moje koleżanki z szatni.

Siedzieliśmy, czy może nawet leżeliśmy, chwilę pod tymi plakatami, obściskując się niewprawnie, jak dwa młode niedźwiedzie. Wtedy też – po raz pierwszy i ostatni – miałam to w rękę. Tę chlubę mężczyzn. Niestety,

akurat tego okazu nie można było nazwać chlubą, był miękki jak pacynka.

– Sorry, nie da rady – rzucił wreszcie.

Upokorzona patrzyłam w jego pryszczatą twarz.

– To dziwne, zawsze mi staje.

Moja twarz przypominała kolorem botwinkę, chciałam już tylko naciągnąć na nią czapkę niewidkę, a wtedy on powiedział:

– Daj mi swoje zdjęcie, zrobię se kanapkę z pasztetem! – I zarechotał tak, że jego śmiech dobiegł nawet nad łóżko, do plakatu New Kidsów i rozbił się o twarz Jordana, w którym, na marginesie, się kochałam.

Normalnie popatrzyłabym na niego i wszystko wkoło moim tradycyjnym spojrzeniem zbitego psa, moim tradycyjnym spojrzeniem solidnie wybatożonego niewolnika. Jednak stało się inaczej. Podniosłam wzrok i popatrzyłam na ten plakat i na mojego szkolnego kolegę inaczej – jak demon.

Dlatego wydaje mi się, że to coś, co we mnie wzbierało, zaczęło się już wtedy. Już wtedy, gdy leżałam w łóżku, na tym brzydkim osiedlu wzniesionym na mokradłach, wcześniej opanowanych przez żaby, którym władza ludowa zafundowała śmierć w ramach planu urbanizacji rozpisanego na określoną liczbę lat, myślałam o sobie jako o wojowniku. Czasem śniły mi się egipskie plagi: zielony deszcz żab spadający na osiedle, pełen wyrzutu rechot. Im częściej śniły mi się żaby, tym lepiej rozumiałam ich złożoną z pretensji mowę. Z upływem czasu coraz lepiej rozumiałam perspektywę płaza lub owada, coraz bardziej chciałam przyłączyć się do ich szwadronów, chciałam być zielonym wojownikiem, jedną z żab spadających zniecka na ludzkie osady, chciałam być szarańczą frunącą na czele złowrogiego owadziego wojska, siejącą śmierć i terror wszędzie tam, gdzie przedtem spotkało mnie upokorzenie. Jest czas narodzin i czas umierania. Coraz częściej marzyłam, by nadszedł ten drugi.

W tych chwilach, kiedy nagła nadzieja zaczynała przebijać przez

pogardę, jaką z dnia na dzień coraz bardziej okazywałam światu, widziałam siebie, jak stoję na czele parady szpetoty i ohydy, pochodu złożonego ze skrzywdzonych i poniżonych, z tych szkaradzieństw, które sforsowały drzwi gabinetu osobliwości i wyległy na ulicę, by siać postrach wśród normalnych obywateli, tych maskaronów, które urwały się z gotyckich kościołów i wyległy tłumnie na miasto. W tych rzadkich poruszających chwilach widziałam, jak moi pobratymcy początkowo niepewnie dygocą, rzucając sobie pełne lęku spojrzenia, kulą się przed złowrogim tłumem, który napiera z naprzeciwka, tłumem porządnych obywateli, którzy nie chcą nas uznać, ale ja wydaję parę zachęcających okrzyków, podchodzę do nich, ocieram im pot z czoła, podnoszę ich kalekie, trzęsące się ręce, pomagam im wstać na paralityczne nogi, szarpię ramiona tych tłustych, by zmusili swe nabrzmiałe ciała do współpracy, i po chwili ruszam z nimi wszystkimi do wrót miasta, z którego nas wypędzono, rusza marsz rachitycznych i gargantuicznych potworów, idziemy przejętą, coraz bardziej rozochoconą gromadą, a ja jej przewodzę, skanduję okrzyki zwycięstwa.

I my wszyscy, udęczeni, upokorzeni, tłum trędowatych, odradzamy się niczym niezniszczalne hydry, powstajemy – a gromada gapiów i naszych wrogów rozstępuje się przed nami jak morze przed narodem wybranym i wpływamy do miasta, do którego wreszcie uzyskaliśmy tajemne klucze, w glorii i chwale, statek szaleńców, którego nikt nie może zatrzymać.

V

Stałam czy raczej próbowałam ustać przed lustrem na coraz bardziej trzęsących się nogach – obraz przed oczami wciąż się zamazywał. Niestety, dostrzegłam jeszcze zarys mojej twarzy – twarzy, którą szatan wykopał z piekła, twarzy jak pole po wykopkach i zbiorowym osraniu przez wrony. W panice zaczęłam szukać po kieszeniach komórki, bo w sekundę zrozumiałam, że coś, co wzięłam za niegroźną wysypkę, było zwiastunem śmierci. Co się stało? – pytałam samą siebie w przerażeniu. Moje ciało toczyło ze mną walkę, jakby chciało wyrzucić mnie ze środka i zadowolone opaść na ziemię, lżejsze o mnie samą, triumfujące.

Próbując wyjść z łazienki, żeby poszukać telefonu, którego nie było w żadnej kieszeni, nerwowo wracałam pamięcią do wydarzeń sprzed paru chwil. Byłam chora, miałam anginę, dwa dni temu obudziłam się z gardłem, w którym wyrosło coś wielkości kopca Kraka. Potem ten lekarz, to lekarstwo – odtwarzałam wszystko chaotycznie, jakbym była jedynym świadkiem apokalipsy, przymuszonym do zeznań tuż po tym, gdy przejechali po nim wszyscy jej czterej jeźdźcy.

Chwiejnie, trzymając się ścian, zaczęłam przemieszczać się w kierunku pokoju, gdzie prawdopodobnie leżała moja komórka. Z oddychaniem było z minuty na minutę coraz gorzej – regularnie się dusiłam, ale ciągle toczyłam rozpaczliwy bój o powietrze.

– Ratunku – rzuciłam cicho w próżnię.

Moje obecne życie ewidentnie ze mnie uciekało, a przeszłe znów zaczęło przemykać mi przed oczami. Wyłaniało się z zakamarków pamięci w całej

swej żalostnej krasie – czułam się, jakbym przyjechała nad morze, weszła na leśną ścieżkę z nadzieją zobaczenia tego wspaniałego, zapierającego dech w piersiach bezmiaru wód, przebrnęła przez ostatni odcinek drogi, wychyliła się zza krzaków, zza wydm i odkryła, że na horyzoncie jest tylko kałuża z pływającą w niej starą lodówką.

Albo rodzina.

Bo teraz przypomina mi się rodzina. Jakżeby mogła mi się nie przypominać?

Wracałam regularnie do domu, na krakowskie osiedle, wracałam tam jakby mocą mitu – w końcu powrót do domu to nieodłączna część konfrontacji bohatera z jego mrocznym przeznaczeniem. Przygód z cyklopami i zamiany mnie w trzodę chlewną się jednak nie spodziewałam. Bogowie nie mieliby ze mną za wiele roboty – trzodą chlewną byłam od urodzenia.

Zawsze, kiedy jechałam do domu, z każdym kolejnym drzewem przesuwającym się za oknami pociągu mój strach narastał. Życie rodzinne nie kojarzyło mi się z niczym dobrym, życie rodzinne oznaczało duchowe katusze rodem z programów paradokumentalnych. Już od progu witało mnie pasmo inwektyw, nieskierowanych zresztą bezpośrednio do mnie, ale rzucanych pod rozmaitymi adresami, inwektyw, których odbiorcami były bardzo zróżnicowane grupy społeczne, w zakresie inwektyw moja matka okazywała się niezwykle demokratyczna.

Nienawidziła po równo: domokrażców („Był tu dziś taki jeden, co chciał opchnąć dywany. Dywany, mówię, na chuj mi dywan, pewnie kradziony, ja mam swoją najlepszą wykładzinę, nie potrzebuję już żadnych dywanów, na pewno z pluskwą, był tu ten jeden i on mówi: dywany. Ale nie było żadnego dywanu, później przyniesie kolega, powiedział ten jeden, później tu przyjdzie jeszcze kolega z dywanem. A ja to pierdołę, oni na pewno cyndolą mieszkania! A ty, ty, Stefan – zwracała się do mojego ojca, tradycyjnie chowającego się po kątach – jak oni chodzą, że niby odkurzacz, mówią, to ty

nie umiesz im powiedzieć: ja nie chcę żadnego odkurzacza i proszę się od nas odpiardolić?!”), rodziny ojca („Nic, nic, niczego dobrego nigdy od was nie zaznałam, niczego dobrego, mamó, niech mama, proszę mamy, tak mi do siebie się kazaliście zwracać, niech ona wejdzie, niech poda – tak o mnie mówiliście, a kiedy ja, z dobroci mojej jedynie, z czystego serca mojego mielone wam zrobić chciałam i mięso ręką mieszałam, gniołłam; gniołłam i gniołłam, z takim oddaniem gniołłam, jak gdybym chciała zagnieść tę moją do was nienawiść, to ona, twoja matka, stanęła nade mną jak kapo, z tym wstrętnym uśmiechem na twarzy, i powiedziała do mnie: cała już jesteś gospocha”), polityków („Nie lubię tego, on mówi tak niewyraźnie, jak chcesz występować w telewizji, to naucz się najpierw mówić wyraźnie! Nic a nic ci nie wierzę, nie wiadomo, kto tam ciebie popiera, mówią, że te zachodnie banki!”), księży – to już było zresztą prawdziwie perwersyjne, nienawidziła księży, choć Matkę Boską zwała swoją najlepszą przyjaciółką, a do „domu Pana” chodziła regularnie, częściej właściwie niż raz w tygodniu, nie opuszczała żadnych świąt, różańców, umartwień („U spowiedzi byłam, chuj tak mnie zawstydził, mówię: ty chuju i modłę się do Ducha Świętego: Duchu Święty, żeby ten, co tak mnie zawstydził, sam też był zawstydzony. Tydzień minął, jak przyszło do komunii, chuj wszystkie opłatki wysypał! Ale się rozczzerwienił! Patrzę na jego twarz tak czerwoną i myślę sobie: jest, jest Duch Święty!”), księży („Kiedy przychodzi po kolędzie, świeczkę stawiam na stół własną, żeby skurwysyna wkurwić. A gruba jest akurat, adwentowa, to jeszcze z dziesięć lat na niej zejdzie, bo po wizycie natychmiast gaszę, na półkę stawiam. Po co w ogóle go przyjmuję? Żeby odnotował! Bo jak umrę, skurwysyn powie: ja byłem po kolędzie, ale mnie nie przyjęliście. Że hipokryzja? Tej hipokryzji oni mnie nauczyli!”), wreszcie księży („Nierobom gosposia gotuje, kiełbasy robi, dupy wożą najlepszym autem!”).

Patrzyłam zawsze na to wszystko z rodzajem odrazy zmieszanej z fascynacją. Patrzyłam na matkę jak na intrygującego, egzotycznego gada

umieszczonego za szybą terrarium; im dłużej jej słuchałam, tym bardziej podejrzewałam u niej lekki zespół Tourette’a.

Jedyną postacią, która zasługiwała na szacunek mojej matki – no, poza Duchem Świętym, ale on się nie liczył, bo był tylko duchem – była Matka Boska. Zastanawiałam się nawet, czy nie jest to wyraz jakiegoś pokrętnego feminizmu.

– Ja w moc Ducha Świętego wierzę! – recytowała niemal każdego dnia, wpatrując się w obraz Najświętszej Marii Panny. – Ale najbardziej ufam Matce Przenajświętszej, mej przyjaciółce! – dodawała i podkreślała odpowiednim, pełnym szacunku tembrem głosu, że przyjaciółka jej zawsze była dziewicą.

To nas łączy – myślałam wtedy, lecz dopowiadałam również w myślach, że Matka Boska miała jednak wybór; nie była bowiem, jak ja, pasztetem. Przynajmniej po świętym obrazku sądząc. Matka Boska miała wybór dwa tysiące lat temu, a ja nie mam wyboru dziś – oto paradoks postępu!

Kulminacja następowała co niedzielę. Jakże nie cierpiałam tych nerwowych niedzielnych popołudni przesyconych nutą schabowych, których już jedna sztuka – wnosząc po rozmiarach – wykarmić mogła całe Wojsko Polskie. Tych tak typowych niedziel, których rytm wyznaczał obowiązkowy przemarsz rodziny polskiej do kościoła szlakiem osiedlowych ulic, czasem skąpych w bruk, bogatych za to w młode kobiety pchające przed sobą pękate wózki wyładowane różowymi pociechami, spacerujące dumnie niby pawie w Łazienkach i niezważające zupełnie na apokaliptyczny ryk swoich malców. Zastanawiałam się, czy to aby nie z jego winy leci tynk z okolicznych wieżowców, tych, na które rzucałam okiem, gdy tylko udawało mi się odwrócić głowę. Nie było to łatwe z kilku powodów. Po pierwsze, ze względu na zapięty pod szyję sweterek, utrudniający nie tylko tę czynność, lecz również czynności podstawowe, jak przełykanie śliny czy oddychanie, a po drugie, ze względu na atak rąk matki, nerwowo i bez końca wygładzających nieistniejące fałdy na moim płaszczyku, ciągnących,

popychających i szarpiących niczym obozowi selekcyonerzy na rampie.

Jakże nie lubiłam tych psychodelicznie pastelowych bloków, rozstawionych wkoło z wyjątkową nonszalancją, pełniących funkcję przeszkód w tej defiladzie do osiedlowego kościoła szumnie zwanego świątynią. Balkony wzdymały się od rozwieszonego prania, spomiędzy którego gdzieniegdzie wystawały ciekawskie twarze starszych pań, podziwiających rewię niedzielnej mody, w której modelkami i modelami byli ludzie ciągnący teraz na sumę wszystkimi alejkami, orientujący się na mającący na horyzoncie krzyż. Ich ciężkie od pasty buty, ubrania godzinami moczone w krochmalu, by nabrały żołnierskiej sztywności i współgrały z ich krokiem, wydarte molom płaszcze i swetry, futrzane kołnierze wpatrzone w dal martwym, szklanym wzrokiem sztucznych lisich oczu, wreszcie dzieci, uczeplone ich rąk i wystrojone jak konie na paradę, z różowymi kokardami zawiązanymi fantazyjnie na głowach bądź fryzurami usztywnionymi piwem i cukrem, ociągające się, niechętnie i uciszane przez rodziców sykiem wydobywanym przez zaciśnięte zęby, a mimo to prawie zawsze dumnie prezentowane światu niczym wojenny łup.

Jakże nie lubiłam tego wszystkiego, a najbardziej czasu, kiedy słowa wypowiedane przez matkę pokonywały dzielącą nas przestrzeń lakierowanej na wysoki połysk ławy i uderzały we mnie tak, że prawie to słyszałam. Jakby lądowały na mnie mokre, ciężkie liście kapusty, teraz już wprawdzie poszatkowanej, rozgotowanej i nałożonej na obtłuczony biały talerz obok polanych tłuszczem kartofli i dominanty w postaci gigantycznej porcji mięsa. Plastikowy zegar z powagą odmierzał kolejne godziny, jakby był samą Śmiercią, poszarzałe firanki obojętnie dyndały w oknach, ożywiając się jedynie przy silniejszych podmuchach wiatru, a jedynymi oczami, które patrzyły na mnie ze współczuciem, były oka z rosółu.

– Ja w moc Ducha Świętego wierzę. Kto nie wierzy, nie będzie zbawiony. Możecie się śmiać, lecz jeszcze wspomnicie me słowa! – powtarzała matka i podnosiła wzrok na ścianę nad stołem, czyli jej osobisty

Luwr z jednym tylko dziełem: Maryją Zawsze Dziewicą, którego autorstwo do dziś pozostawało nieustalone.

W pewnym sensie nieujawnianie autorstwa tego obrazu wydawało mi się bardzo rozsądne. Przeczył on bowiem nie tylko wiedzy plastycznej, lecz i anatomicznej. Matka Boska wyglądała na nim jak tasiemiec, niemal pozbawiona szyi, która zlewała się z niedużą obłą twarzą – całkiem atrakcyjną, zaznaczmy, o rysach regularnych, ustach różowych i pełnych, oczach dużych i niebieskich, włosach długich i bujnych. Patrząc na Matkę Boską, byłam pewna, że jej dziewictwo było wyborem, a rozmnożenie się za pomocą metod nieinwazyjnych czczą fanaberią. Gdyby tylko chciała, Matka Boska liczyć by mogła na wielu partnerów seksualnych, co powodowało, że również na nią patrzyłam z niechęcią, co nawet ją oddalało od mojego osobistego doświadczenia.

Dlatego i jej nie cierpiałam, w myślach przekręcałam jeszcze ten sztylet wbity w jej serce, notabene przemieszczone względem właściwego położenia tego organu – leżące bowiem pośrodku klatki piersiowej. Właśnie owo serce, ciemnoczerwone jak kurza wątróbka i równie intensywnie krwawiące, było elementem, na który zawsze wskazywała matka, kończąc swą przemowę:

– Spójrz na krwawiące serce Matki Boskiej – zachęcała po obiedzie. – Ono za nasze grzechy krwawi.

Patrzyłam na nie, patrzyłam i nic nie mówiłam. Nic nie mówiłam, choć porażona byłam tym, że nasz dom prezentuje estetykę wielbiciela BDSM. Na ścianie Matka Boska z rozdartym mięśniami sercowymi, nad drzwiami z nieśmiertelnego jak dusza ludzka laminatu – zmasakrowany Jezus Chrystus przytwierdzony do krzyża po długiej torturze. Trudno się dziwić, że wyrosłam na osobę, której charakter naznaczony był pesymizmem.

– Ja w Tarnowie jedną rzecz już na zawsze zrozumiałam. Jednej rzeczy się nauczyłam, której nigdy już nie zapomnę – zaczynała czasem matka z innej mańki, a my, ojciec i ja, z otwartymi ustami, w napięciu czekaliśmy

na ujawnienie skrywanych przed nami do tej pory tajemnic wszechświata, których kolebką był Tarnów. – Przed podróżą trzeba zmówić różaniec – klarowała nam. – Zaproś Chrystusa do swego serca – mówiła jeszcze do mnie, jak gdyby stawiając kropkę nad i, po czym wracała do konsumpcji obsmażonych w starym oleju, uprzednio wyjętych z zupy udek kurczaków. Zastanawiałam się, jak się czują w jej żołądku, w asyście zupy, do której ugotowania służyły, odpowiednio wcześniej stworzone jako istotna część drobiu hodowlanego, następnie od niego oddzielone, rozparcelowane, zjedzone, wydalone i zapomniane; kwintesencja kapitalizmu.

– Moje serce stoi otworem – zdarzało mi się machinalnie odrzec, jakbym mówiła sama do siebie, zresztą matka i tak mnie już nie słuchała. I ciągnęłam już w myślach: Wejdz tam, Jezu, tam jest dużo miejsca, moje serce jest całe niezajęte, bardzo zatem przestronne, wejdz tam i się rozgość, zobacz, jakie jest miękkie i gościnne, niczym kanapa z pluszu, miękkie, gościnne i całkiem puste. Moje serce nie ma wyznawców, nikt nie urządza do niego pielgrzymek, gdy tak siedzi samotnie w klatce z żeber i z każdym kolejnym głuchym uderzeniem jakby coraz bardziej zamiera, bezsilne i zniechęcone, jak uwięzione zwierzę, o którym wszyscy zapomnieli. Bóg jest miłością, mówią, może więc, wchodząc, weźmiesz ze sobą jakichś swoich wyznawców z krwi i kości; oni też, a może przede wszystkim oni, mogliby we mnie zagościć. Zresztą nie tylko w sercu, mogliby we mnie zagościć również i niemetaforycznie, mając nad tobą w tym aspekcie, nie da się ukryć, niejaką przewagę. Co na to powiesz? Robimy deal? Nie daj się prosić, Jezu, mówią o tobie, że jesteś miłosierny; czemu pozwalasz mi, bym skamląła utoczona w nocy w niemą, ciemną, zbolałą grudkę gówna? Czemu pozwalasz, bym wkładała w siebie palce, tylko po to, by sprawdzić, jak to jest, a w zasadzie jak to nie jest? Po wszystkim nie możesz chyba czuć się tak, jakbyś właśnie minął zupełnie puste, rozległe skrzyżowanie pośrodku obcego miasta.

– Grzegorz jak umarł, nic nie powiedział, twój wujek, znaczy, przed

śmiercią, znaczy – mówiła dalej matka. – A mnie się ta śmierć jego śniła wcześniej, te buty w progu. O tobie też sen miałam, z butami. Cztery pary butów w sieni, cztery pary butów na cztery pory roku. To znaczy, że cztery pory roku potrwają twoje problemy, rok cały one potrwają – wieszczyla, nie precyzując jednak, jakie problemy miała na myśli, choć już bez szczególnej przenikliwości domyślić się można było, że te z zamążpójściem.

Ja jednak wiedziałam lepiej – moim jedynym problemem było to, że nie mogłam zostać samej sobie amputowana, a potem narodzić się na nowo w bólach fantomowych.

I przypomina mi się teraz, jak przyjechałam do domu na ślub kuzyna. Powitanie przebiegło w sposób typowy – kiedy matka mnie zobaczyła, gdy stanęłam w progu mieszkania niby zwrócona tu przez nabywcę stara, niechciana walizka, rzuciła tylko kilka niezobowiązujących kurew pod różnorakimi adresami, a potem nadmieniła, jak bardzo źle wyglądam i dlaczego, i wreszcie poradziła, jak zawsze korzystając z dobrze sobie znanej quasi-magicznej formuły: „Idź, przewietrz się, bo źle wyglądasz, mało rumiana jesteś! Kiedyś byłaś taka rumiana, teraz jak trup, a blada, a włosy do góry postawić, a twarz, a te dzioby – może pójdziesz na lampy? Teraz na pole po prostu wyjdź, powąchaj chwasty, wrócisz, będziesz inną osobą!”.

Potem już nic się nie działo, bo trzeba było iść spać, bo trzeba się wyspać na ślub, bo jak to na ślub się nie wyspać! Następnego dnia zbudziłam się rano czy raczej – zostałam zbudzona, ponieważ świtem już na dom nasz blady spadł strach przed możliwością spóźnienia się na ślub kuzyna, który był już za dziesięć godzin. „Ubrałam się i zeszłam na dół...” – moje myśli poszybowały w kierunku tej złośliwej fantazji. Jakżebym chciała móc pozwolić sobie na taką narrację! „Ubrałam się i zeszłam na dół, na stojącym pośrodku salonu, przystrojonym kwiatami dębowym stole czekało już na mnie śniadanie. Świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, jajko na miękko tak idealnych rozmiarów, tak doskonałego

kształtu, że bardziej niż samo siebie przypominało eksponat muzealny, równiutkie plasterki różowej szynki, żółciutkie plastry sera, aromatyczna kawa ze świeżo zmielonych ziaren... Rodowa zastawa stołowa, Ćmielów, Bolesławiec. Wkoło unosił się zapach dopiero co upieczonego chleba. Pani Oksana, wyłączając służącą do jego wypieku maszynę, uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie. »Rodzice panienki zaraz zejdą« – zawiadomiła, odsuwając przede mną masywne krzesło o ręcznie rzeźbionych poręczach. Usiadłam tam, śląc jej pełen zachowawczej uprzejmości uśmiech, dyskretnie zadbawszy o to, by jej palce nie zetknęły się z moimi ramionami. Biorąc łyk orzeźwiającego soku, z pełnym radości wyczekiwaniem zerknęłam w kierunku schodów, u których szczytu już niebawem stanąć mieli moi ukochani rodzice, przyodziani w swe krepy, strusie pióra, ametysty... Albo po prostu w stroje joggingowe, byli bowiem tuż przed swą codzienną przebieżką brzegiem oceanu, po szklance własnoręcznie zrobionego smoothie. Od rana już pełni humoru, optymizmu i energii, oboje dentyści, specjaliści, lobbyści, zamordyści. Przede mną był cudowny dzień...”

Szkoda, że rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Zbudzona jak zwykle o świcie rozmaitymi pochrząkiwaniami moich rodziców, których nie sposób było nie słyszeć w tym mieszkaniu, w tym całym bloku stanowiącym perłę architektury socjalizmu, nie zesłam na dół, bo nie było jak zejść na dół w mieszkaniu pozbawionym schodów, w mieszkaniu ze swej natury jednopoziomowym, jak również akustycznie nieprzystosowanym do takich czynności jak: spanie, załatwianie potrzeb w toalecie, kopulacja. Co do jego rozmiarów, to powiem tak: kiedy wstałam z łóżka i zrobiłam pół kroku naprzód, byłam już prawie całkiem we wszystkich innych pokojach i zarazem w łazience. Dlaczego przydzielono nam takie mieszkanie, dlaczego przydzielono nam mieszkanie rozmiarów małego fiata?! – pytałam w myślach z rozpaczą. Dlaczego moim rodzicom nie chciało się nigdy w nic angażować – choćby i po złej stronie? A mógłby stary kogoś spałować, a mogłaby stara – że ktoś coś – zasygnalizować... – tobyśmy mieszkali dziś

w polonezie !

Łazienka stanowiła mroczną kryptę – wszystko z powodu wyznawanej przez moich rodziców zasady surowej, żelaznej wręcz oszczędności, która kazała im zamienić prawdziwe żarówki na ich niedającą żadnego światła energooszczędną parodię. Porannych ablucji dokonywałam więc w mroku, makijaż na twarz nakładałam tak, jak niewidomi próbują zorientować się w nieznannej przestrzeni. Po wszystkim nie wiedziałam, czy wyglądam jak człowiek czy jak nowo odnalezione dzieło Jacksona Pollocka. Choć w sumie – czy to nie wszystko jedno?

Kiedy weszłam do kuchni, mama opierdalała jakąś kanapkę. Zastanawiałam się, czy od razu przejdzie do swego ulubionego tematu – zmuszania mnie do niemożliwych oszczędności; „oszczędzanie” było słowem przez nią faworyzowanym, dla mnie zaś torturą, chińską kroplą, pędem bambusa przebijającym moje ciało.

– Z szynką sobie zrób, szyny zjedz – powiedziała mi z pełnymi ustami. – I herbatę Lipton, herbatę pić trzeba, rozpuszcza tłuszcze. Potem mi kawy zrób, Jacobs, tej rozpuszczalnej, nasyp dwie łyżeczki. Oszczędzasz coś? – wytoczyła działa.

– Gdzie tata? – zapytałam.

– A co mnie to obchodzi? W pokoju chyba obok, herbatę wypił, to wiadomo, co robi: torebkę wiesz przy kaloryferze do suszenia! Już nawet nie grzeją, ale on i tak swoje. Wszystkie torebki z herbat natychmiast porywa i suszy, mówi, że na nawóz do ogródka będzie, ale jaki nawóz, jaki ogródek? To coś pod balkonem, na co srają koty? Tam mlecz nie urośnie! Po co ty kradniesz te herbaty, suszysz, pytam go stale, Stefan, czy ty nie miałeś herbat?!

Chciałam zapytać, co tam u niego w pracy, w spedycji, ale pewnie w odpowiedzi otrzymałabym coś w rodzaju: „Gównu mnie to, spedycję to on powinien zarządzić samego siebie, gdzieś tam, gdzie diabeł mówi dobranoc”. Więc zamiast tego zapytałam ją, co u niej w pracy, a zrobiłam to

w charakterystyczny dla siebie sposób:

– No, co tam, jak tam na zakładzie? Zrobiliście najazd na jakąś smażalnię frytek? Rozwaliliście jakiś ruszt z kurczakiem? A może złapaliście jakiegoś Janusza na gorącym uczynku grzebania sobie w dupie podczas kręcenia waty?

Patrzyłam na reakcje mej matki, niezwykle poważnej urzędniczki przedsiębiorstwa Sanepid. Aby sprawy zabrnęły jeszcze dalej, wyciągnęłam z torby „Wyborczą” i rozłożyłam ją przed matką symbolicznym gestem, jakbym stawiała między nami zasieki.

– Po co to kupiła?! Po co to kupiła, pytam?! *Teleexpress* obejrzeć można, za darmo jest! – zakrzyknęła z pogardą, po czym wróciła do ostentacyjnego siorbania herbaty.

Pomyślałam, że pierwsze koty za płaty i przeszłam do kolejnego tematu – ślubu, na który mieliśmy jechać.

– Ślub! Po co im w ogóle ten ślub?! Myślałam, że to przeżytek ery Reagana – rzuciłam.

– Kto ma zasady, kościelny ślub wziąć musi – odpowiedziała matka twardo. – Jakże to bez kościelnego ślubu? Co, ty byś ślubu w kościele nie wzięła?!

W tej mikrosekundzie, kiedy skończyła zdanie, mój wzrok spoczął na jej twarzy. Czy ona naprawdę myśli, że mogłabym mieć takie dylematy?

– Gdyby się znalazł jakiś trędowaty... Może ślepiec jakiś, wyfrajerowany w dniu cudów w Lourdes – mruknęłam, żeby ją jeszcze trochę rozsierdzić, ale nie zdążyłam wywołać spodziewanej reakcji, bo z dużego pokoju wyłonił się ojciec, przestraszony, próbujący chyłkiem przemknąć przez mieszkanie, bezszelestnie, jak własny cień.

Niestety, surowy wzrok matki trafił w niego jak celnie rzucony granat. Widok ojca zirytował ją jeszcze bardziej niż moja uwaga i zamiast do czynności inkwizycyjnych, przeszła do działań kolonizatorskich – zaczęła bezlitośnie zwalczać oryginalny, narodzony w łonie naszego mieszkania

zwyczaj suszenia zużytych torebek po herbacie w celach, do których rozszyfrowania trzeba by było samej Margaret Mead.

A co do ślubu, to rzeczywiście nieco się dziwiłam, że te całe śluby są jeszcze w modzie w czasach tak powszechnego: „Dzień dobry państwu, jestem ateizm i będę dziś państwa obsługiwał”. Ale co tam, powinnam powiedzieć: co mnie to, kurwa, obchodzi, co ci ludzie jeszcze dla siebie wymyślą, jedna tortura w tę czy w tę nie robi mi żadnej różnicy!

W milczeniu jadłam kanapkę z mortadela, myśląc o weselach. Wesela. Generalnie nie lubiłam wesel. Nie kojarzyły mi się zupełnie ze sformułowaniem „weselić się”. Wywoływały we mnie reakcję dokładnie przeciwną. Przypominały mi o pojęciu wspólnoty, odległym, wytęsknionym. Wspólnota. Tak bardzo chciałam być jej częścią, siedzieć wśród oddanych przyjaciół lub choćby w jakiś sposób mi podobnych, bliskich ludzi, śpiewać z nimi piosenki, biadolić do białego rana nad nędzą życia i czuć się doskonale rozumianą; niestety było to trudne, bo brzydcy ludzie – wspólnota, do której garnęłam się, można powiedzieć, za sprawą wyjątkowego podobieństwa czy też naturalnego przyciągania – nie byli zbyt chętni do spotkań towarzyskich. Kluby samotnych serc dla osób niedoinwestowanych estetycznie powstawały niezwykle rzadko i działały w niedogodnych terminach, czyli w godzinach niewystępujących na zegarowej tarczy, i w miejscach, do których nie sposób było dotrzeć, gdyż po prostu nieistniejących.

Wesela – nie da się ukryć, że one stwarzały przymus zaproszenia również nas – dzieci Frankensteina – do wesołej zabawy. Sadzano nas z dala od tych o lepszym uposażeniu genetycznym, na chybotliwych krzesłach, tuż przy drzwiach lub wiecznie otwartym oknie, tak że nasze mysie włosy powiewały tylko żałością w takt pierwszego weselnego tańca, którego my sami mieliśmy nigdy nie zatańczyć. Wiatr hulał po naszych wysuszonych bądź przeciwnie – otłuszczonych członkach, ujawniał nasze źle ułożone kości lub kolejne doliny sadła. Nikomu nie poprawiało to humoru. Gdy

przychodziło do ciepłych posiłków, często zdarzało się, że właśnie dla nas brakowało porcji, o którą wstyd nam było się upomnieć, siedzieliśmy zatem cicho, z potulnym uśmiechem na twarzy, pogryzając zwietrzałe przekąski i tylko raz po raz rzucając pełne zazdrości spojrzenia na łapczywie pochłaniany przez innych boeuf Strogonow.

Upokorzenie, które stanowiło podstawowy komponent naszego życia, najbardziej dawało o sobie znać w chwili, gdy rozpoczynały się tańce. Wielokrotnie to przerabiałam. Umieszczona w najciemniejszym kącie sali niby słup podtrzymujący ten gmach, chociaż praktycznie niewidoczna, i tak truchlałam na myśl o momencie, kiedy na parkiecie zaczną formować się pary, w skład których zupełnie nie będę wchodzić. Czasem, gdy ktoś z weselnych gości przechodził koło mnie niezdecydowanym krokiem, moje serce tłukło się w piersi, nadzieja na nagłą radość była tak bliska, niemal namacalna, że aż łagodniały moje szpetne rysy twarzy, a niezgrabne nogi obute w paskudne chodaki zdawały się nieco lżejsze i już przebierały pod stołem we wzruszeniu zmieszonym z ekscytacją. Teraz i ja wejdem w ten tłum, ruszę do tańca i zacznę się głośno śmiać wraz z innymi, a kiedy w sali zostanie uformowany wąż, stanę się jego częścią, przetoczę się wesoło przez kolejne pomieszczenia, na swoich barkach i talii poczuję tak wytęsknione, ciepłe, tętniące życiem dłonie innych.

I gdy już, już miałam podnieść się ze swojego marnego miejsca, a moje rozochoczone usta układały mi się w jedyną możliwą w tej sytuacji odpowiedź: „tak, z przyjemnością”, okazało się, że zbłąkana osoba szukała w tych ciemnych rejonach kogoś zupełnie innego. I opadałam na krzesło, z którego zdążyłam się unieść o centymetr, ten centymetr szczęścia, wymierzony mi na godną politowania minutę nadziei. Patrzyłam na oddalających się ludzi, wstępujących na parkiet z innymi, i czułam, że ból, z którym przecież zdążyłam się już oswoić, zaakceptować go jak stałą część życia, jednak wzrastał, zalewał mnie, utrudniał oddech. Potem na powrót z trudem układałam twarz tak, by inni nie rozpoznali na niej nieszczęścia,

znów zamykałam się w swoim braku pragnień i przyrastałam do krzesła zawstydzona chwilową rozpaczliwą nadzieją. Do końca przyjęcia już tylko wodziłam wzrokiem po zaludnionej sali tanecznej, przesuając spojrzenie na kolejne pary, najpierw ze smutkiem, potem, coraz częściej, ze wzrastającą złością, wreszcie z uczuciem, które miało we mnie ostatecznie przeważać: z nienawiścią.

Zastanawiałam się, jak to będzie dzisiaj. Po śniadaniu zaczęliśmy się ubierać. Matka i ojciec wdziali wszystkie te swoje weselne szaty. Byli w miarę wymiarowi, więc część upokorzeń im odchodziła, spadała na mnie. Próbowałam wbić się w przywiezioną sukienkę. Po tej próbie, zwieńczonej, nie powiem, sukcesem, gdyż pasowała na mnie świetnie – jak pokrywa grobu na odpowiedniego trupa, oraz po ustawieniu włosów w odpowiedniej pozycji – czyli tak, że pozostawało umieścić w nich zeschniętą chryzantemę i byłoby po sprawie, bo oto już doskonale robiłam za własny portret trumienny – mogłam zmierzyć się z wyzwaniem cudzego ślubu.

– Błada jakaś, zrób coś ze sobą, krzywa jakaś, nogi jak kije, przy takich nogach to się wybiera dłuższą sukienkę. – Po odsłuchaniu rytualnego braku komplementów z ust mej matki byliśmy wszyscy troje gotowi do wyjścia.

Ślub i wesele miały się odbyć pod miastem, zostaliśmy tam wywiezieni wynajętymi autami przystrojonymi w kwiatki i baloniki, jechaliśmy głośną i barwną ślubną kolumną, przez chwilę czułam nawet uniesienie, czułam się jak sam premier i prezydent, w aucie z kierowcą, w aucie wzbudzającym na ulicy powszechne zainteresowanie czy nawet coś na kształt respektu – zaznawałam tego pierwszy raz w życiu, więc odurzona wyglądałam przez okno, jeszcze chwila, a zaczęłabym pozdrawiać wszystkich papieskim gestem.

Wreszcie dowieźli nas w odpowiednie miejsce i wysadzili tamże, wspólnie z innymi uczestnikami tej wycieczki, dziesiątkami podobnych nam nieszczęśników, wystrojonych niby na manifestację w wysoce oficjalnej sprawie. Wyobrażałam sobie te tysiące rozczarowanych moli, którym

zabrano dzisiejsze pożywienie w postaci wełnianych garsonek, do tej pory wiszących niewinnie w szafach, wśród zwietrzałych lawendowych kulek; ich śniadania, obiady i kolacje oblekały teraz tych ludzi, ustawionych tu obok nas jak na oficjalnej paradzie: wyprasowanych, wyzuty z siebie i stojących jeden przy drugim w trumiennych strojach – doskonale mogliśmy robić za jedną wielką patologiczną rodzinę.

Staliśmy przed kościołem, podziwiając krzyż zatknięty u samej góry niby święty korek, aura wymuszonej świętości unosiła się nad nami jak zapach słodkich perfum i lakieru do włosów ciągnący od strony rozmaitych ciotek, a także nieco stęchła woń starych garniturów, zmieszana z pradawną wodą po goleniu, która niby dziarski pluton szła od strony wujów. Staliśmy przed kościołem, dorośli przebierali nogami, palili papierosy, nieśmiałe dzieci kryły się za nimi, czasem wystawiając płochliwe głowy zza gigantycznych wiązanek, wyglądały wtedy tak, jakby z nich wyrastały. Na naszych twarzach – tak, nawet na mojej, muszę to przyznać z pewnym skrępowaniem – malował się wyraz coraz to żywszego podniecenia na myśl o tym, że niebawem nadciągną tu oni – państwo młodzi. Z nadzieją rozglądaliśmy się na boki, trochę drżąc, przestępując z nogi na nogę jak niecierpliwe źrebięta.

Wreszcie w oddali ukazał się biały, udekorowany kwiatami samochód. Wjechał na drogę zasłaną gorącym kurzem i wyłonił się z tej pylistej, wznieconej przez siebie chmury jak mityczny potwór dla niepoznaki przybrany roślinnością. Zatrzymał się na ulicy. Ukrywając podekscytowanie, wpatrywaliśmy się w jego szyby, czekaliśmy tego momentu, gdy drzwi się uchylą i on – gwóźdź programu – zostanie ujawniony.

No wreszcie.

Z jednej strony auta wysiadł pan młody. Był to mężczyzna o twarzy jak kabaczek, nosie jak brokuł i uszach jak boczniaki. Właściwie mógłby pozować temu artyście, jak mu tam... Sprawdziłam w telefonie – Giuseppe Arcimboldo.

Na jego głowie próżno było szukać włosów – czaszkę miał łysą jak kolano, lekko spoconą, błyszczącą w słońcu, osadzoną na byczym krępych karku. I tylko w oczach, małych świńskich oczkach, miał coś wzruszającego, coś, co go przełamywało: przejęcie.

Z drugiej strony auta wysiadła panna młoda – kobieta mała, zgrabna, poręczna jak torebka; tak urocza, że przypominała właściwie kwiatek zatknięty w klapie marynarki pana młodego.

Piękna i bestia – typowa formuła tworzenia się par na ziemiach polskich.

I pomyśleć, że gdyby działała również *à rebours*, wówczas i ja mogłabym czegoś dostąpić w tym życiu.

Zastanawiałam się nad tym wszystkim, lekko otwierając usta ze zdumienia, a oni przedefilowali przed nami niby nieliczna kompania reprezentacyjna, po czym zniknęli w zacisznym wnętrzu kościoła. Ruszyliśmy za nimi jak wierni wyznawcy. Kościół – z zewnątrz raczej minimalistyczny – w środku mienił się złotem, czułam się, jakbym weszła do niepozornej drewnianej szkatułki na cenną biżuterię. Uderzył w nas zapach ciętych kwiatów, ciężki i przytłaczający, choć zarazem piękny, ten zapach zawsze wzbudzał we mnie ambiwalentne uczucia, kojarzył mi się bowiem zarówno ze świętem, jak i z grobem, oszałamiał mnie i przerażał jednocześnie. Jakbym otworzyła książkę i jej strony ożyły – po lewej była radosna uroczystość, tańce nad rzeką i głośne śmiechy, po prawej ciche stoły i biała żółtawa woskowa jakby głowa leżącego w trumnie trupa, którego pożegnać przyszli wszyscy sąsiedzi.

Chciałam przycupnąć w jednej z tylnych ław, ale ludzka fala pchnęła mnie i rodziców do przodu, nie byłam z tego powodu zadowolona, ponieważ niemal zaryłam nosem w święte figury, a muszę przyznać, że zawsze nieco mnie przytłaczały widziane z bliska święte figury – najczęściej nie były bowiem, delikatnie mówiąc, entuzjastami życia, co wносиłam po ich nieco zmarkotniałych drewnianych twarzach oraz hojnie na nich wyrzeźbionych łzach. Choćby i nie płakały, i tak obca im była postawa afirmatywna – raczej

wznosiły swe szczere oczy prosto do niebios, skąd wyczekiwały ratunku, często były też w jakiś sposób okaleczone. I tutaj nie mogłam się oprzeć temu mało oryginalnemu podejrzeniu, że podobnie jak estetyka naszego rodzinnego mieszkania, i one ponoszą część winy za mój psychiczny kataklizm. A jednocześnie mnie fascynowały, miałam wrażenie, że nadal żyją w mojej głowie, są niemal namacalne, nie mogę się od nich uwolnić. Pewnie gdyby rozkręcić mi czaszkę, można by tam zobaczyć uchylone niebieskie obłoki i zapraszającego do środka Boga, można by tam zobaczyć całe jasełka.

Kiedy tak stałam w tym kościele, w wąskiej nawie, rozglądałam się po zgromadzonych tu ludziach, wdychałam zapach kwiatów i patrzyłam w oczy świętym figurom, ogarniała mnie znów jakaś złość czy może raczej żal. Nie umiałam dokładnie tego nazwać, ale towarzyszyło mi wrażenie, że padłam ofiarą oszustwa, wyznaczono mi miejsce w szeregu, którego nie było. Za młodu stałam w fantomowym szeregu, potem straciłam tę zdolność. Niemal niezauważalnie pozbyłam się umiejętności ożywiania tego muzeum, a wszystko, co ono znaczyło, wszystkie miejsca, które mi tam przydzielono, przepadły.

Cała byłam zrobiona z tych figur, z tych kwiatów, z mroku tych konfesjonałów, z drżenia, które towarzyszyło mi, gdy do nich podchodziłam, z błękitnego płaszcza Matki Boskiej, z wianków i procesji, z zapachu kościoła, tego samego, który czułam, kiedy otwierałam starą dębową szafę w domu dziadków. To był zapach wiszącej tam zatęchłej marynarki. A jednak, kiedy przyszło co do czego, zostałam z niczym, czy raczej – ze swoim życiem sam na sam, trzymałam je w dłoniach jak obły przedmiot, który wciąż złośliwie mi się wyślizgiwał, trzymałam je w niechętnych rękach jak podarty i już nieważny transparent, zupełnie bez entuzjazmu.

Leżenie krzyżem – niestety, kościół był tym miejscem, w którym przypominała mi się formuła leżenia krzyżem i wywoływała stłumione pragnienia. Chciałam leżeć krzyżem pod stopami silnych mężczyzn,

chciałam myć ich stopy częściej niż raz do roku w ramach watykańskiego spektaklu, chciałam myć je codziennie w zamian za to, by oni patrzyli na mnie tym władczym wzrokiem kolonizatorów – a ściślej: żeby patrzył tak na mnie jeden, wybrany, i żebym była dla niego tak atrakcyjna jak te odległe, zalane słońcem kontynenty, żeby mnie raz po raz podbijał, tresował, posiadał.

Chciałam czuć tę samą podległość, jaką czułam w dzieciństwie, chodząc na kolanach wokół obrazu Matki Boskiej w Częstochowie. Naprawdę stałam wtedy kolana, pielgrzymi dziś oszukują – sama widziałam w telewizji, że używają jakichś dziwnych ochraniaczy, dziś jednak wszystko zeszło na psy, podejrzewam, że pątnicy biczą się teraz w waciakach.

Nie mogłam być jednak nikomu podległa, bo zawsze byłam sama.

Spojrzałam w górę – padło na mnie umęczone spojrzenie Chrystusa na ogromnym krzyżu, unoszącego się nad nami jak złowrogie przecucie. Zastanawiałam się, czy z jego strony mogłabym liczyć na odrobinę empatii, w sumie może tak, w końcu sam wyglądał na tym krzyżu, jakby był lekko wyobcowany.

Para młoda gdzieś przepadła, może w zakrystii, trochę się nudziłam, więc próbowałam zabić czas wyborem najlepszej fryzury ciotek wchodzących do kościoła. Słaby był to plebiscyt. Wszystkie wyglądały, jakby miały jednego fryzjera – wyjątkowo agresywną kosiarkę do trawy.

Usiadłam w ławie, obok rodziców, i tak siedziałam. I kiedy już czułam się całkiem do niej przytwierdzona, jak druga warstwa lakieru, sprawa nabrała rumieńców. Nagle zobaczyliśmy jego – mistrza ceremonii. Nie dało się inaczej określić tego prowincjonalnego plebana, który wstępował na arenę jak triumfujący gladiator. Lewą dłoń przyciskał do piersi, do kryjącego się pod sutanną serca, jego twarz zalewała miodowa poświata, promieniejąca, anielska. Wolno kręcił niedużą głową, omiatając wzrokiem wszystkie swoje owieczki. Zmierzając do ołtarza, podszedł do jednej

z kobiet – była to sympatyczna, rozmodlona grubaska w słomkowym kapeluszu. Przypominała nieco plastikową figurkę z Lichenia; być może nawet, gdyby odkręcić jej głowę, można by z niej łyknąć odrobinę wody święconej. Nie mogłam uwierzyć, że on to zrobił, ale on to naprawdę zrobił – uszczypnął ją w policzek jak dziecko w kołysce, pieszczotliwym gestem! Otworzyłam usta ze zdumienia i obserwowałam go dalej, jak kontynuował wędrówkę, nieustannie obdarzając miłosiernym spojrzeniem wszystkich wiernych. Gdy dotarł na swoje miejsce, teatralnym gestem chwycił mikrofon. Widziałam, że niecierpliwie czeka kazania.

Choć trwaliśmy w oczekiwaniu, wyglądając państwa młodych, co rusz spoglądałam na plebana – w pewien sposób mnie fascynował, wyczuwałam w nim jakiś tragizm, który przybrał kabaretowe oblicze. Łaknął wyznawców, łaknął spektaklu, właściwie jak większość z nas pragnął podziwu, czyjegoś oddania – niby miał Boga, lecz ten sam był pierwszym narcyzem, nie mogli się porozumieć.

Po chwili zabiły dzwony. Wszyscy odwróciliśmy się jak na komendę. Drzwi kościoła rozpostarły się jak wielkie skrzydła, do środka wdarło się światło; para młoda stała u jego źródła, wyłaniała się z tej poświaty, było w tym coś biblijnego. Kiedy zaczęła iść do ołtarza, patrzyłam na nią uparcie, nie spuszczałam z niej wzroku. Szczególnie kiedy mnie mijala – moje oczy nie przepuściły żadnej fałdki sukienki, żadnego zagłębienia w twarzy panny młodej ani grymasu jej przyszłego męża, przesuwałam po nich takim samym wzrokiem, jakim mało zdolny malarz sunie po drogocennych obrazach – był w nim podziw zmieszany z zawiścią. Patrzyłam na to ciało, jej ciało, które zostało wybrane, przypieczętowane i potwierdzone. Choć z jednej strony nią gardziłam – pozwoliła zawiesić się na haku niby świńska tusza w rzeźni i teraz będzie tam dyndać w takt małżeńskiej melodii – to z drugiej strony jej zazdrościłam – będzie już zawsze jakaś, określona i załatwiona niczym pilna urzędowa sprawa, podczas gdy ja będę nijaka, podczas gdy ja będę zawsze tylko niespełnioną możliwością.

Muszę jednak przyznać, że kulminacyjny punkt ceremonii – zaślubiny – obudził we mnie na chwilę człowieka. Kiedy ci dwoje obiecywali sobie miłość, moje gadzie oczy niespodziewanie zaszyły łzami, znikła zawiść i moment trwało, zanim ją w sobie wskrzesiłam. Pomogły mi słowa kazania o tym, że ponoć wszyscy powstaliśmy na obraz i podobieństwo samego Boga, Jezusa, który człowieczeństwo nasze uczynił swoim, i o tym, że powołani jesteśmy do wiecznej radości z Bogiem. Wobec tych słów znów obudziły się we mnie wszystkie złe uczucia i zaczynało mnie cieszyć tylko jedno – że słowa wypowiedane przez prawie małżonków mają wartość monet, którymi później, już za chwilę, zostaną obrzuceni – z entuzjazmem polecą w górę, ale równie nieuchronnie spadną na ziemię, nikomu nie będzie się chciało ich zbierać. Myślałam o tym, miałam na to nadzieję, nurzałam się w tych myślach, patrząc na czubki swoich butów, w odrobinę już lepszym nastroju; byłam królową Schadenfreude.

– Obiecuj, obiecuj, że nie skrytykujesz! – szepnęłam gorączkowo do matki, gdy tylko usadowiłyśmy się za jednym z długich stołów rozstawionych w sali przystrojonej białymi balonami i kwiatkami, jakaż ulga, że podczas każdego z wesel już zaraz można liczyć na alkohol. Jednak nie do końca tę ulgę odczuwałam, byłam przecież w towarzystwie rodziny, a to oznaczało, że trzeba mieć się na baczności, a to oznaczało problemy. Moje rozgorączkowanie było uzasadnione – wśród wielu rzeczy, z których słynęła moja matka, naczelne chyba miejsce zajmowało krytykowanie wszystkich i wszystkiego. Ja byłam królową Schadenfreude, ona królową krytyki. I teraz, w otoczeniu tych białych baloników, długich stołów, szykującej się do występu orkiestry oraz zebranej tu wokół nas, wbitej w odświeżone stroje rodziny, rodziny, na której twarzach malowało się przemożne pragnienie rozbicia banku z wódką i spuszczenia komuś wpierdolu, nadchodził czas spektaklu.

– Czego? – zdziwiła się jak zawsze. Jej brew uniosła się o milimetr, a nad nosem pojawiła się pełna zdumienia kreska.

– Schabowego – odpowiedziałam z naciskiem, gdy tylko ten, w asyście frytek i mizerii, pojawił się przed nami na stole.

Było się czego obawiać. Moja matka znana była z tego, że za każdym razem, gdy spotykała się z jedzeniem nie swojej produkcji – a natrafiała na nie stosunkowo często, choćby podczas chrzcin, wesel czy imienin rozmaitych kum – pastwiła się nad nim jak zbrodniarz nad jeńcem wojennym. Trafiając na kotleta, kilkoma celnymi ruchami widelca zdzierała z niego panierkę, podnosiła ją do góry, zawieszając znacząco przed oczami obserwatorów – najczęściej moimi, ewentualnie także mojego ojca – jakby zgromadzonemu tłumowi prezentowała ściętą głowę skazańca – i mówiła: „Skandal. Kotleta nie potrafią zrobić. Panierka odłazi”.

Innym razem na przykład wbijała nóż w mięso, odkrawała kawałek, marszcząc przy tym brwi, i wpatrywała się w swą zdobycz ze skupieniem, jak astronom w swą lunetę. Po trwającej parę sekund, cichej kontemplacji wydawała surowy wyrok: żylaste. Za tłuste. Stare. Twarde.

Uwagi czyniła głośno i bezceremonialnie, jakby była jedną z głównych uczestniczek konferencji *Nieprzydatność mięsa do spożycia na ziemiach polskich w XXI wieku*.

– Nie no, niby dlaczego miałabym krytykować? – zapytała niewinnie, zaciskając wargi, i już widziałam, jak widelec drży w jej dłoni, jak cała już rwie się do tej panierki, zmierza do tego Bogu ducha winnego kotleta, żeby go oskórować.

Nic jednak nie powiedziała, z nieco mniejszym zapalem przystąpiła do zwykłych czynności. Zerknęła na talerz, a potem na menu. Szukała czegoś nowego, skoro jej sztuczka ze schabowym została zdemaskowana i nie przyniosłaby już spodziewanego suspensu.

– Dlaczego te frytki są belgijskie? – zapytała wreszcie, znalazłszy upragnioną dziurę w całym. Jej nastrój był konfrontacyjny.

Spojrzałam na menu, na nią, na ojca, przed siebie, w przestrzeń, w której do wykonania *Białego misia* szykowała się orkiestra.

– Bo są z belgijskich mrożonek – odparłam.

Być może doszłoby tu do jakiejś awantury, może nawet do rozruchów na antyeuropejskim tle, kątem oka widziałam, jak jeden z wujów już szyje nogą na dźwięk słowa „belgijski”, ale na szczęście doszło tylko do alkoholu. Nastrój mej matki złagodniał, jedliśmy w milczeniu – upajałam się tym momentem, albowiem był to ostatni moment tej imprezy, w którym jeszcze mogłam być traktowana jak inni, czyli normalnie. Obiadu starczyło dla każdego, podczas tańców robiło się dużo mniej egalitarnie – partnerów starczało tylko dla tych, którzy wyglądem znacznie odbiegali od konserwy.

Ze ściśniętym żołądkiem przywitałam zatem chwilę, w której małżonkowie weszli na parkiet. Zapowiadała ona moje niechybne upokorzenie. Zaczęli swe harce; patrzyłam na nich z niechęcią i miałam nadzieję, że choćby się poślizgną, że dojdzie przynajmniej do małej jakiejś kompromitacji dzięki której i ja będę mogła poczuć z innymi wspólnotę doświadczeń, jeśli akurat tej całej miłości zupełnie nie umiałam sobie wyobrazić.

Oczywiście nic takiego się nie zdarzyło, wszystko poszło gładko, po chwili pary ruszyły na parkiet, zwawo, z przytupem, niby wezwane do ataku oddziały wojska, patrzyłam na nie, różowe, zielone, żółte węże na ich twarzach, zajadły, pulsujący piekłem stroboskop, patrzyłam, pogryzałam paluszki i patrzyłam tak godzinami, na parkiecie zmieniały się konstelacje par, a przede mną zmieniały się tylko potrawy: bigos, żurek, flaczki.

I tak aż do tego przełomowego momentu, kiedy to zobaczyłam go na horyzoncie.

Nie mogłam w to uwierzyć, ale on zbliżał się do mnie. Zbliżał się do mnie i był zdecydowanie mężczyzną w wieku produkcyjnym, wcale nie karłem cyrkowym ani mutantem; właśnie puścili coś wolniejszego, parkiet zaludnił się parami zrosniętymi ramionami, jakby to była impreza integracyjna bliźniąt syjamskich; grały piszczałki, gitary, werble. On zbliżał się do mnie nieuchronnie jak przeznaczenie, z początku majaczył tylko na

horyzoncie, teraz już całkiem nabrał kształtów, dzieliło mnie od niego kilka metrów, jego oczy wbijały się w moje jak drzazgi. Strach mieszał się we mnie z ekscytacją, przebierałam pod stołem butami z zaprzeszłego sezonu, a moje serce wykonywało istne piruety, bałam się, że rozsadzi mi klatkę piersiową. Wreszcie podszedł do mnie, jego cień zagarnął mnie całą jak w ekspresjonistycznym filmie, stał nade mną niby kowboj w westernie. Powoli podniosłam na niego wzrok. Światło hasało po naszych twarzach, w tej krótkiej chwili wyobraziłam sobie, jak bierze mnie za rękę i zaciąga tam, w ten żywy, kłębiący się przed nami tłum, a wtedy ja przylegam do jego ciała niczym szyta na niego druga skóra i tańczymy razem tych jebanych Scorpionsów czy co tam puścili, tańczymy tak, jakbyśmy tylko po to się narodzili, żeby tańczyć ten kawałek.

– Jestem świadkiem pana młodego – powiedział po chwili wahania, w której stał nade mną, smukły jak drzewo i równie milczący, przebierając długimi palcami, długimi jak gałęzie. – Zgłoszono mi, że ktoś tutaj zapaskudził stół i właśnie to widzę... Możesz się tym zająć, mogłabyś to posprzątać? – To mówiąc, wskazał na plamy po rosoli i po sałatce warzywnej, niezgrabnie wygrzebywanej z salaterki.

Wbiłam oczy w kawałki marchewki, podobnej barwy co teraz moje policzki.

Wyklęty, powstań, ludu ziemi – pomyślałam, ale nic nie powiedziałam, tylko potulnie chwyciłam papierową chusteczkę. Czyściłam plamy, patrząc, jak jego sylwetka oddala się, zgrabnie manewruje między stołami, czyściłam zawzięcie, spoglądając na jego plecy rozmywające się w oddali. Scorpionsi zawadzili niemiłosiernie, widziałam daleką kuzynkę mojej mamy obejmującą pulchnymi ramionami swojego męża, którego dłonie ścisnęły ją w taliu niczym najbardziej drogocenny przedmiot. Widziałam wuja, którego twarz przyciśnięta była do twarzy ciotki, jego wąsy ją łaskotały, uśmiechali się do siebie, szepcząc coś w tańcu; czyściłam obrus coraz mocniej, aż białą mi kostki. Światła padały na ich twarze, układały się w węze,

w zygzaki. Cała sala była wypełniona, stałam sama nad tym długim stołem, z papierową chusteczką w dłoni, wreszcie odsunęłam obrus i polerowałam nawet blat, polerowałam go, aż zrobił się tak czysty, że można tu było poprosić moją matkę i całe jej bractwo Sanepid, że można było przeciągać po nim tymi językami trzymanymi teraz, jak widziałam, w ustach innych, że można było przeciągać po nim językami podatnych na alergię przedstawicieli klasy wyższej, tej samej, która nie robiła nic innego, jak tylko je w moim kierunku wystawiała, całe życie je tylko wystawiała, abym je widziała, czerwone, odległe, dyndające mi przed oczami jak niedostępny cel na strzelnicę.

Potem niewiele się działo, wszystkie marynowane grzybki zostały zjedzone, wszystkie modlitwy za państwa młodych zmówione, wszystkie historie rodzinne opowiedziane, impreza zmierzała ku końcowi niczym samokontrola tu zebranych, poległa w starciu z hojnie polewanym alkoholem. Odwieziono nas do domu, jechaliśmy przez nocne miasto trochę zamroczeni wódką, moja matka patrzyła na mnie tak jak zawsze, to jest z politowaniem, a mój ojciec z dozą współczucia; byłam pewna, że przypominali sobie ten moment sprzed trzydziestu pięciu lat, kiedy ich ciała zaległy na jakimś tapczanie, przy słomiance przygwożdżonej do ściany, i skrycie żalowali, że PRL nie oferował im lepszej antykoncepcji.

Położyłam się w łóżku, w swoim dawnym pokoju, tym samym, w którym słuchałam Doorsów, tym samym, w którym słuchałam Roxette, tym samym, w którym tyle razy myślałam nad swoim bezsensownym poczęciem, jeden plemnik na jedną komórkę jajową, pomyśleć, że inny dzień, inna godzina i mogłyby tu zagrać zupełnie inne chromosomy – ta refleksja zawsze wpędzała mnie w czarną rozpacz, nie mogłam pogodzić się z przypadkowością tego wszystkiego. Równe oczy, równe uszy, całkiem odpowiednio rozstawione nogi i genetyczny spryt zależne od roku, miesiąca i godziny, ba, minuty. Dlaczego komórki zafundowały mi takie upokorzenie?

Leżałam na moim dziecięcym łóżku, rodzice poszli spać. Nic a nic się tutaj nie zmieniło, dalej piły mnie sprężyny, a ze ściany patrzył na mnie portret dziadka – robotnika kolejowego o zadziornym wyrazie twarzy – i jego żony, hodującej barany, zastraszonej kobiety; obraz Polski w budowie, opartej na zmęczeniu i strachu, bólu i przynagleniu; byłam czarnym owocem tego wszystkiego – trzecim pokoleniem, któremu miało się wszystko udać, a które skończyło jako produkt uboczny przemian, ofiara samej siebie. Byłam tak bardzo niczym.

Leżałam na moim dziecięcym łóżku, sprężyny piły mnie w plecy, słyszałam całą melodię młodości, całą melodię młodości, której werble były żywe, pełne energii, obiecywały tak wiele, wygrywały takt zwycięzców, a dziś kończyły się tylko jękami przegranych. Za oknami gasły ostatnie już światła, leżałam na swoim tapczanie, myśląc o tym, czym chciałam kiedyś być i czym nigdy nie zostałam. Myślałam o tym tapczanie, który niósł moje ciało przez kolejne noce, moje ciało wzrastające ku niczemu, wciąż przybierające na wadze, lecz nie na ważności, moje ciało, które przez te wszystkie lata zaznało jedynie dotyku szorstkiego prześcieradła rozkładanego na tym łóżku z ponurą regularnością, pranego, suszonego, wietrzonego i znowu tu kładzionego, na przemian z drugim, równie burym, nijakim, równie dobrze mi znanym. Towarzyszyliśmy sobie przez te wszystkie noce, właściwie tak samo milczące, jednakie – każdej nadchodził ten moment, w którym zgiełk ustępował miejsca ciszy, a oczekiwanie zwątpieniu i – w asyście tej samej poduszki i tej samej kołdry – zostawialiśmy za sobą kolejny dzień, w którym nic się właściwie nie zdarzyło, nic się nie odmieniło; moje dłonie bezradnie obejmowały pościel.

Teraz, kiedy rodzice spali, całe osiedle spało, a ciemność zapadła nad nami nieodwołalnie i jedynym dźwiękiem, który docierał do moich uszu, był szum wody spuszczonej czasem piętro wyżej, zrobiłam znów to, co robiłam czasem w młodości, zawsze po cichu i w tajemnicy: wcisnęłam twarz w poduszkę i zaczęłam bezgłośnie płakać.

VI

Byłam teraz gdzieś między łazienką a pokojem – choć od telefonu dzieliły mnie prawdopodobnie jakieś dwa metry, dla mnie to był dystans długości Trasy Toruńskiej. Pełzanie do pokoju w drgawkach – nowa, osobliwa dyscyplina przedśmiertnej paraolimpiady. I wciąż trwał mój wieczór wspominkowy, najbardziej jaskrawe fragmenty upartego życia przelatowały mi przed oczami.

Owszem, skończyłam szkoły, ale nie jest to w dzisiejszych czasach żadnym osiągnięciem, poznałam kilku ludzi, ale mój apetyt na głębszą z nimi znajomość pozostał niezaspokojony – nie udało mi się wypracować żadnej przyjaźni poza jedną bliższą nieco znajomością, o której później. Nie weszłam w żaden związek uczuciowy, a jako że w żaden nie weszłam, żadnego również nie skonsumowałam. Dziesięć lat temu wyjechałam z krakowskiego osiedla i przyjechałam do Warszawy.

Poza tym żyłam jak szczur kanałowy. W moim życiu nie było żadnych wydarzeń.

Rzadko gdziekolwiek wychodziłam, a już szczególnie rzadko do pracy – głównie dlatego, że jej nie miałam. To znaczy – nie do końca. Nie miałam pracy, do której mogłabym wychodzić, oraz nie miałam pracy, z której mogłabym się utrzymać. Jak wielu innych byłam freelancerem walczącym o przetrwanie. Pisałam i tłumaczyłam to, co mi dawali, stając się specjalistką od wszystkiego: branży nabiałowej, robotów przemysłowych, opakowań wielokrotnego użytku, życia i śmierci w rozmaitych znoszących się ujęciach. Spędzałam całe dni nad broszurami dotyczącymi kotłów jedno–

i dwufunkcyjnych, ulotkami poświęconymi problemowi chorób wpływających na reprodukcję bydła, a także tymi pełnymi porad dotyczących kolostomii i ileostomii – wiedziałam wszystko na temat ilości wody niezbędnej do najrozmaitszych rodzajów lewatywy, które zresztą, zbudzona pośród ciemnej nocy, mogłam wyrecytować jednym tchem, bez zajknięcia, niby nasi pradziadowie *Rotę*. „Metody walki ze szrotówkiem – pomóżmy kasztanowcom” – to również miałam obcykane, stabilizatory głowic poszerzających, kuracja oczyszczania wątroby metodą Huldy Clark, zagospodarowanie pyłów stalowniczych – bycie ekspertem od wszystkiego nie jest, jak widać, jedynie domeną bogów czy erudytów. Jeśli kto chciałby natomiast mnie oskarżyć o tkwienie w sprawach pospolitych, przyziemnych – niech cofnie te słowa! W ezoteryczno-egzystencjalno-traumatycznych również się specjalizowałam: istnienie bądź nie jaszczurów z kosmosu, jak żyć z przerzutami nowotworowymi do kości, kundalini – przebudzenie energii wewnętrznej, wszystkie cztery zebrane prawa życia duchowego – tłumaczyłam bądź, co gorsza, pisałam o tym wszystkim na podstawie dostępnych materiałów, czując się czasem jak guru niezidentyfikowanego kościoła rozpowszechniający na powielaczu swoją bezradność ukrytą pod pozorowaną pewnością, jak jednoosobowa fabryka treści służących obsłudze życia dla osób duchowo niedomkniętych – i choć w sumie wydawało mi się, że jestem jedną z nich, zupełnie mi to nie pomagało.

Nie pomagało to również, niestety, stanowi mojego konta. Dorywcze prace sprawiały, że czułam się czasem jak dziewiętnastowieczny robotnik sezonowy – podobne zarobki oraz ilość upokorzeń. Właściwie się z tym wszystkim pogodziłam – chciałam już tylko co miesiąc mieć mniejszy debet, co zresztą rzadko mi się udawało. Jako że moje sprawy zawodowe wyglądały tak samo od lat, przestałam wierzyć w jakąkolwiek odmianę losu. Byłam jak pies z eksperymentu Seligmana – wielokrotnie rażona prądem leżałam już tylko bezradnie w klatce, obojętna na kolejne wstrząsy.

Skupiaj się na zaletach obecnej sytuacji – radziły poradniki, radziły

różne artykuły w internecie. Trudno mi było jakieś znaleźć. Z pewnością mój fach miał jeden plus: skutecznie izolował od ludzi. Wszyscy na tym korzystaliśmy.

Prócz żalonych dorywczych prac, pozwalających mi z wielkim trudem utrzymać się na powierzchni, w moim życiu nie było niczego. Życia towarzyskiego nie miałam, nie byłam bowiem atrakcyjna towarzysko – przyjść ze mną na imprezę to jakby przyjść na nią z powiększonym do ludzkich rozmiarów gekonem; podobieństwo tyczyło się urody, stosunku do używek i małomówności. Cóż zatem ze mną robić? Nikt nigdy nie doszedł, jaki ze mnie zrobić użytek.

W ramach wydarzeń w moim życiu na upartego mogłabym jeszcze dorzucić obiady z mrożonek oraz rzadkie seanse pornograficzne, które mnie nawet nie podniecały, bowiem wszyscy w nich byli za ładni, przez co nie mogłam się utożsamić z żadnym z bohaterów. Czegoś na kształt identyfikacji zaznałam tylko raz – było to podczas seansu pornosu, w którym zwieńczeniem wątku dramatycznego obejmującego kopulację trojga bohaterów w kilku objętych scenariuszem pozycjach był finisz do ust aktorki, zresztą w dziwnej, powtarzającej się serii. „Połknij” – mówił za każdym razem aktor do swej ekranowej partnerki, strzykając jej czymś do ust, nie byłam pewna, czy to w ogóle sperma, gdyż było to raczej rzadkie i wystrzeliwało pod wielkim ciśnieniem, jak fontanna – dziś nawet oglądając pornosy, człowiek traci zaufanie do rzeczywistości, weryzm nie jest ich mocną stroną. Tak czy siak, aktorka wykonywała to polecenie, na początku dzielnie, później coraz bardziej się krztusząc i ostatekiem sił walcząc z odruchem wymiotnym, do końca jednak grała zadowoloną. Podejrzewam, że tak zapisano w scenariuszu. I wtedy, kiedy patrzyłam na tę jej twarz wykrzywioną obrzydzeniem, które usilnie i bezskutecznie kontrowała fałszywym, ale pożądanym przez innych zadowoleniem, zrozumiałam, że wreszcie znalazłam coś, z czym doskonale mogę się utożsamić.

Jeśli chodzi o pornosy, to oglądałam je głównie po to, żeby przypomnieć

sobie o tym wszystkim, w czym nie mogłam brać udziału. Patrząc na pornosy, doznawałam jedynie gorzkiego rozczarowania na widok tych wszystkich ciał odbiegających od mojego, na widok tych genitaliów odbiegających od moich, na widok tych okrzyków, które miały się nigdy nie wydobyć z moich ust. To wszystko mnie nie podniecało – to wszystko mnie obrzydzało i odrzucało. Te szczupłe ładne ciała z cyckami wielkimi jak wielkanocne babki, z genitaliami precyzyjnie odlanymi od sztancy; genitaliami jak ciasteczka z idealnie równych foremek brzydziły mnie i odrzucały. Moje krocze tak nie wyglądało. Nigdy nie wyglądało dobrze, a teraz jeszcze gorzej – jak stary zamyślony mąż. Dlatego to wszystko uzmysławiało mi tylko własną niemoc i samogwałtu dokonywałam gdzie indziej – na chaturbate.com bądź na omegle.com – zaspokajając w ten sposób również potrzeby towarzyskie.

To kanały, które odkryłam przez przypadek w niezgłębianych odmętach internetu. Byłam tym wszystkim zafascynowana – te setki ludzi pokazujące swoje ciała za wirtualne pieniądze zwane tokenami, te setki ludzi będących własną ofertą. Intrygowało mnie to, że kapitalizm stwarzał im tyle szans, tyle możliwości, żeby na sobie zarobić, a oni tak gładko przejrzeni jego prawa, tak ochoczo z nich skorzystali – ich genitalia były jakby puszkami na tokeny, a oni – zbieraczami datków na kweście na własną rzecz. W autoreklamie i przedstawianiu swoich ofert byli bardzo profesjonalni; wszystko mieli skalkulowane, podliczone i wystawione na sprzedaż za odpowiednią opłatą – od części ciała po seks przed kamerą czy orgazm na życzenie. Zawrotną karierę robił w tej rzeczywistości różowy przedmiot, prawdopodobnie – choć pewności nie miałam – rodzaj wibratora, który użytkownicy umieszczali sobie w strategicznych otworach, a odpowiednia liczba wirtualnej waluty nasilała wibracje. Właściwie było w tym wszystkim coś pociągającego – ten świat, w przeciwieństwie do realnego, rządził się określonymi prawami, opierał na przewidywalności, której tak brak mi było na co dzień.

Jak powiedziałam, piękne ciała dwudziestolatek wywoływały we mnie tylko zawiść. Kurwy! – myślałam. – Kurwy wirtualnego Babilonu, córki pikselowego Koryntu! Oczywiście nie zamierzałam im za nic płacić, bo już i tak za wiele dostały od losu – za darmo! – ale i tak patrzyłam w nie jak zahipnotyzowana. Patrzyłam na te wypięte dupska machające tym czymś w nie wetkniętym, tym różowym niby to ogonem, jak wesołe zwierzęta w stajni. Profesjonalizm ich zachowań musiał pochodzić z dogłębnej znajomości dzieł darmowej pornografii – nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Celem mej własnej masturbacji wybierałam jednak zawsze ludzi o jak najmniej atrakcyjnych ciałach – chudych jak szparagi, grubych jak opony aut terenowych, wykrzywionych jak drzewa po nawałnicy. Mężczyzn z nieforemnymi penisami i kobiety z nieskładnymi waginami. Siebie oczywiście nigdy nie pokazywałam – z całą pewnością nie miałabym żadnych obserwatorów; byli tam i tacy nieszczęśnicy, ale ja wiedziałam już na wstępie, że nie ma sensu iść w starcie z kapitalizmem. Masturbowałam się więc w swej samotni, pozbawiona cudzych spojrzeń. Masturbująca się trzydziestopięcioletnia dziewica – mogliby mnie wystawić w cyrku obok baby z brodą.

Czasem pozwalałam sobie natomiast na czat z innymi braćmi w onanistycznej wierze, poznałam w ten sposób wielu interesujących ludzi. Wśród nich choćby transa, który dokonał częściowej tylko transformacji – wyjściowo był kobietą, biust sobie odjął, lecz cipę pozostawił. Poczułam z nim wielką bliskość – sama wszak wyglądałam jak ktoś zatrzymany w stadium przejściowym – między gadem a człowiekiem. Skończyłam, wpatrzona w jego lub jej kalekie ciało, sztylet wbity w znienawidzoną przeze mnie kulturę piękna i poprawności; skończyłam z wielką satysfakcją.

VII

Na chwilę zemdlałam, ale zaraz odzyskałam świadomość, jak umiejętnie torturowany więzień polityczny. Byłam już w pokoju i gdy tylko udało mi się przekonać moje oczy, by nie strajkowały i dalej wykonywały swoją typową robotę, jaką od wieków było patrzenie, rozpaczliwie się po nim rozglądnęłam w poszukiwaniu komórki – mojej ostatniej szansy na prolongatę życia. Wreszcie ustaliłam jej położenie. Sofa. Leżała na sofie. Doczołgałam się do niej i próbowałam wystukać odpowiedni numer, jednak i tu trafiłam na schody. Jaki to numer?! Po głowie w szalonym tempie tłukły się mi siódemki i dziewiątki, nie byłam pewna składu tego numeru, dziewiątki wraz z wprowadzającymi momenty przeraźliwego wahania siódemkami wirowały mi przed oczami, jakbym oglądała losowanie totolotka, przewalały się przez wielki wyobrażony bęben – trzy występujące obok siebie cyfry zdawały mi się tak trudne do odtworzenia, jakby kazano mi nagle wyrecytować wartość liczby pi.

Kiedy już nawet ustaliłam, że to same dziewiątki, nijak nie było mi lżej. Ułożenie w szereg trzech dziewiątek – test na inteligencję, który przeszedłby ślimak – zdawało się przekraczać moje obecne możliwości psychoruchowe.

– Umieram, zażyłam antybiotyk na anginę i teraz umieram – wycharczałam do telefonu, kiedy wreszcie mi się udało. Nie byłam w stanie bardziej precyzyjnie ustalić przyczyny swojego beznadziejnego położenia, wszystko, co pamiętałam, to to, że byłam chora, poszłam do lekarza, dostałam antybiotyk i go wzięłam. Zaczęłam bezsilnie płakać, bo kobieta w słuchawce była jedyną osobą, która mnie teraz słuchała, był to jedyny głos

ludzki, który być może słyszałam przed śmiercią. – Mam bąble na całym ciele, nie mogę oddychać – dodałam z trudem, nie wiedząc, czy w ogóle dało się mnie zrozumieć, bo ból gardła i szczękoscisk sprawiały, że niemal nie mogłam mówić.

– Wstrząs anafilaktyczny – rzuciła. Nic mi to nie mówiło. – Reakcja alergiczna, wysyłam karetkę. Ma pani w domu wapno? – zapytała na koniec, ale nie bardzo już mogłam jej odpowiedzieć, że jeśli nawet, to mało przed sobą widzę i ustalenie położenia wapna raczej przerasta moje obecne możliwości, raczej koliduje z moim chwilowym brakiem wzroku, zamiast tego po prostu zalałam się łzami. Konałam w samotności na podłodze cudzego mieszkania jak szczur, który zjadł trutkę.

Tak bardzo nie chciałam umrzeć, że było to aż groteskowe – gdybym była teraz Jezusem niosącym krzyż, natychmiast bym go rzuciła. Oznajmiłabym wszystkim, że się rozmyśliłam. Po prostu nie miałam pojęcia, że to całe umieranie jest aż tak straszne.

Umierałam samotnie w małym wynajętym mieszkaniu, znajdującym się – paradoksalnie w stosunku do mojego życia – na Żoliborzu. Rozglądałam się teraz po nim oczami, które nie chciały już być oczami, ale dwoma ślepymi nabojami wbitymi w moją czaszkę. Kilka rzeczy jeszcze dostrzegłam: stół z kolejną porcją nieprzetłumaczonych jeszcze bzdur, komputer, opakowanie po zupie koperkowej z supermarketu, którą o dziwo, udało mi się zjeść mimo problemów z gardłem, wreszcie komputer, na którym wczoraj oglądałam pornosa, ale bez – że tak powiem – czynnego uczestnictwa, chciałam po prostu podejrzeć Innego w trakcie kopulacji – czy wspominałam już o moich socjologiczno-pornograficznych pasjach?

Moja kawalerka. Wynajęłam ją kilka lat temu. Wcześniej mieszkałam w istnych norach, ale zawsze sama. Nie mogłam żyć z ludźmi, nie mogłam ich znieść – nie pozwoliłaby mi na to moja mizantropia. Tolerowałam ich na odległość, ale przebywanie z nimi w mieszkaniu byłoby torturą – torturą byłoby przekręcanie klucza w zamku, ich ślady w łazience, ich nocny

oddech, nie wspominając już o tym, jaką torturą byłyby odgłosy miłości z ich pokoju; tego nie zniosłabym już na pewno – musiałabym wziąć kuchenny nóż, wejść do nich i podciąć im gardła, by te odgłosy przerwać.

Nie, mieszkanie z kimś było niemożliwe. Gdybym z kimś mieszkała, musiałabym zamknąć się w pokoju i udawać, że na cały okres wynajmu pogrzyżłam się w grze Warcraft.

Zresztą to, że wynajęłam mieszkanie na Żoliborzu i że wynajęłam je sama, chociaż nie miałam pieniędzy, było nie tylko dowodem na skłonność ludzkich stworzeń do absurdałnych działań, ale również, jak sądzę, rodzajem tortury. Mieszkałam w dobrej dzielnicy, z którą łączyło mnie wyłącznie to, że smętnie przez nią przechodziłam, zaglądając innym w okna i wyobrażając sobie alternatywną wersję własnego życia. Zadawałam sobie świadomy ból, to właśnie robiłam, wytrwała masochistka.

Widok na żoliborski ogród, widok na ludzi o twarzach ludzkich i przyjaznych, wpisana w wynajem mieszkania w tej okolicy możliwość wyjścia na zewnątrz po zmroku bez paralizatora – warto, warto było za to wszystko płacić. Warto było za to płacić wszystko, gdyż tak wyglądało to w moim przypadku. Debet – słowo klucz do mojego życia. Było to oczywiście irracjonalne, ale dlaczego właściwie miałabym działać racjonalnie, do czego miałyby to mnie doprowadzić? Moje spotworniałe ciało przeczyło racjonalności, która winna cechować produkcję człowieka, więc właściwie działałam w zgodzie ze sobą.

A jednak teraz pożałowałam swojej mizantropii. Współlokator był wszystkim, o czym mogłabym marzyć, gdy tak konałam jak zwierzę – w ciszy i samotności, otwierając ze zdumienia usta. To już? W rozpaczyczołgałam się z obolałą, krwawiącą głową po przedpokoju, w sumie nie wiadomo, dokąd zmierzając i modląc się o sygnał karetki.

Konające zwierzę – tak o sobie myślałam i teraz przypomniały mi się inne konające zwierzęta, te pechowe cielęta w rzeźniach, wstające jeszcze na

rachityczne, trzęsące się nogi po pierwszym ciosie obuchem w głowę. Słyszałam o tym od syna sąsiadów, lata temu, gdy spędzałam wakacje na wsi. Opowiadał to, śmiejąc się do rozpuku – uderzyło mnie, że dla miejscowych dzieci śmierć była równie naturalna, co wszystko, czemu się oddawały na co dzień; po świniobiciu bawiły się wyglądającymi jak balony świńskimi pęcherzami, należącymi do tych samych zwierząt, które jeszcze kilka dni wcześniej odwiedzały w chlewie, pomagając rodzicom łać im do koryt breję, którą się żywiły. Te same świnie, wtedy żywe, teraz były swoimi własnymi pęcherzami w dłoniach tych dzieci i w tej formie szybowały pod sufit wśród radosnych pokrzykiwań, czasem tylko objając się o krawędzie wysłużonego drewnianego kredensu.

Pechowe były te świnie, pechowe te cielęta, których różne części ciała można potem dusić w winie z marchewką. Ja i tak miałam gorzej, bo żeby się udusić, nie potrzebowałam ani wina, ani marchewki, wystarczył postępujący obrzęk krtani. Znowu opadłam na kolana, niczego już przed sobą nie widziałam, przyłożyłam dłoń do głowy – ewidentnie leciała z niej krew.

– Nie chcę umierać – szepnęłam, choć wkoło nie było żadnych słuchaczy, próbując jeszcze jednym uchem wyłowić odgłosy ulicy, odgłosy świata, który właśnie mi się wymykał. Rozpaczliwie nadstawiałam uszu, spodziewając się sygnału nadjeżdżającej karetki, ale nic z tego. Słyszałam jedynie odległy i jednostajny szum miasta.

Opanowując przerażenie, położyłam się na podłodze, w pobliżu sofy, i próbowałam uspokoić oddech, tak jak uczono mnie na warsztatach mindfulness. Tak, byłam na takich warsztatach. Byłam na tych i na innych warsztatach, bo wiedząc to niby-życie, od lat intensywnie szukałam czegoś dla siebie; czegoś, co pozwoli mi być sobą na nowo; czegoś, co w ogóle pozwoli mi być sobą – cokolwiek to znaczy; w każdym razie czegoś, co mnie zainteresuje, pochłonie, wypełni czas i jednocześnie pozbawi mnie moich typowych zainteresowań: klamek, sznurów, zbiorników wodnych czy

budynków wielopiętrowych.

Czego ja nie próbowałam! Do przełomu nie doprowadziły lekcje jogi, seanse medytacji, seanse spirytystyczne, *Bhagavadgita*, lektura Marka Aureliusza, konsumpcja wina na czas, jazda konna, mindfulness właśnie ani wizyta w saunie – tę ostatnią wspominam zresztą najgorzej. Poszłam do sauny kiedyś w Niemczech. W Polsce zasady są być może mniej restrykcyjne, ale byłam w Niemczech – państwie przywiązanim do porządku, państwie, którego język brzmi jak język rozkazów. Przerażona mijałam kolejne pomieszczenia, po których przechadzali się otyli Niemcy bezceremonialnie drapiący się po jajach i ich koleżanki, być może żony, dowodzące, że depilacja na zero jest jednak wymysłem najmłodszego pokolenia.

– Naga strefa – zakomunikowała herod-baba, która wyrosła przede mną niby nagle opuszczony szlaban.

Wprawdzie powiedziała to po niemiecku, ale dobrze ją zrozumiałam – spoglądała na ręcznik, w który byłam szczelnie owinięta, tak jak spogląda się na wchodzących do samolotu Arabów.

– *I don't understand* – odpowiedziałam chytrze, chcąc grać na zwłokę.

– *Your towel down* – zakomenderowała swoim angielskim, równie mało zaawansowanym jak moja umiejętność krążenia nago wśród przedstawicieli własnego gatunku.

– *Is that necessary?* – zapytałam rozpaczliwie.

– *Yes. It's a naked zone.*

To wszystko razem, ta przymusowa nagość, rozkaz i jej niemiecki, źle mi się kojarzyło, osłaniałam się tym ręcznikiem jak tarczą. Wreszcie, pod presją jej okrutnego spojrzenia, powoli go opuściłam – myślę, że przypominało to moment, gdy wyciąga się ciasto z piekarnika i zamiast wymarzonego murzynka widzi się gigantyczny zakalec. Spojrzała na mnie raz jeszcze – teraz w jej oczach dostrzegłam odrobinę współczucia. Odprowadzana jej wzrokiem, szłam do łaźni parowej jak na ścięcie.

Wsunęłam się tam z przerażeniem, miałam nadzieję wcisnąć się w jakieś miejsce tuż przy wejściu, tak żeby nikt nie mógł się mi przyjrzeć. Co, jak można się domyślić, nie nastąpiło. Prawie wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie, te wstrętne nagusy, siedzieli niemalże wszędzie, na wszystkich ławkach, tworząc coś w rodzaju łoży szyderców biorącej na cel ostatnich wchodzących tu nieszczęśników. W sumie zupełnie już mnie to nie dziwiło, że kimś takim znowu muszę być ja. Właściwie chciałam się wycofać, ale za mną z kolei stała ta herod-baba, trzymająca w ręku coś, co jak się później okazało, służyło do rozpylania w powietrzu olejków eterycznych, wtedy przypominało mi pistolet do usypiania bydła. Kierunek był więc jeden: przed siebie. Zaczęłam się przeciskać między tymi golasami, między tymi piętrowymi ludzkimi zwałami, które, jak mi się wydawało, nie tylko nie chciały się posunąć ani o milimetr, żeby mnie przepuścić, ale wręcz przeciwnie, jeszcze się do siebie zbliżały, jeszcze się ciaśniej zwierzały, jak kordon policyjny, i chichotały pod nosem, jak gdyby właśnie usłyszały jakiś przedni dowcip.

Lawirowałam, jak mogłam, by trafić na jedyne jeszcze wolne miejsce u samej góry, między nimi wszystkimi. Czułam na sobie ich spojrzenia, ostre, niechętne, kłujące jak szpileczki. Minęłam zwałistego dziada, minęłam jego kolegę – staromodnego ostańca wśród współczesnych wymodelowanych ciał, minęłam jakąś kobietę, w której umieszczonym między udami, obfitym gnieździe mogły zalęgnać się ptaki nieznanymi gatunków. To dziwne – pomyślałam. Niemcy – kolebka cywilizacji, Niemcy – kraj filozofów, a jak widać, nic a nic nie przyswoił jednego z powszechnych współcześnie jej kierunków – filozofii depilacji... Wreszcie dotarłam na samą górę, na swoje miejsce, i tam zasiadłam jak samozwańcza władczyni królestwa maszkaronów.

Siedziałam i patrzyłam. Wbijałam wzrok w zwarty szereg rozebranych mężczyzn siedzących naprzeciwko mnie, cały ich las, groteskowe stado krępych, porośniętych ciemnym włosiem osobników. Tacy akurat

przeważali, jedynie kilku było gładkich niby antyczne rzeźby i o jasnej skórze. Nie wiedziałam, co za to winić – politykę uchodźczą Merkel?! Wizyta w saunie, umieszczenie w saunie nagiego ciała, które przeczy społecznej umowie co do tego, jak wyglądać mają ludzkie ciała, to wydarzenie sporego kalibru. Patrząc na tych wszystkich golasów w szeregu naprzeciwko mnie, czułam się, jakbym przyszła na gangbang, który w ostatniej chwili anulowano. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie jak dwie wrogie drużyny – ich rząd kontra mój rząd, złożony zresztą też niemal zupełnie z mężczyzn; oprócz mnie siedziała w nim jedna tylko kobieta, lecz stara. Młody pasztet lub zwiędły motyl – nie zazdrościłam im wyboru. Ich wzrok nie miał się na czym zatrzymać, krążył nad nami, omijając przeszkody, czyli nas dwie. Byłam jak uliczny wisielec – służyłam tylko do tego, aby mój widok wstrząsał przypadkowymi widzami.

Człowiek to stworzenie, które nie cofnie się przed niczym. Dowodziły tego moje kolejne posunięcia. Gdybym musiała wymienić to, czego mi brakuje, wymieniałabym wszystko, ale przyparta do muru obstałabym brak dotyku. Uświadomiłam to sobie właściwie przypadkiem, oglądając film dokumentalny poświęcony pewnemu eksperymentowi. Jeśli chodzi o eksperymenty, to generalnie je uwielbiałam, szczególnie te z rażeniem prądem, gdy już, już miało dojść do pozytywnego rozwiązania – może dlatego, że tak bardzo przypominały mi moje życie.

W tym, o którym teraz mowa, naukowcy postanowili sprawdzić, jak będą się rozwijać małe niedźwiadki oddzielone od matek, pozbawione dotyku. Efekt był szokujący: źle. Pamiętam te niedźwiadki, krążące w kółko po jakiejś zaimprovizowanej przestrzeni, pozbawione kontaktu z czymkolwiek ciałem, ocierające się o kanty jakichś przedmiotów, wydające z siebie głuche ryki rozpacz. Drogie, jebane niedźwiadki – pomyślałam wtedy – może niejaką pociechą będzie wam to, że ten eksperyment przeprowadzano również na mnie! Czułam się dokładnie tak samo, rzucona w przestrzeń pustego, wynajętego w pojedynkę mieszkania.

Jak mogę zapewnić sobie ludzki dotyk? – zastanawiałam się. Googlujcie, a znajdziecie – trzymając się tej wiekowej maksymy, doszłam do rozwiązania. Masaż. Nie powiem, żeby ze względu na sytuację finansową mnie to nie przerażało, postanowiłam jednak wsłuchać się we współczesny przekaz dotyczący inwestycji i ich opłacalności. Zainwestuję w ludzki dotyk i to się opłaci.

Myślałam, że rzecz nie będzie skomplikowana, lecz zdradzało to jedynie moją naiwność. Żadna decyzja konsumencka nie jest dziś prosta – tyrania wyboru załatwi najbardziej prostoliniwną duszę! Weszłam do internetu, wklepałam „masaż” i przed moimi oczami zaczęły się kłębić setki, tysiące ofert, typów i podtypów masażu, ich odnóg, zamienników, ich sióstr i braci, ich wariacji. Tajski, leczniczy, lomi-lomi, miodowy, czekoladowy, relaksacyjny – okazało się, że aby iść na masaż, najpierw należy zostać od niego ekspertem; doprawdy, życie bez menedżera od wszystkiego stawało się powoli niemożliwe.

Wybrałam tajski metodą na chybił trafił. Kosztował sto pięćdziesiąt złotych. Sprawdziłam możliwości dalszego zadłużania się na koncie – dałoby radę.

Przed gabinetem dopadły mnie moje typowe wątpliwości – lepiej nie wchodzić, przecież tam są ludzie, nie pasujemy do siebie gatunkowo. Powtarzałam sobie jednak, że chodzi o dotyk, usiłowałam zwizualizować dłonie drugiej osoby na swoim ciele, dłonie chętne i ciepłe, i uświadamiałam sobie, że jeśli teraz stchórzę, dalej będę jak te nieszczęsne niedźwiadki – pozostanie mi wycie, rozpaczliwe rzucanie się po pustych kątach i uderzanie głową w ścianę. Zaciekle negocjowałam więc z własną neurozą, racjonalizowałam sobie to wszystko. „Niepowodzenie jest podstawą zmian” – czytałam w różnych broszurkach, czytałam w internecie. To była woda na mój młyn. Byłam człowiekiem, który miał solidne podstawy do tego, by zbudować na nich coś spektakularnego.

W wybranym dniu stawiałam się w salonie masażu, ze strachem weszłam

do środka. Czulałam się, jakbym wkroczyła na plan filmowy *Siedmiu lat w Tybecie* – wszędzie roztaczał się zapach kadzideł, z okolic sufitu sączyła się muzyka, którą określiłabym mianem ezoterycznej, i w ogóle wszystko wkoło było tak bardzo zen, że zaczynało mnie to przekonywać; postanowiłam, że gdy tylko stąd wyjdę, i ja wezmę buddyzm pod rozwagę – lepiej późno niż wcale. W czerwono-czarnej recepcji oprócz drewnianego słonika siedział młody mężczyzna, nieco przestraszony, nieco oskubany – jak kurczak tuż przed rzutem na taśmę. Jego niepokój wzmógł się na mój widok. „Na zmianę rysów twarzy to nie u nas, to piętro wyżej” – zdawało się mówić jego spanikowane spojrzenie. Zniosłam to domniemane upokorzenie i dzielnie przebrnęłam kilka metrów, które mnie od niego dzieliły.

– Dzień dobry, ja na masaż... – powiedziałam niepewnym głosem. – Tajski.

– Czy pani u nas pierwszy raz? – spytał uprzejmie, choć wydawało mi się, że wyczuwam nutę niechęci czy też niepokoju. Nie było to dla mnie niczym nowym.

– Owszem – odpowiedziałam.

– Proszę wypełnić ankietę – zarządził.

Zastanawiałam się, na jakiego typu pytania natrafię, na przykład: „Zakład cyrkowy, z którego uciekłeś”, „Sprawa kryminalna, w której jesteś świadkiem koronnym już po operacji plastycznej* (*nieudanej)”, „Sukiennice, z których odpadłeś”. Jednak pytania okazały się standardowe.

Wzrok recepcjonisty sunął po mnie niepewnie, prawdopodobnie zaskoczony nieurodzajem.

– Skończyłam – powiedziałam, oddając mu ankietę, lekko spocona od tych przeżyć.

Odebrał ją, obrzucił mnie kolejnym dziwnym spojrzeniem („Mam pieniądze! – chciałam zapewnić. – Wszystkim dawali coś na drogę po wypuszczeniu z cyrku!”) i zdobywając się na sympatię i uprzejmość, być może na widok tej odpowiedzi w ankiecie o braku przebytych chorób,

powiedział:

– Proszę bardzo, tędy.

Poszłam za nim przejęta jak kandydat na masona w dzień wstąpienia do loży. Weszliśmy do zaciemnionego pomieszczenia. Pośrodku sali stało długie łóżko przykryte ciemną narzutą, półmrok rozjaśniały zapalone świece.

– Proszę się przebrać i poczekać na masażystkę – powiedział chłopak, wskazując na wiszące obok ubranie.

Czy to na pewno będzie na mnie pasować? – zastanawiałam się. Moje obawy spotęgowane były tym, że w zasadzie nie istniały ubrania w moim rozmiarze, gdyż musiałyby być to ubrania gdzieś w rozmiarze XS, gdzieś w rozmiarze XXL. Wydaje mi się, że szycie takich rzeczy mogłoby się okazać rokującym, zapełniającym niszę biznesem. Chłopak wyszedł, a ja, rozgrzana od nadmiaru wrażeń, zaczęłam wkładać ten kostium. Leżał nie najgorzej – były to luźne spodnie i także koszula, w sumie rodzaj wygodnej pidżamy w ciut wschodnim stylu. Przebrałam się i znów – jak zwykle – nie wiedziałam, co robić. Trochę się pokręciłam w kółko, na chwilę przysiadłam na łóżku, wstałam. Zapatrzyłam się w figurkę stojącą w rogu pokoju. Trąba słonika wznosiła się triumfalnie, co współgrało z moim nastrojem – byłam dość podekscytowana, choć też, nie da się ukryć, przestraszona.

Masażystka wzięła mnie z zaskoczenia – właśnie siedziałam na łóżku. Wrzasnęła coś, czego nie zrozumiałam, w swoim przerażającym języku, tak że aż podskoczyłam i trochę opadły mi spodnie. Wstęp do dalszych kompromitacji załatwiony. Odwróciłam się nerwowo i na nią spojrzałam: była mała, wojownicza, żyłasta i zwinna – wyglądała, jakby dopiero co zesza z planu *Przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka*. Zastanawiałam się, czy od razu wskoczy mi na plecy, czy najpierw przejdziemy na ty.

Nie doszło do żadnych uprzejmości – gestem nieznoszącym sprzeciwu wskazała mi leżankę. Zrozumiałam, że mam się położyć. Uczyniłam to.

Wtedy ona – rzeczywiście – weszła mi na plecy. Zaczęła mnie ugniatać. Wcale nie było to przyjemne. Pożałowałam tej desperacko poczynionej inwestycji. Gdybym marzyła o tego typu dotyku, zapisałabym się na judo. Rzucała mi dalej jakieś niezrozumiałe rozkazy. Leżałam jak sparaliżowana, próbując się do nich dostosować, i ogarniała mnie wściekłość – przerażona i pozbawiona wpływu na wydarzenia byłam na co dzień, nie musiałam za to płacić. Coraz raźniej harcowała po moim ciele, próbowałam ją powstrzymać, powiedzieć, że mnie boli, ale wtedy wpadała w jeszcze głębszy trans, gruchotała mi kości i siłowo utrzymywała mnie w przeczących ludzkiej anatomii pozycjach. „Przestań, proszę” – szepnęłam. *Stop, please* – powtórzyłam, mając nadzieję, że ten zrozumiały wszędzie język zostanie lepiej przyjęty, ale ona robiła swoje, przygwoździła mnie do leżanki i urządziła po mnie pielgrzymki, być może do Tadž Mahal, chciałam jej powiedzieć, że to nie ten adres, nigdy nie dotrze tam, gdzie chce, nie tędy wiedzie Diamentowa Ścieżka, nawet na skrótory nie wiedzie przez moje plecy, ale ona była uparta. Leżałam tam przerażona i spocona, błagając o wytchnienie, a Tajka robiła swoje, brutalnie obchodziła się z moimi rękami, ciągnęła je do góry, jak gdybym była Chrystusem, którego w trymiga trzeba przybić do krzyża. „Mam, kurwa, nadzieję, że po tym wszystkim również narodzę się na nowo!” – wygrażałam jej w myślach, uczestnicząc w tej torturze, dostosowując własne członki do jej wyczynów. Nagle pochwyciła mnie od tyłu za ręce i przyciągnęła do siebie – myślałam, że złamie mi kręgosłup, bo wygięła mnie, jakbym była zaawansowaną joginką, wprawdzie nic nie trzasnęło, ale zdecydowanie coś pękło we mnie wewnątrz. A wtedy ona weszła na inny odcinek swojej-mojej ścieżki – puściła moje ramiona, ale dla odmiany poczułam jej stopy w pobliżu łopatek, bezlitośnie mnie nimi obijała; nie wiedziałam, że zapłaciłam za to, żeby wziąć udział w alternatywnej ścieżce zdrowia. Kiedy już, już miałam jej uświadomić, że ludzkie kości się łamią pod wpływem zbyt mocnego nacisku, nagle ze mnie zeskoczyła. Teraz miałam jej dłonie na twarzy.

„Nic nie da się z tym zrobić” – mówiłam bezgłośnie do wiszących nade mną ciężkich ust. „To jest zamocowane na stałe” – pragnęłam ją uspokoić, gdy zaglądała, z ewidentnym, moim zdaniem, przestraczem, w to, co składało się na moją twarz. Widać nie była jeszcze aż tak zaawansowana na swojej ścieżce duchowej – nie przygotowano jej na spotkanie z demonem. Oddawałam się tej końcowej pieśczoce, a jej twarz wisiała nade mną jak zaklęcie. Była bardzo ładna, pachniała jak orientalne kwiaty i na pewno niejedną raz zagościły w niej ludzkie członki. Kiedy jej włosy opadały mi na twarz, myślałam o innych, którym opadała na twarz, i nagle poczułam coś w rodzaju ulgi, wytchnienia, bo była tak blisko, jak – tak myślę – musieli być czasem ludzie. Pomyślałam znów o nich, ludziach, którzy wieczorami czochrają sobie włosy, iskają się z czułością jak małpy, wkładają nosy w czyjeś włosy i ruszają nimi nerwowo, udając psy, a przy tym śmieją się do rozpuku. Trochę zachciało mi się płakać, ale jej widok nade mną mnie powstrzymał. Patrzyłam na nią, była teraz blisko mnie i jednak, w jakimś sensie, dawało mi to chwilowe bolesne spełnienie.

Kiedy dotarłam do wyjścia, recepcjonista obrzucił mnie znów podejrzliwym spojrzeniem, które złagodniało nieco na widok banknotów – zapłaty za tę wątpliwą jakości usługę. Nie mogłam powiedzieć, że byłam zadowolona, po tym wszystkim czułam się jak solidnie obity na niedzielę kotlet schabowy; nie miało to nic wspólnego z subtelnością dotyku, jaki chciałam sobie zafundować. Poszłam do domu gasnącą ulicą; miasto zastygało, zaprzestając rutynowych, codziennych czynności, a ja szłam jego ulicami, całkiem zastygła w sobie. Jeśli to była jedyna możliwość fizycznego kontaktu z drugim człowiekiem, moje perspektywy przedstawiały się opłakanie.

VIII

Moja ostatnia nadzieja na to, by coś sobą wygrać w dziedzinie spraw międzyludzkich, miała miejsce w czasach, gdy wszyscy wkoło przegrywali. Była to w moim życiu typowa dynamika. Szalał wówczas kryzys finansowy i kiedy inni mieli poczucie, że życie wymknęło im się spod kontroli, ja, paradoksalnie, poczułam, że może jeszcze nie wszystko przegrane, może jestem jeszcze w stanie nad nim zapanować. Od lat przecież mówiono, by brać sprawy we własne ręce, nawet wtedy wciąż to gdzieś powtarzano, chociaż one, owe sprawy, wszystkim już wymknęły się z rąk, a i same ręce dyndały tylko wszystkim u przegubów, bezradne i zagubione.

Myślałam o nich, właścicielach tych rąk, tych ludziach sprzed dwudziestu kilku lat, którzy wybrali produktywność, a dziś byli już jedynie mistrzami rozczarowania. Niegdyś załątek czegoś, dziś owoc niczego. Widziałam ich, widziałam ich jak na dłoni, kiedy tak stoją nad swymi grillami, ubrani w korporacyjne ciuchy, rozstawiający ruszty, na których już zaraz wirować będą dziki, coraz szybciej i szybciej, będą wirować tak szybko, jak ich gorączkowe myśli o przyszłości, w której wszystko będzie już tylko pod hasłem „więcej”, w której wszystko będzie już tylko pod hasłem „bardziej”, a jak się okaże, w której wszystko będzie pod hasłem „nic”. Ich dziewczyny, pisk opon ich samochodów, gdy zbierają się na swych grillach, ich entuzjazm wzbijający się w górę jak białe gołębie na czyimś ślubie. Ich entuzjazm, który wreszcie opadnie im pod nogi. Nie będzie czego zbierać. Przyjdzie czas, gdy sami będą się kręcić na tym ruszcie jak te dziki, przyjdzie czas, gdy z nich samych zostanie tylko szkielet. Nie będą panami ognia, będą popiołem.

Jak mnie to cieszyło. Nic nie cieszyło mnie tak jak kryzys. Nic nie cieszyło mnie tak jak kryzys, bo była to pierwsza rzecz, która dotykała innych, a nie mnie. Byłam banitką z krainy konsumpcyjnych marzeń i wreszcie to ja miałam nad innymi przewagę – nie mogłam zatonać. Z wieżowców i mostów skaczą ci, którzy mają coś do stracenia. Tacy jak ja, którzy nic nie mają, w tej sytuacji paradoksalnie coś uzyskują: możliwość braku utraty. Dlatego niby stare boje zawsze w niezmięnionej formie dryfują na powierzchni. Myślę, że może po to właśnie ten kryzys nastąpił – żebym ja i tacy jak ja zaznali w życiu tej krótkiej, czasem jedynej chwili satysfakcji. Żebyśmy i my doświadczyli wreszcie przewagi i pogardy, tych uczuć konstytutywnych dla ludzkości. Żebyśmy i my mogli poczuć Schadenfreude, zesłaną nam przez kapitalistyczny rynek – naszego anioła zemsty. Korzystałam z tego, korzystałam z tego najbardziej, jak mogłam, zwłaszcza że dobrze wiedziałam, że nie będzie to trwać wiecznie. Święto głupców szybko mija, światu należy przywrócić odwieczny porządek. Wiedziałam, że królem mogę być tylko chwilę, zaraz znów stanę się błaznem.

Dlatego póki jeszcze mogłam, rechotałam ile sił w płucach z cudzego nieszczęścia, jakże się cieszyłam z upadku frankowiczów, jakże się cieszyłam, że utracą swoje domy – te same, jakich ja nigdy nie będę miała. Jakże kibicowałam bankom, jakże chciałam, by wydarły tamtym wszystko, na co się połakomili, czeladnicy chciwości; fantazjowałam o nędzy, w której przyjdzie im żyć – triumfującej wielkiej nędzy schodzącej na nas jak górska lawina, nędzy powszechnej, ostatnim, myślałam wtedy, stadium demokracji, nędzy, która nas wszystkich sobą przykryje i wreszcie będziemy sobie równi, jednakowo żałośni, jednakowo marni, wreszcie wszyscy jednakowo przegrani.

I na fali tych uniesień postanowiłam działać.

Miałam wtedy dwadzieścia osiem lat – urodzona w pierwszym roku stanu wojennego postanowiłam podjąć kolejną desperacką próbę zapewnienia sobie osobistego sukcesu na dwudziestolecie demokracji, na dwudziestolecie

kapitalizmu, który przecież powinien takie sprawy umożliwić.

Perfidia naszych czasów – myślałam. Zachęcano mnie do przedsiębiorczości i samodzielności, ale kiedykolwiek czegoś próbowałam, zawsze ponosiłam porażkę. Jakbym urodziła się ze skrępowanymi rękami albo jakbym żyła w studni, otoczona zewsząd zimnym murem, którego nijak nie mogłam przebić. Kolejne niepowodzenia wpędzały mnie tylko w jeszcze większą frustrację. Dlaczego nikt nie mógł powiedzieć mi wprost: niczego nie próbuj, twoja nędza jest dożywotnia, oto twoje szpetne przeznaczenie, którego nie zmienisz, co być może dobrze świadczy o samym przeznaczeniu, ze swej natury wszak niezmiennym. Cokolwiek by powiedzieć o współczesności, uczciwość nie była jej mocną stroną.

Postanowiłam ogłosić się w internecie. Pomyślałam, że może chociaż w ten sposób przełamię monotonię swojego życia, zyskam akces do świata ludzkich spraw. Wreszcie zapewnię ciału to, o co wołało.

Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy zamiast samej siebie nie zaoferować jedynie swojej cnoty – to mogłoby mi zapewnić sukces nie tylko osobisty, ale i finansowy; nie byłam jednak aż tak dobrze przystosowana do współczesności, żeby wycenić poszczególne części ciała czy też zamienić się w usługę. Okrutnie tego żałowałam.

Nie wiedziałam, jak skomponować anons, moje umiejętności autopromocyjne były w powijakach. Może i jakiś spec od reklamy podpowiedziałyby mi, jak to zrobić, które cechy własne podkreślić, by oferta lepiej brzmiała, ale z drugiej strony, które moje cechy prócz wieku i urody liczyły się w takiej sprawie? Urody jednak nie miałam, a i wiek działał powoli na moją niekorzyść – dobiegałam trzydziestki. Gniłam, choć nigdy nie zdążyłam zakwitnąć, jak wadliwa roślina. Właściwie nie miałam więc czego zareklamować, mimo to rozpaczliwie wierzyłam, że uda mi się kogoś na siebie skusić – że zostanę mimo wszystko zaakceptowana, jak wygazowana, ale wciąż dobra cola, jak tylko lekko zimna pizza.

Długo zastanawiałam się, jak rozwiązać sprawę zdjęcia. To oczywiste, że nie mogłam po prostu zamieścić swojego – moje standardowe zdjęcie to nie było zdjęcie, to była ilustracja w bestiarium. Zastanawiałam się, czy nie ogrzać całej sprawy moim udanym nosem, ale bez przesady – oferta opiewająca na całego człowieka reklamowana nosem chyba nie miałaby szans na powodzenie. Uroczy nos pozna pana – las rąk. W końcu jakoś to wykombinowałam, tak że niby coś było widać, ale właściwie niewiele, aby potencjalny oferent mógł się do mnie przekonać i żwawo kontynuować kurs w moim kierunku, nie wpływając jednak od razu na tę mieliznę, którą byłam. Wykazałam się tutaj sprytem cechującym współczesnych użytkowników internetu, znawców podstawowych funkcji programów graficznych.

Nie było odzewu. Dla własnego dobra starałam się jednak myśleć, że za ten niekorzystny obrót spraw odpowiada ni mniej, ni więcej, tylko kryzys finansowy. Wreszcie jeden się odezwał.

„Kotku ślicznotko chce całować całe twoje ciało jakie lubisz pozycje”. Jego penis wyskoczył na ekranie jak grzyb po wybuchu bomby atomowej.

Przymknęłam na to oko. Nikt nie jest idealny.

„Seks super, ale może najpierw umówmy się w mieście na drinka” – napisałam rozpaczliwie, jak antropolog idealista, który usiłuje chronić upadające, a piękne lokalne zwyczaje.

Umówiliśmy się w kawiarni jednego z hoteli. Już samo to wywoływało we mnie wielki stres – drogie hotele nie były moim naturalnym żerowiskiem; wejść tam to prawdopodobnie znów narazić się na jakąś śmieszność, wejść tam to dostać skrętu kiszek, to cierpieć z powodu przemożnego bólu brzucha.

Nie miałam jednak wyjścia. Pojawiłam się na miejscu w wybranym dniu o wyznaczonej godzinie, uprzednio zrobiłam wszystko, by jakoś się zmodernizować; niestety mimo moich wysiłków nadal do złudzenia

przypominałam sobie. Zobaczyć mnie to jakby poderwać do lotu rój much.

Podeszłam pod hotelową kawiarnię i z trwogą zajrzałam do środka, przestąpiłam jej próg równie odważnie, jak zrobiłoby to bezdomne przez lata zwierzę. Chowając się za jakimś fikusem, oglądałam siedzących przy stolikach ludzi. Nigdzie nie widziałam mojego adoratora. Przełamując nieśmiałość, podeszłam do jednego z wolnych stolików, usiadłam i zamówiłam kawę.

Zjawił się po pięciu minutach i stanął nade mną jak kat nad dobrą duszą. Gdyby twórcami fantasy były zwierzęta, mógłby być jednym z nich. Wyglądał jak puchacz w swetrze, który przez cały dzień nie robi nic innego, jak tylko klepie w klawiaturę celem oddania złożonego życia wewnętrznego smoków. Był przede wszystkim zarośnięty. Jego lica pokrywały bokobrody pnące się po obu ich stronach w płonnej nadziei pochwycenia oczu tak małych, że niemal trudnych do odszukania w tej masie twarzy – dwóch rodzynek wetkniętych w grube drożdżowe ciasto. Usta przypominały suwak, na który zasunięte były jego nieudane zęby – te pamiętałam niestety ze zdjęcia; ostry żwirek wylany w bordową masę dziąseł. Kształtny nos był samotną wyspą umieszczoną pośrodku tego oceanu rozpacz. Coś nas łączy – pomyślałam. Ciało było nieregularnych kształtów, z przewagą jednak sadła. Brzuch wylewał się z niegustownych spodni, nieświeża koszula opinała barki. Tylko szyja była jakaś rachityczna, przez co jej zaskakujące, wybijające się na niepodległość zakończenie – pękata głowa – wyglądała niby balon na długiej nitce. Muszę przyznać, że wizualnie do siebie pasowaliśmy. Tyle że w jego przypadku brzydota była jednak cechą drugo- czy trzeciorzędną, w moim – wszystkim.

Przyglądał mi się tak, jak przygląda się wystawionym na targu rybom – długo i podejrzliwie, szukając pierwszych oznak zepsucia, oceniając przydatność do spożycia. Miałam wrażenie, że w jego wzroku była nuta wstrętu zmieszanego z politowaniem – jakby przypadkowo dotknął w tramwaju dłoni kloszarda.

– Pójdę sobie zamówić drinka – powiedział i zniknął w drugiej sali, gdzie był bar.

Kiedy poszedł, zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdybyśmy rzeczywiście poszli na górę, do któregoś z tych pokoi, gdybyśmy rzeczywiście pozbawili się ubrań i przed sobą stanęli, całkiem nadzy, rozebrani do rosołu, co w sumie zgodne by było z rzeczywistością – wyglądalibyśmy ni mniej, ni więcej, tylko jak dwie niezgrabne porcje rosołowe, jak dwa drobiowe truchła. Wyobrażałam sobie, jak patrzymy na wykres naszego pożądania, którego strzałka uparcie trwa w pozycji wyjściowej, patrzymy na niego jak zrozpaczeni rodzice na podłączone do respiratora dziecko – no daj, daj znak życia, zamrugaj do mamy! Tymczasem na monitorze pojawia się li tylko przerażająca, nieodwołalna linia prosta. Wychodzi na to, że niczego nie uda się na nas ugotować.

Mijał czas. Wypiłam już swoją kawę, a on nadal nie wracał. Nerwowo rozglądałam się wkoło, próbowałam zajrzeć do drugiej sali, czy wciąż tam jest, ale nigdzie go nie widziałam. Miałam wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie i niechętnie, jakbym nie była człowiekiem, a iguaną, która ośmieliła się wyjść na miasto i krążyć wśród ludzi, usiąść w barze. Zaczęły mi się pocić dłonie; nerwowo mięłam w nich chusteczkę.

„Hej, i jak, zamówiłeś tego drinka? Gdzie jesteś?” – napisałam wreszcie.

„Boli mnie głowa, musiałem isc” – odpisał.

„O. Właśnie zostałeś dziwakiem roku” – zareagowałam, chcąc choć na koniec rozluźnić atmosferę.

„Pierdol się. Kijem bym cie nie tracił” – wyświetliło mi się na ekranie.

Cóż mogę jeszcze dodać?

Alkoholizm – nawet on mi się oparł.

W mojej fatalnej sytuacji byłby całkiem naturalny, jednak nawet on mi się oparł. Po każdej próbie upicia się cierpiałam na olbrzymi odrzut –

standardowo od ludzkości, lecz i od alkoholu, po prostu nie potrafiłam wpaść w ciąg; na myśl o klinowaniu robiło mi się słabo.

Byłam wściekła, że i alkohol nie chce ze mną współpracować, a byłabym przecież doskonałą pijaczką – na wstępie już paskudna, traktowana przez innych z wyższością i wstrętem; gdyby tylko dołożyć do tego odrobinę smrodu, a moją twarz nasycić buraczkową barwą, wszystko by się zgadzało. Wyciągnęłabym z szuflad stare gazety, zrobiłabym z nich patchworkową kołdrę i wybrała najprzytulniejszy śmietnik w dzielnicy, żeby ułożyć się w nim do szkaradnego pijackiego snu. Zbudzić mogłaby mnie tylko lawina ziemniaczanych obierek padających z góry lub trzask zapalek, wrzucanych do środka przez piszczące z radości dzieci, lądujących na mojej gazetowej kołdrze, zmieniających mój mały przytulny śmietnik w ognisty pojazd ulatujący w górę na rozżarzonych skrzydłach, ze mną w środku płonąca jak chusteczka, ze mną w środku trawioną przez ogień, zmieniającą się w małą twardą spopieloną pestkę.

Teraz, kiedy ktoś będzie próbował mnie zasadzić, nie wyrosnie ze mnie potwór, ale czarne drzewo, drzewo o gałęziach pełnych ruchliwych, złowieszczych kruków, które poszybują nad głowami przechodniów i nieuchronnie, niczym klątwa, zbliżą się do tych, którzy chcieliby mi zagrozić.

Niestety, nic takiego się nie zdarzyło. Nie zostałam nawet pijaczką, pozostałam nikim. Udało mi się jedynie pomnożyć swoje rozczarowanie. Rozczarowanie i upokorzenie – oto one, moje siostry, trzymające mnie za rękę każdego dnia.

IX

Ocknęłam się na podłodze, przy sofie, przerażona. Rozwarłam usta jak głodne pisklę i podjęłam kolejną walkę o odrobinę powietrza. Po chwili postanowiłam doczołgać się do przedpokoju, choć nie do końca rozumiałam, co stoi za tą decyzją – prawdopodobnie przeszło mi przez obitą głowę, że może wygramolę się na klatkę schodową, zapukam do sąsiadów i oni jakoś mnie uratują. Ale ten plan nie był idealny. Po pierwsze, nawigacja tą trzęsącą się ślepą galaretą, którą byłam, sprawiała mi trudność, po drugie, choć wynajmowałam to mieszkanie od kilku lat, zupełnie nie znałam swoich sąsiadów. Kiedy słyszałam ich na klatce, specjalnie nie wychodziłam, gdy kilka razy ktoś do mnie zapukał, oczywiście nie otworzyłam; kiedy spotkałam kogoś pod domem, jak zwykle nic nie mówiłam. Wszelkie sąsiedzkie inicjatywy omijałam szerokim łukiem.

Przyjaciele. Nagle z jeszcze większą niż zwykle rozpaczą zaczęłam myśleć o tym, że ich właściwie nie było. Niestety, z przyjaciółmi miałam tyle samo szczęścia, co ze wszystkim innym. Szczęście i w tym przypadku było zwinne niczym jaszczurka siedząca w słońcu na kamieniu – ilekroć niezgrabnie próbowałam się do niego zbliżyć, natychmiast zniknęło.

Oprócz tego jednego razu, kiedy poznałam mojego dobrego kolegę Olafa – o którym później.

Ale to był tylko wyjątek potwierdzający regułę.

Poza tym wszystkie moje próby pozyskania przyjaciół – nieliczne, dodajmy – spełzały na niczym. Począwszy od tej rozpaczliwej akcji z papużkami,

a skończywszy na znajomości z Anią, o której właśnie sobie przypominałam. Każda kobieta potrzebuje przyjaciółki – ja też miałam kiedyś takie potrzeby i postanowiłam je spełnić.

Było to w czasach studiów. Powoli zaczynałam już wtedy rozumieć, że o sprawach cielesnych mogę raczej raz na zawsze zapomnieć. W przyjaźni jednak, teoretycznie, było zupełnie inaczej. Wszak mogły na nią liczyć i rozmaite morskie stwory, wszelkie glonojady – widziałam to nieraz w programach na Discovery. Nawet różne szarobure magmy, w które ktoś tchnął życie, żwawo z niego korzystały, zaprzyjaźniały się z przedstawicielami swojego gatunku, obłapiały się nibynóżkami, jakby od tego miała zależeć ich przyszłość. Pierdolę – pomyślałam. Spróbuję.

Na swój cel obrałam jedną poznaną na anglistyce dziewczynę. Najpierw długo ją obserwowałam, jak agent CIA, robiłam rozeznanie. Wydawała mi się całkiem bezpieczna, była wcieleniem typowości. Ania lub Kasia – obstawiałam, wyglądała jak Ania lub Kasia. Włosy miała mysie, sylwetkę standardową, odnóża ani za długie, ani za krótkie, zęby w normie, ubrania z tych lepszych ciucholandów, z wyceną. Nic, co mówiła na zajęciach, nie było ani ciekawe, ani przeraźliwie nudne, chociaż ciążyło ku temu drugiemu. Wszystko zaliczała w terminie na ocenę dobrą lub bardzo dobrą – zupełnie inaczej niż ja, która, owszem, zaliczałam, ale po krakowsku – najwcześniej we wrześniu. Choć byłam dobra w tym, co robiłam, zazwyczaj nie starczało mi motywacji, osuwałam się w swoje depresyjne stany jak chory w pościel. Często tak strasznie miałam dość ludzi, że po prostu odpuszczałam, nie potrafiłam się zmusić, by do nich wyjść, barykadowałam się w domu, żeby przeczekać, jakby inni byli deszczem, wyjątkowo ciężką burzą. Ania natomiast inaczej. Gdyż była Anią, rzeczywiście tak miała na imię, ktoś mi ją w końcu przedstawił. Trafiony, zatopiony – Ania jak w pysk strzelił.

– Cześć, Aniu – powiedziałam pewnego dnia na kampusie. Tak, wypłam wcześniej piwo. Nie przoduję w takich rzeczach, ale myślę, że inaczej nigdy bym się na to nie odważyła. – Masz może notatki z *The Great Gatsby*? –

zapytałam, trzymając się studiowanego przez nas języka.

Ania miała wszystkie notatki ze wszystkiego. I nie mogła odmówić – one nigdy nie odmawiają. Potem kilkakrotnie rozmawiałyśmy, głównie na tematy związane ze studiami, bo brakowało nam innych – Ania miała chłopaka, ja przeciwnie. To, że miała chłopaka, że musiała go mieć, było oczywistością, zawierało się w niej samej. Zupełnie więc mnie nie zdziwiło, gdy pewnego dnia zobaczyłam, że po zajęciach czeka na nią jakiś młodzieniec. Był do niej bardzo podobny – miał wszystko na miejscu, ale nic z tych umiejscowionych, gdzie trzeba, części ciała i myśli go nie wyróżniało; oboje byli jak wyjęci z jakiejś maszyny produkującej naprędce kolejne okazy ludzkie, niedbającej o dorzucenie im jakichkolwiek cech charakterystycznych. Ania wyciągała do mnie rękę, proponowała, żebyśmy po zajęciach chodzili we trójkę na piwo.

– Chcesz się z nami przejść, Maniu? – pytała z typową dla siebie agresywną dobrocią.

– Tak, Aniu – odpowiadałam, niby to miło.

Ania i Mania. Zajebicie.

Chodziliśmy czasem tu i tam, robiliśmy różne rzeczy. A to kino, a to kabareton. Na tych ostatnich Ania i jej chłopak, Adrian, śmiali się do rozpuku, że aż trzeszczały pod nimi stare krzesła, śmiali się do rozpuku i wiecznie trzymali za ręce, poświadczając w ten sposób publicznie swą miłość, podczas gdy ja zaciskałam dłoń tylko na poręczy krzesła, na którym siedziałam, i namierzałam tęsknym wzrokiem drzwi, bo śmieszniejsze od tych bredni wydawały mi się żarty z pierdzącą poduszką.

Ania zawsze patrzyła na mnie jak na szczęśliwie niezrealizowaną wersję siebie, widziałam, jak przy każdym spotkaniu ze mną jaśniała, ona i jej chłopak, upewniający się, że wybrał nieźle, albowiem mógł gorzej. Często, właściwie zawsze, obierała wobec mnie ten – trzymajmy się studiowanego przez nas języka – *patronising tone*. Ewidentnie sprawiało jej to radość. Wcale mnie to już nie dziwiło. Czasem czułam się, jakbym nie była

człowiekiem, a krwawiącym stworzeniem osaczanym przez inne – tak łatwo wyczuwały krew.

– No więc powiedz, jakie są twoje plany na przyszłość, Maniu? – zapytała kiedyś z tym swoim typowym, niby troskliwym, a w istocie pełnym pogardy uśmiechem.

– Chciałabym żyć z tłumaczeń, może z pisania jakichś tekstów – odpowiedziałam. Rzeczywiście już wtedy zakładałam, że nie będę chodzić do pracy, oszczędzę tego sobie i innym.

– Maniu... – zaczęła z pozorną niepewnością, choć w istocie doskonale wiedziała, co chce powiedzieć, moja wypowiedź świetnie zgrywała się z jej wewnętrznym scenariuszem. – To niezbyt poważne. Nie wiem, czy wiesz, ale świat wolnych strzelców jest okrutny. Trudno ci będzie wywalczyć swoje, zawsze znajdą się lepsi, silniejsi... Ty możesz sobie nie poradzić. Pomyśl lepiej o jakiejś stałej pracy. Może na pół etatu w biurze? Może mogłabyś ogłosić się w jakiejś gazecie i uczyć angielskiego dzieci na osiedlu? Niebawem prawdopodobnie wstąpimy do Unii Europejskiej, znajomość tego języka stanie się w gruncie rzeczy obligatoryjna, to może być popłatne, zapewnić ci jakąś przyszłość.

– No nie wiem. Chyba wołałabym robić coś innego.

– Maniu... Jesteś taką marzycielką. Życie jest trudne. Marzenia marzeniami, lecz zawsze należy mieć plan B.

A jaki jest twój? – pytałam w myślach. Co planujesz na wypadek niezalapania się na spermę Adriana?

– Maniu, czy nie pora już, byś zaczęła się z kimś umawiać? – pytała czasem z innej, nomen omen, mańki. – Mogę zapytać Adriana, czy nie ma jakichś wolnych kolegów...

Upewnij się, że gustują w gekonach – myślałam.

– Nie wiem, skupiam się na karierze. – Mówiłam to z pewną satysfakcją, ponieważ zaczęło mnie bawić, że jednym zdaniem mogę wywołać u niej wyraz twarzy, jaki mają matki rozczarowane swoimi dziećmi.

– Kobieta w pełni realizuje się tylko w rodzinie – twierdziła Ania. – Praca pracą, ale to my jesteśmy kobietami. Rodzimy dzieci. Tak jesteśmy zbudowane, mamy organy. Lepiej pomyśl o tym wszystkim zawczasu, ja chcę dla ciebie tylko dobrze. Nie chcę, byś później mi wyrzucała, że cię nie ostrzegałam.

Mam już mamę – chciałam jej odpowiedzieć, ale się powstrzymałam. Ciekawe, że moja matka raczej oszczędzała mi takich prorodzinnych zachęt. Chyba była większą realistką.

– Maniu, czy nie jesteś zbyt krytyczna wobec mężczyzn? – pytała też czasami. – Dziś ludzie są tacy niedojrzali, zachłanni. Chcą mieć wszystko od razu. Nie wiedzą, że żyć z kimś znaczy w pełni go akceptować, ze wszystkimi jego wadami i zaletami. Związek to codzienna, ciężka praca. Czy ty się za wcześnie nie zniechęcasz, nie kłócisz się ze swymi chłopakami?

– Ale ja się z nikim nie umawiam.

– No właśnie, to błąd. Powinnaś po prostu podejść do któregoś z naszych kolegów z roku i rozpocząć konwersację. Możesz zwyczajnie powiedzieć: „Cześć, jestem Marianna. Zainteresowało mnie to, co mówiłeś na konwersatorium. Naprawdę uważasz, że lapidarny styl Hemingwaya jest tak intrygujący? Chętnie bym o tym porozmawiała”. Potem możesz przejść do innych jego pasji, ważne, by okazać mężczyźnie zainteresowanie, niech czuje się ważny, my i tak wiemy swoje. – Zachichotała. – Bądź zainteresowana, lecz nie okazuj mu tego ostentacyjnie, musi cię szanować. Czasem odmów spotkania, powiedz, że jesteś wówczas bardzo zajęta. Niech cię zdobywa. Kiedy cię czymś urazi, nie pokazuj tego po sobie. Powiedz tylko: „Przykro mi, że tak mówisz. Uważam inaczej”. I znów skup się na nim.

Może łatwiej będzie, jeśli podasz mi po prostu tytuł tego gówna, które prenumerujesz – myślałam, lecz tylko kiwałam głową jak piesek zabawka za szybą samochodu. Chciałam mieć przyjaciółkę. Wreszcie, po kilku latach,

Ania zaprosiła mnie do siebie do domu – załapała się na spermę Adriana. Założyła rodzinę. Ubrałam się w najlepsze ciuchy, kupiłam wino. O wyznaczonej godzinie stawiałam się u drzwi – wraz z rodziną mieszkała w Krakowie w nowych blokach noszących nazwę apartamentowców; długo i wytrwale szukałam właściwej klatki, klucząc między Biedronką a placem zabaw pełnym młodych ojców sadzających dzieci na huśtawkach i karuzelach, dyskutujących o ziarnie kaszek; byłam tym wszystkim przerażona. Rewolucja się dokonała – myślałam, a w środku mnie coś aż bulgotało. Czy któryś z tych ojców zerwałby mój kwiat, a potem porzucił, nie odbierał telefonów? Pominąwszy fakt, że żaden z nich by tego nie zrobił, ale gdyby była mowa o alternatywnej wersji mnie – czy to się jeszcze zdarza? Czy może po seksie to oni zapragnęliby przedstawić mnie rodzicom, kupić mi kwas foliowy i karnet do siłowni, a potem przestawić na bezglutenowe żywienie i zapisać do stowarzyszenia przeciwników pangii?

– Panga to całkiem sztuczna ryba – powiedział partner Ani, jak gdyby czytając w moich myślach. Siedzieliśmy w salonie przy kolacji, którą podała nam Ania, on nie ruszał się ze swojego miejsca. – Jest to ryba wyhodowana sztucznie, panga to antybiotyki i ścieki z ośrodków przemysłowych. Pangę wcisnął nam Wietnam. To bezwartościowa namiastka ryby. Dlatego sami jej nie jemy. Karp, dorsz, o, królewskie, polskie ryby! W wydaniu Ani palce lizać! – Dobrodusznie spojrział na Anię i lekko klepnął ją w pośladki, po czym przeniósł wzrok na ich baraszkuje na panelach pociechę.

Lena lub Pola – obstawiałam.

Jednak, kurwa, Hania. Przegrałam.

– Sam nie gotujesz? – zapytałam.

Ania sprzedała mi spojrzenie mówiące: „Och, Maniu... Widzę, że moje wieloletnie nauki poszły w las..

– Mój poprzedni chłopak potrafił zrobić obiad z trzech dań. Mył też okna. Lecz by być całkiem szczerą, nie patrzyłam na niego jak na mężczyznę – oświadczyła.

Rozejrzałam się po ich mieszkaniu. Poszli w coś przypominającego dąb i biel. Drewno i biel był to typowy pomysł rodzin polskich na urządzenie mieszkania. A jednak, gdyby się temu przypatrzeć, nie był to dąb, a li jedynie jego tańszy odpowiednik – laminat. Podłoga była ewidentnie z paneli, nie doszacowali kredytu. Kuchnia z Ikei, jedna szafa – żeby nie było – na zamówienie, łazienka w szarościach. Motyw południowoeuropejskich płytek azulejo tu i ówdzie, ale też raczej udawanych. Z uwagi na dziecko jednak wanna. Potrawy: przystawka z kurek, makaron z kupnym pesto, placek drożdżowy. Wino.

Gdzie śledzik i sałatka warzywna?! – zakrzyknęłam w myślach, ale nic, jadłam w milczeniu. W telewizji leciała Magda Gessler.

– Ach, te nasze lektury na anglistyce! – zaczęła Ania. – *Światłość w sierpniu, Słońce też wschodzi, Lolita...* Nie chcę nic mówić, ale im dłużej studiowałam, im dłużej to wszystko czytałam, tym większy czułam niesmak. Literatura tworzona przez odszczepieńców, pedofilów i alkoholików. Adrian nie wie, o czym mówimy, jest po informatyce – rozgrzeszyła swego męża, patrząc na niego z oddaniem.

– Może teksty są w chmurze – mruknęłam, chcąc znaleźć między nami jakiś łącznik. Ale głośniejszym głosem powiedziałam: – Tak, mnie się w sumie najbardziej podobał *Kompleks Portnoya*. – Z przyczyn się nie tłumaczyłam. Nie chciałam mówić, że porwał mnie bliski mi wątek wytrwałej masturbacji.

– Nie, to też obrzydliwe. – Ania się skrzywiła. – Adrian nie wie, nie czytał, ale mnie to obrzydziło. Lubiłam natomiast *Portret damy*.

Koszmarne nudziarstwo – pomyślałam. Hania próbowała właśnie dobrać się do moich spodni.

– A ty, Adrian, czym się dokładnie zajmujesz?

– Programuję – rzeki wyczerpująco Adrian. Następnie zaczął wysysać ostatnie kawałki makaronu z talerza.

– Geniusz nie potrzebuje wielu słów – powiedziała całkiem poważnie, z oddaniem, Ania. – Adrian bije na głowę tych z Doliny Krzemowej. Jeszcze

im pokaże. Robi teraz projekt ratujący ludzkość.

– Owszem – potwierdził Adrian. Przerzucił się na ciasto drożdżowe. W oddali szumiała pralka.

– Na czym on polega?

– Przekonasz się, kiedy powstanie – skwapliwie odpowiedziała Ania. – Będzie o nim głośno.

– Nasz świat jest w ruinie – rzucił Adrian. – Ktoś musi go ratować. Przez chwilę milczeliśmy.

– Mała umie już włączyć i wyłączyć światło! – zapaliła się nagle Ania. Wzięła Hanię na ręce i podeszła do kontaktu. Hania włączyła i wyłączyła światło. – Nie sądzisz, że szybko się rozwija? Szybciej niż inne dzieci.

– Bez dwóch zdań – przytaknął od razu Adrian.

– Nie wiem, nie mam porównania – mruknęłam po minucie.

Puścili to coś zwane Hanią po podłodze. Podeszło do mnie i śliniąc się, znów szarpało mnie za nogawki, dowodząc, w moim mniemaniu, raczej rozwoju wstecznego.

– Ile to ma? – zapytałam.

– Prawie rok – odpowiedziała Ania z dumą.

Delikatnie strącałam to coś ze spodni.

– Jak myślisz, do kogo jest podobna? – spytała Ania. – Mnie się wydaje, że jest perfekcyjną mieszanką nas obojga.

Złapali dziecko i umieścili na kolanach Adriana, który siedział naprzeciwko mnie i Ani. Przez chwilę znów była cisza. Adrian próbował opanować skłonności córki do pozbawiania go owłosienia twarzy, Ania wpatrywała się w nią jak w rzadkie zjawisko przyrodnicze, z podobną fascynacją, a ja się nudziłam.

– Chcecie jeszcze trochę wina? – zapytałam, sięgając po butelkę.

– Nie możemy, mamy dziecko. Nie wyobrażasz sobie, jaka to odpowiedzialność – odpowiedzieli zgodnie.

Sama sobie nalałam.

– Zawsze chcieliście mieć dzieci? – zapytałam.

– Bez dwóch zdań – powiedział Adrian. – To jedyna szansa na życie pozagrobowe.

– Otóż to. Ci, którzy nie mają dzieci, nigdy tego nie rozumieją. To niezwykła rzecz, z niczym nieporównywalna. Odkąd się urodziła, nic mnie już nie obchodzi żaden rozwój, żadna kariera, tylko ona.

Żebyś jeszcze kiedyś miała jakąś karierę – pomyślałam. Z tego, co było mi wiadomo, Ania poszła na zwolnienie w szkole, w której uczyła angielskiego, dzień po dodatnim teście, i nie zamierzała tam wracać, zamierzała natomiast wykorzystać wszystkie możliwości, by tam nie wracać.

– Odkąd tylko się we mnie znalazła, myślałam o niej jak o swoim dziecku – kontynuowała z uniesieniem Ania. – Gdy dzieci przychodzą na świat, wszystko się zmienia – rzuciła jeszcze, ale nie wiedziałam, co miała na myśli.

– Wszystko się zmienia – przytaknął Adrian. – Już tak nie gonisz za tym czy tamtym.

– Ale wszystko też możesz nadal mieć – rzuciła nerwowo Ania, patrząc na Adriana. – Dziecko mobilizuje.

– Nie jesteście trochę niewyspani? – zapytałam złośliwie, patrząc w ich twarze, które wyglądały, jakby oboje mieli za sobą kolejny dzień transportu na Syberię.

– W ogóle nie! – odrzekła szybko Ania. – A jeśli nawet, to wcale nie jest to doświadczenie, jakiego nie chcielibyśmy mieć. To czyni z nas ludzi. Rodzinę.

– Tylko egoiści nie mają dzieci – oznajmił Adrian.

Przestałam słuchać, zaczęłam wodzić wzrokiem po ich meblach, nielicznych książkach, piekarniku. Myślałam o ciastach, które z niego wychodzą. Patrzyłam na kuchenkę i myślałam o potrawach, jakie na niej gotują, myślałam o garnkach, w których co sobotę wesoło bulgocze zupa,

podrzucając do góry pokrywkę – stuk, stuk. Myślałam o szafach skrywających ich ubrania, o ich porankach, ich radośnie wibrujących elektronicznych szczoteczkach do zębów. W oddali, na fotelu, zauważyłam żółte dziecięce skarpetki. Nagle wydało mi się, że te skarpetki ożywają i biegną do mnie jak szczeniaki, moje stopy maleją, cała maleję, mieszczę się w łupinie orzecha i tam leżę, wymachując stopami, na których mam żółte skarpetki.

– Pójdę ją wykąpać – rzucił Adrian, wskazując na Hanię.

– Poczekajcie, może najpierw się załatwię – powiedziałam.

Poszłam do łazienki. Minęłam ich sypialnię. Stało tam duże łóżko małżeńskie. Okno wychodziło na inne budynki, niechęć współczesnych ludzi do firanek powodowała, że dokładnie mogłam podejrzeć ich wieczorne życie, sprowadzające się do wspólnego siedzenia na sofach, oglądania telewizji, rozmów. Choć mówią, że żyjemy w erze singli, nigdzie żadnych nie widziałam – ludzie zawsze występowali parami, właściwie wszystko wyglądało jak w reklamach: ich piloty do telewizorów, ich ubrania, ich nowoczesne piekarniki.

Wróciłam wzrokiem do sypialni Ani i Adriana. Szafki nocne stały po obu stronach łóżka, jak żołnierze na warcie. Pomyślałam o tym, jak strzegą ich snu. I o tym, jak Adrian bierze tu Anię, zawsze po prysznicu i w klasycznej pozycji, robią to, patrząc sobie w oczy, a potem idą spać, obok siebie, ich oddechy się synchronizują. W każdej chwili mogą się nawzajem dotknąć, poczuć obok ciepłe ciało. Popatrzyłam jeszcze raz w okno – z przeciwległych mieszkań sączyło się żółte światło. Potem poszłam do łazienki. Podłoga była zarzucona dziecięcymi zabawkami. Kaczuszka, laleczka, piłka. Wpatrywałam się w to wszystko jak w zbiorowy akt miłości na imprezie – z zazdrością, fascynacją i wstydem. Jednocześnie chciałam, żeby to trwało, jak i żeby się już skończyło.

Zrobiłam kilka min do lustra na ścianie. Wyobraziłam sobie, że to ja mieszkam w tym domu, zakładałam wiszący na kołku szlafrok w panterkę,

biorę na ręce dziecko i je kąpię, myję mu włosy w naprędce wytworzonej pianie, umieramy ze śmiechu, ciągle dolewam do wody oliwki do kąpieli, do łazienki wchodzi ojciec dziecka, pryskamy się wodą, chichocząc jak szaleni. Nagle strasznie zachciało mi się płakać. Znów spojrzałam na siebie w lustrze i usiadłam na podłodze. Lewe kafelki azulejo. Obok mnie stała kaczuszka. Wzięłam ją do ręki, otuliłam dłonią i pogłaskałam po małej żółtej główce. Patrzyłam na swoje stopy, spodnie, dłonie ginące w rękawach koszuli. Siedziałam tam dłuższą chwilę, wreszcie zebrałam się w sobie i wyszłam.

– Mania, a kiedy ty? – zapytała dobrodusznie Ania niby to mimochodem, omiatając znacząco wzrokiem Hanię, już szczęśliwie niesioną przez ojca w kierunku łazienki. Widziałam ten cień wyższości w jej oczach, zawieszony tam jak czarna flaga na pirackim statku, złowrogo dyndająca, zwiastująca katastrofę.

Patrzyłam przez chwilę w twarz Ani, wzięłam łyk wina. Zastanawiałam się, co powiedzieć, jakiej odpowiedzi oczekuje. Ale nie wiem, czy w ogóle oczekiwała jakiejś odpowiedzi, może chciała tylko zadać pytanie i triumfować.

Milczałam.

– Na pewno trafisz na właściwego faceta, to kwestia czasu – zaczęła po minucie. – Jeszcze będziesz szczęśliwa. Ktoś da ci szczęście. Będziesz żoną, matką. – Uśmiechnęła się do mnie tak, jak w dziewiętnastym wieku podczas balów kobiety musiały się uśmiechać do swoich rywalek, które w karnetach miały znacznie mniej zapisów na tańce.

Patrzyłam na nią przez chwilę. Potem przeniosłam wzrok na masywną figurkę Chrystusa stojącą na szafce tuż nad jej głową. Przez moment próbowałam siłą woli sprawić, by szafka spadła ze ściany i złożyła swą zawartość na głowie Ani, żałowałam jednocześnie, że Chrystus nie był bardziej spasiony, jak Budda. Potem wyobraziłam sobie, że po prostu podchodzę do niej, sięgam po tę figurkę i kilkakrotnie walę ją w łeb.

Myślałam o jej mężu skrytym w łazience i o kapany tam dziecku –

a co, gdyby w chwili nieuwagi osunęło się do wanny i utopiło? Myślałam o jej dziecku, wannowej Ofelii, i uśmiechałam się w myślach. Myślałam o jej mężu bezskutecznie programującym ożywienie nieżyjącego. Patrzyłam na nią i myślałam o tym trupie i następstwach tych poczynań z okrutną satysfakcją, taką samą, z jaką ona patrzyła na mnie, wierząc, że w moim żalonym, gorszym od jej własnego życiu już nic nie nastąpi. Przerzucałyśmy się pełnymi agresji, choć na pozór życzliwymi spojrzeniami, moje błądziło po resztkach makaronu, ostatnich kurkach, cięcie drożdżowym, po całym tym mieszkaniu urządzonym zgodnie z szablonem z Ikei, choć z małymi odstępstwami tam, gdzie nie starczyło im kredytu. Jej wzrok sunął po mnie, moich marnych włosach, twarzy, brzuchu, ubraniach.

Nigdy więcej się nie spotkałyśmy.

Nie można mojego życia nazwać spełnionym – myślałam, wracając do rzeczywistości – a zaraz nie będzie go można również nazwać istniejącym. Zalana krwią, niemal ślepa, jak kret, który wylazł z nory na czyjąś grządkę i dostał w głowę łopata, próbowałam wyjść na balkon i wezwać pomoc. Karetka nie przyjeżdżała, miałam wrażenie, że minęło już tyle czasu, a ona dalej nie przyjeżdżała. Drżącymi rękami otworzyłam więc drzwi balkonowe i na czworakach wyszłam z pokoju, zimny podmuch wiatru uderzył mnie w twarz.

– Nie mogę już – wyszeptałam. – Pomocy. Sąsiedzi, pomóżcie mi... – zawołałam, trochę niezdarnie, trochę śmiesznie, jakbym wołała do stojącego w polu chochoła.

Moje słowa zginęły w roztaczającym się przede mną pięknym i nieczułym żoliborskim ogrodzie. Żadnych sąsiadów, żadnych ich okien nie było przede mną – miałam widok na ciemną noc listopadową, która mnie w sobie więziła, spadała na mnie z trzaskiem jak wieko trumny. Patrzyłam przed siebie, w pustkę, i jeszcze raz coś szepnęłam, wiedząc, że nikt nie może mnie usłyszeć ani przyjść mi z pomocą. Nikt nie może zareagować na mnie tak, jak bym chciała, jak zawsze – pomyślałam i zaczęłam się

wycofywać do mieszkania, gdzie przynajmniej mogłam skonać w ciepłe.

Bo na to się zanosilo.

– Ratunku – wycharczałam, zwijając się w kłębek w przedpokoju, koło szafki na buty, nim to, co nazywają ciemnością, nadeszło, chętne i zawłaszczające, jak zaborcza matka, pochyliło się nade mną i mnie sobą przykryło.

X

To coś, co nade mną stało i wykonywało teraz jakieś gwałtowne ruchy, miało trzy głowy, jak jakiś mityczny potwór. Wpatrywałam się w niego przerażona, choć „wpatrywałam się” to semantyczne nadużycie – czułam się tak, jakbym miała dużą wadę wzroku i ktoś zabrał mi okulary. Po kilku straszliwych minutach sprawy się wyjaśniły: trzygłowy stwór był trzema osobnymi bytami płci męskiej.

– Co się dzieje?! Kim wy jesteście?! – bełkotałam. Usiłowałam wstać, to znaczy, kiedy tylko zorientowałam się, że leżę na własnym łóżku. Usiłowałam wstać, ale wstrząsały mną dziwne dreszcze, przypominające serię ataków padaczki. W przerwach moje ciało nie mogło się zdecydować, czy omdlewa, czy raczej się dusi. Jedno było pewne – to wszystko razem wołało jednak o pozycję horyzontalną.

– Niech pani leży! Zemdlała pani, jesteśmy z pogotowia – zakomunikowała jedna głowa, której zarysów nie mogłam dostrzec; spowijał ją żółtawy nimb, coś na kształt przerośniętej aureoli, przez co przyszło mi na myśl, że może na pomoc przyszedł mi sam świetlisty anioł.

Nie lękajcie się – pomyślałam, ale mój strach nie chciał zniknąć. Sylwetki mężczyzn przesuwają się z prawa w lewo, krążyły nerwowo wokół mnie jak sąd ostateczny, który nie umie wydać wyroku, pochylały się nade mną i odchyłały mi powieki, zaglądały mi w oczy, jakby to tam chciały znaleźć jakąś odpowiedź. Po chwili poczułam, że rękę powyżej łokcia otulono mi czymś, co naraz zacisnęło się na niej jak dłoń kościotrupa w tunelu strachów. Na palec założono mi coś, co wyglądało jak naparstek.

– Puls spada – powiedział właściciel jednej z niewyraźnych głów, rzeczowo, beznamiętnie, bez oznak zdenerwowania, jakby komentował wygląd kiełbasy wiejskiej w mięsnym.

Chwilowo trudno mi było podzielać jego stanowisko. Ledwo powstrzymałam łzy na myśl o tym, że tylko ten rozparcelowany trzygłowy stwór będzie świadkiem mojej śmierci.

– Adrenalina – rzucił ktoś drugi. W żyłę wbito mi strzykawkę.

– Co się dzieje?! Czy ja umieram?! – krzyknęłam niewyraźnie w ich kierunku. Oddychałam tak szybko i płytko, jakbym zrobiła sobie przebieżkę wokół Wielkiego Muru Chińskiego. Ciągle się bałam, że coś w maszynerii mojego organizmu nie wytrzyma tego napięcia, jakaś śrubka zaraz odpadnie i to wszystko się skończy, wysiłki ratowników okażą się daremne i pozostanie im tylko zarzucenie na mnie białego prześcieradła.

– Jeszcze nie – rzucił beznamiętnie któryś z nich. Współczucie było im obce, chyba terminowali w jakiejś autorskiej szkole ratownictwa typu nazistowskiego. Żaden z nich nie zwracał uwagi na moje jęki, posapywania i bluźnierstwa. Wszyscy do zagadnienia mojej rychłej śmierci podchodzili biurokratycznie, jak urzędnicy dokonujący pomiaru terenu pod planowaną budowę. – Corhydron – zarządzono.

Czułam się trochę jak w koszmarnym śnie, w którym obserwujesz swoje życie, nie mając na nie wpływu. Twarze mężczyzn przepływały nade mną jak gradowe chmury, moje ręce były przez nich kłute, podnoszone i opuszczane; ktoś na ochotnika otarł krew płynącą mi po twarzy. Raz po raz mocowano mi coś na rękach, pompowano we mnie jakieś płyny i dokonywano tajemnych obliczeń oraz pomiarów, przekazując sobie ich wyniki.

– Umieram, umieram... – szepnęłam znów, tak bardzo zmęczona i już właściwie z tym pogodzona, choć paradoksalnie było mi samej siebie żal. Paradoksalnie, bo moje życie nie miało obiektywnie żadnej wartości poza tą organiczną, zawierającą się w syntezie białka, żałośnie później śpiewającego

Bogurodnicę, bez przekonania biorącego udział w wyborach. Jak widać, można być przywiązany do życia polegającego tylko na mijaniu. Nie miałam już siły walczyć, pogodziłam się z własnym końcem. Zamknęłam oczy i postanowiłam puścić się istnienia, którego do tej pory, przez nie wiedziałam nawet ile – minuty czy godziny – kurczowo się trzymałam, jakbym była dzieckiem zaciskającym w małej spoczonej dłoni wypełniony helem balonik. I kiedy już, już miałam się z nim rozstać, poluzowałam uścisk i pozwoliłam, by wyślizgnęło mi się z palców, moje życie zaczęło wracać na swoje miejsce. Choć nadal miałam drgawki i było mi zimno, to zdecydowanie wracałam do stanu jakiejś takiej używalności, nawet szczękościsk spowodowany ostrą anginą z powikłaniami ustąpił. Powoli docierało do mnie, że sprawy mają się lepiej, może nie aż tak, że zaraz mogłabym wstać i odśpiewać hymn Polski, ale dużo lepiej. Twarze mężczyzn wyklarowały się, jakbym przebudziła się po długiej chorobie i wyszła z wysokiej gorączki, ich rysy stały się nagle niezwykle wyraźne, jeden nawet wydał mi się całkiem przystojny – księżę reanimacji o łagodnym spojrzeniu. Niestety ja nie mogłam robić za księżniczkę, no chyba że w księstwie ciemności, w królestwie piwnic. Tańcząca ze szczurami, hrabina trutki.

– Przeżyłam? – wymamrotałam.

– Owszem – powiedział księżę reanimacji. Inni pozostali niewzruszeni, jakby chcieli po prostu jak najszybciej skończyć i zapalić papierosa. Nie takie przypadki przywracali codziennie do życia, powiatowi bogowie.

– Pojedziemy do szpitala – oznajmił inny i podał mi ramię, a ja, Pani Łazarz, nonszalancko z niego skorzystałam.

Wyszliśmy na zewnątrz; oni podpierali mnie jak walącą się kolumnę, nawigując mną tak, żebym trafiła wprost do zaparkowanej tuż przy bramie karetki, do której władowali mnie jak świńską tuszę. Zajęłam tam naczelne miejsce pacjenta, a księżę reanimacji usiadł obok mnie – patrzyłam w jego atrakcyjne, tak różne od mojego oblicze.

– Bardzo źle wyglądam? – zapytałam słabym głosem.

– Nie, wygląda pani w porządku – odrzekł dobrodusznie.

– Widzę cenę na tym komplementcie – rzuciłam. Chciałam mu jeszcze żartobliwie pogrozić palcem, ale przypomniałam sobie, że nie mam obecnie palców, tylko parówki, a wygrażanie nimi chyba nie ma takiej samej mocy.

Potem ruszyliśmy, nocne miasto biegło uparcie obok jak wściekły pies, świetlne zygzaki, mroczne semaforey, nagie drzewa – wszystko machało do nas odległymi dłońmi, to była noc szczurów, doskonała noc na śmierć.

Podjechaliśmy pod szpital i oni, ci trzej, choć nie pamiętam, czy wszyscy razem, czy w podgrupach, wtoczyli mnie tam na moim tymczasowym legowisku, łóżku na kółkach, dzięki czemu nie musiałam chodzić, nie musiałam nic robić, świat przemykał obok jak złodziej, trupie światła latarni i jarzeniówek uderzyły mnie w twarz, odkryły ją, brzydką i pokaleczoną, potem pamiętam już tylko metry korytarzy, metry ciągnącej się nade mną obcej przestrzeni. Wreszcie ratownicy zatrzymali mój pojazd w pozbawionym cech szczególnych hallu, chyba że za jego cechą szczególną można by uznać tych wszystkich mamroczących, rzygających, wołających o pomstę do nieba nieszczęśników zwiezionych tu z okazji Święta Zmarłych, którymi jeszcze nie byli, ale którymi mogli się stać w każdej chwili, jak i ja sama.

Leżałam tam i leżałam. Bezustannie mijali mnie różni ludzie, ale żaden z nich na mnie nie spojrział, jakby zupełnie mnie nie widzieli, przez chwilę miałam nawet podejrzenie, że jednak umarłam i jestem teraz leżącym tu duchem, nikt do mnie nie podchodził – tylko treść żołądkowa podchodziła mi do gardła. Dlatego poczułam nagle, że będzie źle, chciałam zawołać tę królową w fartuchu, udającą, że droga przez szpitalny korytarz nigdy nie wiedzie obok mnie, ale nie zdążyłam. Zupełnie z niczym nie zdążyłam, bo paw wyskoczył ze mnie jak dziarski płód i zarzygałam całą szpitalną podłogę.

– Mogła pani zawołać, dałabym folię. – Ta, której wszystkie drogi

prowadziły z dala od mojej leżanki, nagle przy mnie stanęła i obrzuciła mnie wzrokiem nauczycielki przyłapującej ucznia na jakimś oszustwie.

– Przepraszam – wymamrotałam. I rzeczywiście wyciągnęłam rękę po foliowy worek, w którym wylądowała druga tura zupy koperkowej – jedyne go posiłku, który przez dwa dni udało mi się wtłoczyć do gardła. Było to bardzo trudne – miałam wrażenie, że kilka dni temu ktoś zainstalował mi w przełyku most zwodzony i raz na zawsze go opuścił.

Siostra Ratched z dezaprobatą pokręciła głową, a potem zaszła mnie od tyłu i zabrała na małą przejażdżkę, a dokładniej do pobliskiego pokoju, który być może nosił nazwę gabinetu zabiegowego, w każdym razie widziałam, że co jakiś czas zwożą tam połapanych w nocy, wyrwanych śmierci nieszczęśników.

Leżałam tam teraz, czekając na dalszy rozwój wypadków. Zamknęłam na chwilę oczy. Kiedy je otworzyłam, stał nade mną wielki królik, który w ręce trzymał mój dowód.

– Pani Marianna – wymówił moje imię.

Mania – pomyślałam – może pan po prostu mówić Mania, bo to najlepiej oddaje mój stan. Albo po prostu Maszkaron.

– Zgadza się – wyszeptałam jednak przez obolałe gardło. A co, myślałeś, że twój obiad *à rebours*? – dodałam w myślach.

Nastawienie miałam dość wojownicze, ale chyba niepotrzebnie, gdyż królik prezentował zdecydowanie miłosierną postawę. Co więcej, gdy tylko przyglądało mu się dłużej i dokładniej, można było stwierdzić z całą stanowczością, że nie był królikiem, a tylko się pod niego podszywał, zapomniawszy, że prócz charakterystycznych zębów, czułego, łagodnego spojrzenia i małego ruchliwego noska wypadałoby jeszcze mieć długie uszy, futro i pięćdziesiąt centymetrów wzrostu oraz kicać.

– Wstrząs anafilaktyczny, można umrzeć – powiedział ze współczuciem. – Trochę by było szkoda – dodał, spoglądając mi w twarz i w związku z tym, miałam wrażenie, już nieco bez przekonania.

– Ciekawe komu – mruknęłam, próbując jednocześnie blade się uśmiechnąć, wykazać się zrozumieniem dla jego niezdecydowanego stanowiska. Wydawało mi się, że czasem musiałam w ten sposób pomagać ludziom, którzy mimo dobrego wychowania, mimo niezaprzeczalnej ogłady często nie mogli na mój widok pohamować pierwszej, pełnej odrazy reakcji, związanej zresztą nieodłącznie ze wstydem, że do niej dopuścili. Wiedziałam, że prezentuję się jeszcze gorzej niż na co dzień. Już nie tylko jak kaszalot, ale jak kaszalot, którego dorwały piranie.

– Rocznik osiemdziesiąty pierwszy... – ciągnął, wracając wzrokiem do mojego dowodu. – Trzydzieści pięć lat. Wszystko przed panią! – skończył dziarsko, a zarazem niepewnie, jakby chciał pocieszyć właściwie samego siebie, a ja zastanowiłam się, co jeszcze w tym wieku może być przede mną: rak, alzheimer, slalom wózkiem inwalidzkim po wymarłych korytarzach podrzędnego domu starców, słoje z formaliną, w których można by po śmierci uwiecznić kolejne ludzkie kuriozum.

– Zrobimy badania – zapowiedział lekarz i zaczął kolaborować z pielęgniarką w tej sprawie, a kiedy tylko się odwrócił, kiedy wreszcie przestali na mnie patrzeć, a zatem ja nie musiałam już robić dobrej miny do złej gry, w czym byłam przecież tak dobra, praktyka czyni mistrza, pozwoliłam wreszcie na to, żeby po mojej zmasakrowanej twarzy spłynęły dwie wielkie łzy.

XI

Oczy, które przed sobą widziałam, były małe i chytre, jak gołębie oczka. Leżąc na tym ruchomym łóżku, w obcym szpitalu, wśród anonimowych ludzi mijających mnie obojętnie i bez słowa, jak duchy, pod żółtym sufitem, wyglądającym jak marny baldachim, który w każdej chwili mógł na mnie spaść, zmęczona zamknęłam oczy i wtedy znów przypomniała mi się przeszłość – oczy tych franc, na które trafiłam, uparcie szukając czegoś dla siebie, bez ustanku próbując poświecić sobie latarką w tym chaosie.

Było to, pamiętam, tuż po tym, jak w niczym mi nie pomogły warsztaty duchowe, na które się zapisałam. Zrobiłam to, bo moja dusza zdecydowanie potrzebowała kolonoskopii. Kurs obiecywał załatwić rzecz w półtorej godziny – naprawić mnie skutecznie, jak pralkę, do dwóch godzin, to mnie zachęcało. Zapamiętałam z tych zajęć tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, ten moment, kiedy weszłam i go zobaczyłam. Mistrz ceremonii jogin Njajgo Bahajan.

Ciapaty siedział w rogu sali, na podwyższeniu, jak sęp wyczekujący ofiar. Spowity w długą białą szatę, wyglądał jak święty trup, którym poniekąd był – wychudły, zmarniały, otulony siwymi włosami, z palcami długimi i kościstymi jak szpony. Wewnętrznie jednak cały aż palił się do życia, co można było poznać po oczach, w których płonął jakiś żar, święty ogień. Wkoło siedziało kilkanaścioro ludzi obojga płci – głównie takich, którzy, jak podejrzewałam, przed chwilą spalili w ognisku demona. Kilku z nich wyglądało jednak zupełnie normalnie – być może byli po prostu psychopatami, pracownikami korporacji nie do końca

usatysfakcjonowanymi swoim życiem, tak jednak zapracowanymi, że podobnie jak ja, na osiągnięcie stanu permanentnego szczęścia mogli przeznaczyć tylko półtorej godziny. Jogin patrzył na nas z gorączkowym wyczekiwaniem, jakby pragnął już nacisnąć w nas przyciski odpowiadające za rozwój duchowy.

– Pochodzimy z łona matki – uświadomił nam zuchwale.

I potem jeszcze jedna rzecz mnie zainteresowała, taka mianowicie, że rzeczywistość to kwestia interpretacji.

W skrócie wszystko sprowadzało się do tego, że wystarczy odrobina samozaparcia, by wydostać się z najgłębszej traumy. Może i wpadliśmy do wrzątka, przez przypadek wypraliśmy się w pralce albo zamiast z gumową kaczuszką wykąpaliliśmy się z suszarką do włosów, to jednak jeszcze nie powód, by widzieć swoje życie wyłącznie w czarnych barwach. Nawet jeśli ktoś umarł i w dalszym ciągu nie żyje, powinien pracować nad tym, by zinterpretować ten fakt na swoją korzyść.

„Masz za mały debet? Uporaj się z tym problemem w półtorej godziny” – oto jak powinien się nazywać ten kurs. Kiedy podawałam mistrzowi ceremonii banknoty i z uporem patrzyłam w jego rozgorączkowane, porażające oczy, usilnie próbowałam być, jak zachęcał, producentem emocji związanych z miłością bliźniego i miłosierdziem. Bez sukcesu.

Dlatego, nie osiągnąwszy żadnych sukcesów w zakresie naprawy ducha, wróciłam myślami do ciała. Wprawdzie nie miałam co do niego najmniejszych złudzeń, ale chuj – człowiek ma desperacką naturę, zawsze czepia się złudnej szansy, beznadziejnej obietnicy ratunku. Nie chodziłam na jogę ani na siłownię, gdzie chodzili już wszyscy, w ogóle nic nie robiłam względem dbałości o ciało, mijały kolejne pory roku, lata, a moje ciało wlokło się za mną krok w krok jak kula u nogi skazańca. Zastanawiałam się, co z nim zrobić. Odpowiedź jak zwykle przyniósł mi wszechświat. „Crossfit, tylko crossfit!” – zapewniał Facebook, zapewniali przypadkowi, stłoczeni

pod kawiarniami ludzie. Wzięłam to za dobrą monetę.

Na same zajęcia nie dotarłam, rozważałam to długo i głęboko, nawet je sprawdziłam w necie, ba, nawet podeszłam pod sam budynek i z trwożliwą ciekawością zaglądałam do środka, ale tam nie weszłam, nie mogłam się do tego zmusić, pokonana przez podszepty wyobraźni. Ja, moje wielorybie ciało wśród ciał zapewne już poddanych crossfitowi, a zatem gibkich, sprężystych, śmiało unoszących się w powietrzu... Ja wśród tych ludzi poddanych treningowi nie tylko fizycznemu, ale też pewnie interpersonalnemu, wturlam się tam jak kompleks, który oni już dawno przepracowali, doczołgam się tam jak trauma, którą oni już dawno wyegzorcyzmowali... Stałam przed budynkiem, a moje głębokie postanowienia przemiany, nawiązania relacji międzyludzkich i poprawy kondycji psychofizycznej drogą sportu zamierały jak owady, które – widziałam to na wakacjach lata temu – wiejskie dzieci łapały do słoików.

Wtedy jednak, kiedy po dłuższej chwili podjęłam dramatyczną decyzję, że przestąpię jedynie próg klatki schodowej i przedsionka, na tyle się odważyłam po długim i pełnym wahania namyśle, kosmos zapragnął ze mną współpracować. Na ścianie dostrzegłam ogłoszenie: „Piątkowe koło crossfitek – godzina, miejsce, wino”.

Jebać crossfit – pomyślałam. Co innego piątkowe koło; jeśli mowa o piątkowym kole z opcją wina, to zupełnie inna rozmowa, choć nie powiem, i tutaj nie było najłatwiej. Moje wewnętrzne dziecko tupać i wrzeszczać, rzucało się na podłogę i darło się wniebogłose „nie!”, chcąc jak zwykle zostać w domu, leżeć pośrodku niczego, ssać swój czarny smoczek i wodzić wzrokiem wołającym o egzorcyście po wyobrażonej i prewencyjnie już znienawidzonej ludzkości. Spierdalaj, demonie – mówiłam mu spokojnie w myślach, dusząc je czarną poduszką. Właśnie że wyjdę do ludzi, podejmę ten mityczny trud „wyjścia do ludzi”, zrobię ten przełomowy krok. „Kompromitacja, kompromitacja” – szemrało we mnie wewnętrzne źródło, zapełniając tę przestrzeń, w której anihilowało moje

i tak już spacyfikowane wewnętrzne dziecko. Kompromitacja? Owszem, może i kompromitacja! – myślałam coraz bardziej wzburzona – ale co zrobić, całe życie się kompromituję, całe moje jebane życie to jedna wielka kompromitacja, więc jeden chuj, znowu się skompromituję, doprawdy, jedna kompromitacja w tę czy we w tę nie zrobi mi żadnej różnicy!

I przyszłam tam, do tego lokalu, w wyznaczonym dniu i o wyznaczonej godzinie. Z trudem, bo z trudem, dwie lampki wina były niezbędne – nie dało się tego załatwić inaczej. Crossfiterki spotykały się w jednym z modnych lokali w centrum miasta; lokali, do których dla nich wstęp był absolutnie naturalny i niewymuszony, przestępowały ich progi z taką samą łatwością, z jaką, podejrzewałam, mówiły o rozplywających się w ustach gnocchi i nieco gorszym już tatarze z łososia oraz wyższości wina riserva nad crianzą. Ja do lokali takich jak ten mogłam wejść po przynajmniej dwóch kieliszkach wina (które leżakowało miesiąc w Biedronce) i milczeć.

Weszłam do sali, w której się zebrały, i od razu wiedziałam, że będzie źle. Te baby, te baby, do których się zbliżałam, te baby, które tam siedziały, na podwyższeniu, przy tym okrągłym szklanym stole, na tych fikuśnych krzesłach, wychylone lekko w stronę środka, tworząc w ten sposób stożek, wzmocniony padającym na nie cieniem, wyglądały ni mniej, ni więcej, tylko jak łoża masońska układająca na nowo świat w oparciu o koncepcję piękna. Podczas gdy cały świat dumał nad opcjami interwencji wojskowych w różnych swoich powiatach, one skupione były na miejscowej interwencji chirurgicznej. Kwas hialuronowy w bruzdy, to było pewne. Botoks pod oczy. Botoks miejscowo na czoło. Złote nici cerujące dziury po trądziku. Bez wyjątku każda miała to za sobą. Bez wyjątku każda potrafiła jednym tchem wymienić wszystkie greckie wyspy, na których była, jest lub będzie. Na plan pierwszy wychodził również ich spryt. Były tak sprytne, że zrobiłyby wszystko, co jest opłacalne; gdyby to było opłacalne, wzięłyby swój kręgosłup w leasing.

Podeszłam tam, trudno mi w to uwierzyć, ale tam podeszłam, mimo

chwili straszliwego wahania. Dwa kieliszki wina, które wypiałam, żeby sobie z nim poradzić, nie mogły się jednak zmarnować. Dołączyłam do kręgu, wsunęłam się bezszelestnie na to białe krzesło w stylu glamour, krzywo się uśmiechnęłam, udając, że nie widzę wcale ich uśmiechów, z których zdjąć można było miarę, aby obliczyć krzywiznę krzywej, wreszcie umościłam się na siedzeniu i nadstawiłam uszu.

- Najbogatszy człowiek świata to jest gość z Żary – powiedziała jedna.
- Nie może być, gdyż sułtan z Brunei – polemizowała oburzona druga.
- Nie, ten gość z Żary.
- Donald Trump.
- Mój mąż.

Nie doszły do konsensusu.

Były poniekąd do mnie podobne – jeżeli chodzi o ułożenie względem siebie różnych części ciała, to rzucał się w oczy natrętny brak ich symetrii; różniło nas to, że ja zaakceptowałam w sobie tę ohydę, pogodziłam się z tym, że jestem frankensteinem, one przeciwnie. Choć część z nich była idealną realizacją szalonych zamierzeń naukowców chcących skrzyżować jedne organizmy z drugimi, kompletnie do siebie nieprzystającymi, nie chciały tego uznać i uparcie z tym walczyły. W efekcie były jak skóra zdjęta z dzikiego zwierzęcia – wypreparowane. Patrzyłam na nie szczerze zafascynowana: o, siostry w krzywdzie! Jedna na przykład stanowiła skrzyżowanie pudła z gołębiem; fryzura i uszy pochodziły od pierwszego, nos przypominający dziób i wredne, wystraszone oczka – raczej od drugiego. Zdecydowanie nadrabiała jednak dobrej jakości odzieżą oraz nasyciem na swoją starą twarz nowej, z katalogu. Zresztą właśnie od tego, od podsumowania modernizacji nie tylko twarzy, lecz i innych swoich części składowych, zaczęła wywód, gdy tylko usadowiła się na czerwonym pufie, pufie wyglądającym jak moszna, którą, nie oszukujmy się, musiała znać równie dobrze jak każdy korytarz dobrze prosperujących zakładów chirurgii plastycznej, którą musiała znać na wylot. Więc kiedy usadowiła się już

w swojej zacisznej mosznie, odezwała się w te słowa:

– Większość rzeczy już poprawiłam, jedne dziury zaszyłam, a inne poszerzyłam, jedne rzeczy wyrwałam, a drugie wyhodowałam. Stopy, moje stopy były wielkie jak łopaty, kiedy szłam, to wzmacniałam ruchy tektoniczne, stopy więc amputowałam i doszyłam nowe, wymieniłam też oba kciuki i rzęsy. Po usunięciu paru żeber, z talią osy, byłam już kobietą w pełnym calu, gotową wyjść na miasto! Dlatego teraz sukces, jestem w ciąży! – Po tym robiącym wrażenie wyznaniu zapadła się w swą mosznę i trwała tam niczym tyran imperium na tronie, kiwając się bez przekonania to w prawo, to w lewo, jakby czekając na wyznawców, którzy złożą samych siebie w hołdzie wiernopoddańczym, pokonani siłą jej świadectwa.

– A, rzeczywiście – wtrąciła wreszcie jakaś kobieta. – Jakoś inaczej wyglądasz.

– Spokojnie, nie musisz się krygować. Wiem, że straciłam nieco ze swego piękna. Noszę w sobie dziewczynkę. Dziewczynka wysysa urodę.

Ile dziewczynek masz w sobie? – pomyślałam, lecz zagryzłam wargi. Nasz krąg jakby ewoluował, śmiała opowieść koleżanki ośmieliła inne. Jej siostry w waginoplastyce powstały jak jeden mąż i rzuciły się do zwierzeń.

– Jak stałam ostatnio na rękach, coś mi trzasnęło w łokciu – wyznała jedna. – Kilka tygodni treningu w plecy. Dosłownie, bo mam już na nich wałeczki.

– Mam nowe postanowienie: jeden dzień, jeden dzień bez wina!

– Radykalny program odnowy.

– Ten mój nowy frajer, który zaproponował mi, żebyśmy co dwa tygodnie spotykali się w opłaconym przez niego hotelu... czysty układ, dwoje dorosłych ludzi... No więc rozpatruję go jako dawcę spermy. W sumie czym oni są, jeśli nie chodzącą spermą?

– Ile ma?

-Lat?

– Nie, kasy!

– Jeśli szukasz spermy, znajdziesz ją dziś jeszcze wśród nierobów. O spermę nieudacznika, wiadomo, łatwiej.

– On chce mieć dziecko, ja mówię: dajmy sobie czas. Jeszcze rok, jeszcze dwa lata życia – mówiła znów inna o rozmnażaniu, jakby miała na myśli walkę z rakiem.

– Ostatnio miałam randkę z netu. Gość przychodzi, siada przede mną, mówi „cześć” i wyciąga telefon. Wchodzi w zdjęcia i naprawdę mi go pokazuje! Pokazuje mi go i mówi: „Takiego mam. Trochę nieostre. Miałem pięćdziesiąt kobiet. No a ty? Powiedz coś o sobie”.

– Serial ma być z Jude’em Law, *Młody papież*. Jude Law, też mi atrakcja! Stary dziad, całkiem wyłysiał!

– *Friendly fucking* z osobą z tego samego kręgu społecznego jest dobrym pomysłem, dopóki, słuchajcie, bo to ważne, dopóki nie okaże się, że ten ktoś nie był zupełnie z twojego kręgu społecznego, bo na obiad zamiast fileta z dorsza nowozelandzkiego proponuje filet z konserwy!

– Jak tam twój nowy romans?

– Słabo. Prawie się nie widzujemy. Trudno mi się wbić między jego epizody depresyjne.

– Mnie trudno w ogóle się z kimś umówić! Mam sześć par na Tinderze, ale żaden z tych gości do mnie nie zagaduje! W końcu wkurzyłam się, napisałam do jednego, ten rzuca mi pytanie roku: jakie są twoje pasje? Odpowiadam zgodnie z prawdą, że crossfit, crossfit i crossfit, jakie są twoje? – pytam. Radykalne zachowanie seksualne, pada odpowiedź. Myślę, że to świadczy o wysokiej inteligencji...

– Ha, ha, i co, postanowiliście przetestować toaletę w siedzibie Mensy?

– Hm? Nieważne, zagadałam do drugiego. Pisaliśmy do siebie tygodniami, tam się zdarzają tacy pisarze, wreszcie nie wytrzymałam i pytam, czy chce się spotkać na wino. A ten mi odpisuje: zaproś mnie na wino, zanim inna zaprosi mnie na loda.

Ach, więc zrobiliście karierę, a teraz wracacie do pustego mieszkania –

pomyślałam, bo ostatnimi czasy sporo się naczytałam „Zwierciadła”. Patrząc na nie, nie musiałam być Nostradamusem, by przewidzieć ich przyszłość, w której widziałam raptowny odwrót od prosecco w stronę wenlafaksyny.

– Nie możesz odejść, mówię mu, nie możesz odejść, ponieważ miałam z tobą trzy aborcje! Coś spadło?

Twój poziom feminizmu – pomyślałam. Patrzyłam na nie jak na osobny, niedostępny kosmos. Ich wszystkie pragnienia, ich wszystkie myśli leciały w górę jak race, raz wystrzelone rozbłyskiwały na chwilę i gasły. Patrzyłam w ich twarze, tak bardzo bliskie i tak zarazem obce, każda z siedzących w kręgu kobiet była jak świeczka na torcie; nawet gdybym chciała je wszystkie zdmuchnąć, żadne życzenie by się nie spełniło. Noc zapadała nad nami nieubłaganie; jasność zmieniała się w swoje przeciwieństwo. Siedziały i dalej coś mówiły, podczas gdy ja siedziałam wśród nich i nie mówiłam nic. Patrzyłam na nie i myślałam o tym wszystkim, co nigdy nie nastąpi; myślałam o swoim życiu, które prawdopodobnie nigdy niczym się nie wypełni. Przeszły do pięćdziesiątej czwartej tury wina. Butelki krążyły wśród nich jak dary wymieniane przez członków jakiegoś plemienia. Pozwoliłam, by napełniły mój kieliszek – siedziałam jednak bez słowa i nawet nie podziękowałam. Widziałam, że rzucają mi ukradkowe, zdziwione spojrzenia – myślały pewnie, że jestem czymś w rodzaju konia trojańskiego, którego ktoś im podsunął, wyjątkowo źle wystruganym koniem trojańskim, właściwie jego karykaturą, koniem trojańskim, z którego pozostały same intencje. Nie podzieliły się jednak ze mną tą refleksją, z odrobinę tylko mniejszym apetytem sięgały po przekąski: ser Olivet au Foin, przegrzebki z truflami, pikantne szaszłyki z jagnięciny. Szczególnie te ostatnie bardzo im smakowały – jadły zachłannie, gdyby mogły, wrywałyby te jagnięce płody jeszcze z brzuchów matek.

I zaraz, gdy były już wypełnione winem, były nim wypełnione tak bardzo jak przed chwilą te butelki, wjechały na nowe tory swej narracji.

– Dziewicą nie jestem od dawna, od czasów, gdy w telewizji pokazywał się ten rusek z nakrapianą głową, ten komuch, którego łeb wyglądał, jakby ktoś wylał na niego kakao. Jakos tak to pamiętam: robię to pierwszy raz, a on w tle zapowiada pierestrojkę. Pomyślałam: dla mnie też on wieje, wiatr zmian, teraz będę królową życia, nowa Polska da mi tyle szans, tyle możliwości. Będą wreszcie porządne prezerwatywy, a nie jakieś rybnie jelita, świńskie pęcherze, będą gadzety koloru lizaków i różne rodzaje stringów. I niemal trzydzieści lat później to mam, wszystko to mam, wszystko już kupiłam, wszystko już przerobiłam, wszystkie pozycje z katalogu zamówiłam i teraz jeżdżę na wakacje, otwieram okno na świat, a on na mnie łąpie i zawsze jakbym lądowała na tej samej plaży przy hotelu, z tym samym mężczyzną. Nie pamiętam twarzy, imion, rozmiarów, czy to José, André, Mike, Pierre, Jamal czy Bruno.

– Pierwszy raz pojechałam do Indii: szczury jak krowy, krowy jak moja matka, wszechobecne i nietykalne, a kurczaki takie, że się od razu po nich porzygałam. Indie to największa ścierna dekady. Wszyscy tam byli, ale nikt się tam nie odnalazł. Każdy, kto wrócił, natychmiast wołał o worek koksu, przez co nigdy już nie mógł wysiedzieć na jodze. Dlatego mówię: Japonia jakaś czy Afryka – to są dziś dobre destynacje.

– Uwielbiam prowadzić życie osobiste! Przynosi tyle zaskoczeń! Jednego dnia masz chłopaka, drugiego jesteś sama, trzeciego budzisz się pod kroplówką po aborcji, czwartego jesteś stara i umierasz. Twoja skóra staje się cienka jak pergamin, chcesz ją zdrapać, zrywać płatami i porozwieszać na sznurkach jak mokrą bieliznę. Hej, to moja skóra, zagadujesz przechodniów, pamiętacie ją? Pamiętacie moją skórę występującą kiedyś w innej formie niż te żalosne strzępy powiewające teraz na wietrze jak proporce? Lubiliście ją całować, lubiliście jej dotykać, lubiliście do niej przylegać, a potem lubiliście ją zostawiać. Kiedy do mnie przychodziliście, byłam jak zamek, kiedy wychodziliście, byłam jak rozrzucona kupa piasku. Pamiętacie mnie, kiedy byłam atrakcyjna jak tętniący życiem kurort, nie to

co dziś – martwy sezon, cisza po dawno nieczynnym lunaparku?

Żałosne, głupie cipy – pomyślałam. Żałosne ofiary rewolucji seksualnej. Wzięły wolność jak leżący na ziemi transparent, pomachały nią i chciały oddać, tylko nie rozumiały, że żadne zwroty nie będą przyjmowane.

One i ich koleżanki, te, które jakiś czas temu odkryły, że mogą zyskać niejaki pieniądze, spółkując z bogatymi Arabami. Pakowały więc swoje ciała na promy albo umieszczały je w samolotach, żeby dostarczyć je kupcom. A potem te ciała, używszy do zarabiania pieniędzy paru swych strategicznych części, używały też i głowy do odczuwania satysfakcji z tego, że mogą korzystać ze swojej wolności. Niektórym zresztą naprawdę się poszczęściło. Większości nie – większość nie podołała prawu konkurencji i po krótkim czasie pewnej prosperity musiała zwijać swój malutki kramik z genitaliami w cenie deluxe i wracać, skąd przyszła, pozbawiona nie tylko pieniędzy, ale i złudzeń co do wolności. Były jednak i takie, które przekuły hojność natury w sukces i od władzy nad własnym ciałem płynnie przeszły do władzy nad mężczyznami. Kowalki swego losu, mając w ręku odpowiednie narzędzia do osiągnięcia sukcesu, mianowicie tkanki ułożone w sposób zyskujący wyraźną męską aprobatę, skrzętnie je wykorzystwały.

I jedno, i drugie miały nade mną przewagę: nawet jeśli to, w co uwierzyły, teraz leżało pod ich nogami, miały co zbierać. Ja nie. Zawsze byłam tylko jałową glebą. Nie było żadnej fali, do której mogłabym się włączyć, nikt nigdy nie mówił w moim imieniu. Nie wiem, co gorsze – ich zmarnowane czarne łona czy moje nienaruszone łono, po którym hula wiatr.

I nagle, kiedy patrzyłam w ich twarze, usztywnione botoksem, lecz zniekształcone przez światło świec, kiedy patrzyłam na ich usta, otwierające się i zamykające jak automatyczne drzwi, usta, przez które podobnie dużo przeszło – jedzenia, myśli, części ciała – nagle jakby coś we mnie pękło. Pomyślałam, że już nie wytrzymam. Już nie wytrzymam. Wezmę i wyciągnę te moje brzydkie, sflaczałe, bezkształtne piersi, wyglądające jak piersi kobiety z odległego plemienia, wyciągnę je i krzyknę: „A wiecie, czego ja

chcę?! Wiecie, czego ja chcę, głupie kurwy?! Chcę, żeby leciało z nich mleko! Czy rozumiecie, jak to jest – mieć cycki, których nikt nie dotykał, których nikt nawet nie widział?! Czy rozumiecie, jak to jest mieć cipę, której nie dotykało nic oprócz cienkiej, zimnej świeczki, prysznic i wibratora, czy rozumiecie, jakie to uczucie – ten strach, to nie jest właściwie strach, tylko pewność, że nic nigdy we mnie nie wejdzie ani ze mnie nie wyjdzie, wszystko, co jest we mnie, w środku, jest kompletnie bezużyteczne, moje organy wewnętrzne są jak konary starego drzewa, które schną coraz bardziej każdego dnia, po co mi było to dane, jeśli nie ma z tego żadnego użytku?!”.

Ale nic nie mówiłam, milczałam. Milczałam, bo co innego mi pozostało, skoro nic się nigdy nie zmieni? Moje życie będzie już tylko mijało. Moje ciało będzie z wolna niszczyć, butwieć i czernieć jak statek zostawiony w zatoce. Wszystkie rafy będą tylko rafami, na które wpłynęli inni. Choćby one, te uczestniczki kółka dyskusyjnego o teorii analu, ale i inni – chłopaki, o których czytałam w internecie, moim wielkim i jedynym oknie na świat, o których słyszałam od Olafa – o którym później. Ci, którzy oprócz wielu innych rzeczy zajmowali się usprawnianiem współczesnych możliwości komunikacyjnych. „Cze”, „Lodzik?”, „Kiedy?”, „ja mega cwel, może jebanie też?” – pisali ci współcześni mistrzowie pióra, walcząc z ewidentnym przeżytkiem kultury, jaki stanowiło pełne zdanie. Dziś wszystko wydawało się takie proste. Do zawiązania – niech będzie, powiem to – relacji międzyludzkiej wystarczyły dwa słowa: „foto pałki”.

Złe foto pałki równa się blokada. Może to i dobrze? Jeśli ktoś narzekał na niekończące się namiętności, ciągnące się przez lata romantyczne bóleści, zawilości, których nijak nie dało się wyjaśnić, jeśli ktoś miał alergię na wrzosa i nie lubił wśród nich brodzić, uważał, że powłóczyście suknie są niemodne, i miał wstręt do epistolografii, mógł odetchnąć z ulgą. Wreszcie wszystko sprowadzało się do foto pałki.

Daleka byłam od moralizatorstwa; wręcz przeciwnie – ja im zazdrościłam. Zazdrościłam tym chłopakom, którzy przyczajeni

w darkroomach niby polujące zwierzęta na hasło „zostają tylko ci, co liżą tyłki” reagowali z entuzjazmem. Ktoś ich chciał, ktoś składał im propozycje, a oni skwapliwie z tego korzystali. I lizali, lizali wypięte miejsca, przygotowane uprzednio – jeśli się miało szczęście – do tej procedury, a później robili inne rzeczy, których od nich oczekiwano, wypełniając te noce okrzykami rozkoszy, wypełniając je jękiem, którego ja miałam nigdy nie wydać. I gdy kończyli na czarnych kotarach zasłaniających te wnętrza przed wzrokiem ciekawskich, gdy kończyli w ciałach innych lub na ciemnej podłodze, zasłanej pozostałościami po tej nocy, za każdym razem oddalali się od mojego doświadczenia – doświadczenia niczego. I zazdrościłam też tym dziewczynom, które używały Tindera i robiły to później w hotelach, robiły to w domach i na imprezach, a ich krzyki niosły się daleko, objijając się o te szklane stoliki, z których inni ściągali koks, ślizgając się po kadłubach samolotów, którymi inni odlatywali do Wietnamu, Bangkoku, Kambodży, niosły się po srebrnych talerzach, z których inni, usadowieni w drogich restauracjach, jedli swe frykasy. Zazdrościłam tym wszystkim, którzy uczestniczyli w kulturze ekscytacji. Ja nijak nie mogłam w niej uczestniczyć.

XII

Kiedy znów otworzyłam oczy, nie byłam pewna, czy znajduję się w szpitalu czy może już w piekle. Siedziałam bowiem przed szatanem. Dokładnie tak wyglądał ten laryngolog, do którego właśnie mnie zawieziono. Kiedy tak stanął nade mną i nonszalanckim gestem kazał mi zejść z łóżka i wejść do swojego gabinetu, wyglądał jak szatan, który dodał sobie powagi białym kitem. Spostrzegłam, że jest w nim coś złowieszczonego, kiedy się uśmiechnął. To było ewidentne – kiedy się uśmiechał, miał w sobie coś z jokera.

– No więc to pani – orzekł, zerkając w jakieś papiery.

– No więc to ja – wymamrotałam przez ściśnięte gardło. Chciałam nawet rozwinąć tę myśl i dodać, że nie żyjemy w czasach, w których samo „ja” wyczerpywałoby temat tożsamości, zatem musimy się umówić na dłuższą pogawędkę, która obecnie jest niemożliwa ze względu na mój szczękościsk.

Ale słowa utknęły mi w gardle, a on założył maseczkę, po czym do mnie podszedł, usiadł naprzeciwko i zapalił te wszystkie lampy. Jego twarz znalazła się tuż obok mojej. Nigdy jeszcze nie przytrafiło mi się, żeby atrakcyjny mężczyzna podszedł tak blisko mnie, tym bardziej tak szatańsko atrakcyjny mężczyzna.

– I jednak pani nie umarła – rzucił z sympatią, dając znak ręką, żebym otworzyła usta.

– I jednak chyba nie umarłam – odpowiedziałam i wykonałam polecenie. Położyłam nacisk na słowo „chyba”, ponieważ to, że dotykał mnie tak atrakcyjny mężczyzna, mogło być dowodem na to, że wszystko dzieje się po

mojej śmierci, w raju.

– Szkoda – rzucił niewinnie, dając mi do zrozumienia, że mam trzymać usta otwarte. Prawdopodobnie i tak bym ich nie zamknęła, zdumiona jego uwagą.

Zaglądał mi w usta tak długo, że pomyślałam, że na pewno chce mnie o coś zapytać, na przykład skąd ta nonszalancja w traktowaniu kwestii użębienia. On jednak milczał. Przez chwilę zastanawiałam się, czy aby na pewno chce mi pomóc, czy może zamierza wypróbować na mnie jakiś nowy rodzaj laryngologicznej tortury – wyrwać mi te wszystkie wadliwe zęby, upierając się, że – zważywszy na ich urodę – bez nich będzie mi ładniej, w co byłam nawet skłonna uwierzyć, albo usunąć język, bo jest mi niepotrzebny, skoro i tak ciągle milczę. Żeby zasłużyć na narządy, trzeba ich w końcu używać. Stwarzało to spore ryzyko i dla tych rodnych, ale mniejsza o to.

– Paskudny ropień się zrobił! – Zaśmiał się szczerze, wypowiadając te słowa z pewnym roztkliwieniem, jakby zaglądał do wózka z różowym bobasem. – Wyrazi pani zgodę na nacięcie? – spytał i podetknął mi pod nos jakąś kartkę.

Co tu dużo mówić, gdyby to on mnie o to poprosił, wyraziłabym zgodę nawet na poderżnięcie mi gardła.

Podpisałam więc i znów, zdezorientowana, otworzyłam usta, a on psiknął mi czymś do środka i po kilku sekundach dobrał się do mnie z ostrym narzędziem, którym przekłuł to coś, co narosło mi w gardle.

– Szkoda – podjął porzucony temat. – Byłaby to doskonała data śmierci. – Jednym celnym ruchem wbił się w ranę, obojętny na moje wrzaski; była to istna tortura. – Pierwszy listopada, w sam raz na grobing – dokończył i uśmiechnął się rozbrajająco; zdecydowanie był szatanem, torturowanie dzieci Bożych sprawiało mu dziką satysfakcję. Jego ciemne oczy pojaśniały z radości, rozżarzyły się złowieszczo, tak samo jak węgle, w które wpatrywałam się w dzieciństwie, na wsi, stojąc nad rozpalonym piecem i w

przejęciu, z otwartą buzią czekając na ten magiczny moment, kiedy dłoń uzbrojona w pogrzebacz uchyli pokrywę i moim oczom ukaze się ten ukryty, podziemny świat ognia i żaru, rozwścieczonych węgielków usiłujących wyrwać się z objęć płomieni. Trącane pogrzebaczem, niczym mityczne stwory buchały wkoło ogniem i rozsiewały iskry, a po kilku godzinach beznadziejnej walki wreszcie się poddawały, czerniały, gasły i stygły; kiedy wracałam tam rano, w piecu znajdowałam już tylko zimną, martwą kupkę popiołu.

Oczy szatana zdążyły tylko szybko przede mną rozbłysnąć, gdy zaczęłam się krztusić, dławić i zanosić płaczem, aż wreszcie pochyliłam się nad nerką, którą mi podstawiono, i bluznęłam do niej krwią z ropą. Kiedy podniosłam głowę, z tą krwią wypływającą z ust musiałam naprawdę wyglądać adekwatnie do dzisiejszej daty – jak zombie. Patrząc na niego, miałam jedną refleksję, i była to refleksja towarzysząca mi całe życie: nie sądzę, by mógł się we mnie zakochać.

Potem sprawy miały się już spokojniej: mój pojazd ruszył zielonymi korytarzami w jeszcze innym kierunku, wśród rozmaitych gapiów upchniętych tu i ówdzie pod ścianami, labiryntem korytarzy, obok gapiów naznaczonych różnymi odcieniami choroby i psychicznej jakby niedyspozycji, spotęgowanej przez noc, oświetloną skąpo światłami jarzeniówek. Otaczały mnie żółtawe, zmęczone, niechętne albo wściekłe twarze tych ludzi, ich oczy łypały na mnie ze wszystkich kątów, miałam przez to wrażenie, jakbym sunęła przez port, do którego zawinął statek szaleńców.

Wreszcie moja rozchybotana łajba zawiadywana przez dwie sterniczki – złowrogą siostrę Ratched i jej przeciwwagę – dobiła do przystani, sali obserwacyjnej. Powoli wracałam do siebie, łapiąc oddech gorączkowo, jak entomolodzy łapią motyle – czaiłam się na powietrze i napadałam na nie z zaskoczenia, przygwoźdżałam je do płuc. Coraz lepiej mi szło. Szło mi tak dobrze, że aż po chwili zaczęłam rozglądać się po towarzyszkach niedoli.

Ta, która leżała po prawej, była wiekowa niczym tablice Mojżeszowe i ewidentnie oddalała się w zaświaty, wydając przy tym straszliwe dźwięki, dźwięki, jakie z pewnością można usłyszeć w najniższych kręgach piekła. Jej ciało było kruche i pomarszczone, zasuszone, jakby była kawałkiem drewna, w którym wyryto twarz starej kobiety, a konarom nadano kształt rąk i nóg. Jęczała, wzywając oga; jej błagania niosły się w głuchą noc, odbijały od tych żałośnie seledynowych ścian. Nie docierały do nas żadne archanielskie trąby.

Ta, która zajmowała łóżko przede mną, spała natomiast tak cicho, jakby już umarła; widziałam tylko tył jej głowy, rozświetlony strużką światła z korytarza, nieruchomy jak boja na morzu. Zastanawiałam się, jaki koniec czeka mnie – jęki i rozpaczliwe skamlenie czy samotność głuchoj ciszy; los dawał w tym zakresie, nie da się ukryć, dosyć marny wybór.

Leżałam na szpitalnym łóżku, głośno oddychając, nie wiedząc, co mnie jeszcze spotka. Zapadała coraz głębsza noc, a ja nie mogłam zapaść w sen, leżałam na tym łóżku z szeroko otwartymi oczami, w napięciu czekając na rozwój wydarzeń – jak nieprzygotowany do swojej sztuczki cyrkowiec. Dotknęłam dłonią twarzy – byłam obandażowana jak mumia, nie dałoby się mnie odnaleźć pod warstwami plastrów i gazy. Najpierw mnie to zaniepokoiło, potem pomyślałam, że właściwie może to wyjść na dobre postronnym obserwatorom.

Kiedy do sali wszedł lekarz, trochę już przysypiałam, okiełznana bestia.

– Tu jest wypis – powiedział i mi go wręczył.

Omiotłam go zmęczonym spojrzeniem – tak jak wszyscy medycy z tej placówki kojarzył mi się nieodmiennie ze światem fauny, niczym nie odbiegał od swoich towarzyszy. Wyglądał jak kruk – miał pociągłą twarz ze spiczastym nosem przypominającym dziób i czarną, lśniąca, opadającą na czoło grzywkę. I w nim było coś złowieszczego, taką miałam intuicję, na której potwierdzenie nie musiałam zbyt długo czekać.

– Bo zła wiadomość jest taka, że nie mamy wolnych łóżek – powiedział. Nastąpiła krótka przerwa i już wiedziałam, co usłyszę. W moim życiu nie było zbyt wielu rzeczy nieuchronnych, prócz tej, że złe wiadomości chodziły w nim parami, nieodłączne, jedna przy drugiej, złe wiadomości syjamskie. –

A więc kolejna zła wiadomość: będzie musiała pani codziennie tu przychodzić na poszerzanie rany.

Czy warto rozwijać temat? Zestawienie słów „rana” i „poszerzenie” mogło oznaczać tylko jedno: kolejne tortury. Gdybym chciała napisać podręcznik *Życie jednostki ludzkiej oparte na upokorzeniu, bólu i mękach piekielnych*, miałam gotowy materiał.

– A tu recepta, na inny antybiotyk – dodał i wręczył mi kolejny świstek. Jego dłoń, kruczy szpon, nawet nie drgnęła. Miałam wrażenie, że ma nieco za długie paznokcie, były to paznokcie z piekła rodem, które musiały skrobać cyrografy, jakie tam podpisywał.

– A jeśli... – wymamrotałam z trudem, bo obolałe gardło sprawiało, że mówienie było teraz czynnością z gatunku sportów wyczynowych; moja mowa wreszcie do mnie pasowała: sepleniałam równo, niczym osoba upośledzona nie tylko fizycznie, lecz również umysłowo, wreszcie wszystko dokładnie się zgadzało. – Jeśli i na ten będę uczulona?

– To miała pani pecha – powiedział.

Święte słowa. Zażyczę sobie takie epitafium.

Kiedy wyszedł, z trudem i ociężale podniosłam się z łóżka. Niby doprowadzono mnie do stanu używalności, ale cały świat jeszcze się trząsał, jakby był galaretą, którą ktoś trącił palcem, a ja – fragmentem świńskiej nóżki unieruchomionej w obłych, szczelnie zaciskających się na mnie ścianach, co w sumie nie było tak dalekie od prawdy. Założyłam kurtkę i na drżących nogach wyszłam z sali. Szłam szpitalnym korytarzem do wyjścia krokiem nieco chybotliwym – chód ów w połączeniu z moim obecnym wyglądem sprawiał, że byłabym doskonałym uczestnikiem zombie walk, a i data sprzyjała. Noc była ciemna i chłodna – gdy tylko wyszłam, poczułam ją

na twarzy, położyła się na niej jak zimna dłoń.

Było coś dojmującego w tej mojej podróży do domu taksówką przez nocne miasto; choć wymknęłam się śmierci, czułam ją w sobie, nosiłam jej ślady: moja twarz była poszarpana jak pysk dzikiego zwierzęcia, a ciało drżało, jakby wciąż nie mogło się zdecydować, czy bardziej będzie mu do twarzy ze mną czy z przystojną drewnianą trumną. Siedziałam w aucie jak pocisk, który nie wybuchł, a noc, ta sama, która niedawno przemykała obok mnie w jedną stronę, teraz, starsza o kilka godzin, biegła w drugą, znów mijałam śpiące szyldy sklepów, upiorne neony, rachityczne drzewa wykrzywione niczym artretyczne kości, budynki szare jak popiół; całe to miasto było jak z popiołu – kompletnie wymarłe, nie licząc pojedynczych ludzkich sylwetek, pojawiających się czasem w oddali na ulicach, sylwetek czarnych, mętnych, bez cech charakterystycznych, jak figury w teatrze cieni. Jeśli coś w tym mieście jeszcze żyło, byłam to ja. Tak, byłam żywsza od tego miasta i byłam żywa w ogóle, co wreszcie zaczęło się zgadzać. Wszystko dlatego, że to nie ja miałam teraz zginąć. Zginąć miał kto inny, mianowicie Alicja.

XIII

Poznałam ją dziesięć lat temu w Warszawie.

Semaforey, chodniki, neony Beate Uhse. Kebab na Świętokrzyskiej, ulice, które swój początek mają na Mokotowie, koniec na Woli, place wielkie jak mój wstyd, że nie mogę nigdzie trafić, Dworzec Centralny jak labirynt, szara mgła, całe miasto w odcieniach szarości.

Dziesięć lat temu przyjechałam do tego miasta z jedną walizką. Nie wiem, po co to zrobiłam. Może po to, żeby wreszcie wyrwać się spod rządów królowej matki? – Wynajmować?! Ja ci dam wynajmować – tu mieszkanie masz, za darmo jest! – mówiła, mając na myśli to nasze pudełko po zapałkach sprytnie udające mieszkanie. Z dumą omiatała przy tym wzrokiem wszystkie kąty. Robiłam to wraz z nią. Nie no, super, że do dziś nie zerwaliście boazerii, boazeria powróci w wielkim stylu! – chciałam ją zapewnić. Drzwi też są świetne, mają już ze trzydzieści lat, niedługo pójdą na jakiejś aukcji jako antyk, biedermeier ery komunizmu. Linoleum? Linoleum jest naprawdę mega, kto by kładł na podłogach jakiś dąb, tylko oni – nowobogaccy! W dupach się poprzewracało! Fikusy są zajebiste – czy czasem jakieś cięte gerbery, na imieniny od cioci – zupełnie nie rozumiem tych śmiesznych ludzi, którzy lecą do Ikei po te egzotyczne badyle! Wielkie mi bambusy. To nie jest z naszego kręgu kulturowego. Chuja tam te prysznice, jeśli za czasów Gomułki wstawiono tu wannę, to musiał w tym być jakiś cel! I niejednego świniaka żeśmy z niej jedli! Tu już oczywiście przesadzałam. Początki tej wanny obliczałam na czasy bliższe transformacji ustrojowej.

Gdyby nie Warszawa, dalej bym tam mieszkała. To znaczy w tym mieszkaniu, nie w wannie, choć trudno rozróżnić – podobnych były rozmiarów.

To mógł być jakiś powód. A może przyjechałam tu za chlebem? Było to tuż przed kryzysem, Bizancjum chyliło się ku upadkowi, ale nie byłam tego świadoma, wierzyłam w mantrę „więcej i bardziej”. Więcej tekstów o kolostomii i ileostomii, więcej tłumaczeń ulotek o robotach przemysłowych, ich zaletach i zaletach, więcej dogłębnych analiz poświęconych różnicom między miodem gryczanym a nawłociowym. Czekałam tego jak kania dżdżu.

A może tak naprawdę przyjechałam tu tylko po to, żeby poznać Alicję?

Nie wiem, jak trafiłam na tę dyskusję. Nie pamiętam też jej tematu, ale mogło to być coś w stylu „Katechizm – tak czy nie?”. Albo może „Prawo, lewo i wszystkie inne kierunki”. Albo może było to coś, co lubiłam najbardziej, czyli debata pod hasłem: „Ludzie w moim wieku, którzy z komunizmu pamiętają głównie syfon, dyskutują o zasadności wprowadzenia stanu wojennego”.

Jedno z trzech.

Pojechałam na uniwersytet, bo tam właśnie zorganizowano tę otwartą debatę – brać w niej udział mieli między innymi studenci filozofii. Nie spodziewałam się niczego szczególnego; w debatach lubiłam głównie to, że były za darmo. Przycupnęłam na jakimś krześle skrytym za innymi i czekałam. Wreszcie weszli – nie pamiętam, ilu ich było, nie pamiętam nawet płci. Odkąd ją zobaczyłam, niczego już nie pamiętam. Weszła wraz z pozostałymi, którzy mieli brać udział w rozmowie – sama była jedną z zaproszonych. Usiadła na krześle stojącym dokładnie w środku szeregu – jak królowa.

Była mniej więcej w moim wieku, poza tym wszystko nas dzieliło.

Na wszystko to, na co ja miałam wilczy bilet, ona miała klubową kartę

wstępu. Jej nogi nie były nogami, ale kolumnami podtrzymującymi stropy dawnych świątyń, dobrze udającymi ludzkie nogi – tak idealnie były wyrzeźbione, starannie docięte. Istne dzieła sztuki, na których się chodzi, a rozkłada tylko od święta, tylko przed tymi, którzy zasłużą, przejdą specjalne testy. Jej włosy wyglądały, jakby to nie były włosy, ale jakieś nici anielskie, wprawdzie ciemne, lecz równie miękkie i błyszczące. Idealnie układały się na twarzy, spływały na nią lekką falą. Jej usta miały status ostrzygi – były jakby ekskluzywnym dobrem, bardzo nie dla każdego; pełne, kształtne i – jak się wydawało – wyćwiczone w publicznych wypowiedziach, używane nie tylko do mówienia, ale i do wygłaszania. Wreszcie jej oczy, którymi teraz patrzyła na zgromadzonych w sali – patrzyła pewnie i chłodno, jak drapieżnik na ofiarę. Jej oczy to były rzeczywiście oczy na świat, były jak wizjer na lepszy świat, ten sam, którego ja miałam nigdy nie oglądać, choć owszem, wystawałam pod tymi niewidzialnymi drzwiami, przywierałam do nich nosem, żeby go tylko spłaszczyć, żeby go zgnieść, żeby nie sięgnąć klamki i tych drzwi nigdy nie otworzyć.

Jej ubrania – one również były wyższej klasy, lepszego sortu, jej żakiet wyglądał tak, jakby wełna, z którego był zrobiony, wcześniej żwawo, na ochotnika, zeskoczyła z grzbietów lam, żeby tylko się stać jej żakietem, jej koszula wyglądała, jakby dzień i noc harowały na nią zastępy jedwabników, zasuwały w swoich kokonach na wyścigi, żeby stać się materiałem na jej koszulę, jej buty, uprzednio będące skórą leoparda, zrzekły się tegoż leoparda, by móc zostać luksusowym obuwiem właśnie, obuwiem okrywającym jej stopy.

Kiedy na nią patrzyłam, pomyślałam, że freski w kaplicy Sykstyńskiej mogłyby nie istnieć – gdyby pod sufitem zawiesić Alicję, liczba turystów mogłaby nawet wzrosnąć.

Kiedy zaczęła się dyskusja, próbowałam słuchać, ale interesowała mnie tylko ona, innych mogłoby nie być. Zresztą kiedy tylko dochodziła do głosu, tak właśnie się działo – całkowicie dominowała przestrzeń. Jej głos był

celny, dźwięczny, odpowiednio wymodulowany. Nigdy nie dało się w nim usłyszeć odrobiny wahania. Całkowicie uwodziła tłum, jakby ukryła gdzieś sterowniki odpowiadające za naszą uwagę – kiedy tylko coś mówiła, zakładała nogę na nogę czy tylko chrząknęła, od razu wszyscy patrzyliśmy na nią z podziwem i oddaniem.

– Natura sama wszystko dobrze urządziła. Nie rozumiem, po co poprawiać naturę – powiedziała.

– Te metody to są ubeckie metody – powiedziała.

– Musimy zadbać o odbudowę i uzdrowienie infrastruktury duchowej, którą dla cywilizacji Zachodu było i dalej jest chrześcijaństwo – powiedziała.

Już po chwili wszystko wiedziałam. Wiedziałam, jakie guziki będzie wciskać na jakie hasło.

MO – czerwony. AK – zielony. Islam – czerwony. Bóg – zielony. Multikulti – czerwony. Naród – zielony.

I tak się właśnie działo. Miałam sto procent trafień. Patrzyłam na nią i przewidywałam w myślach, co powie, a ona to mówiła, recytowała to wszystko i nazywała myśleniem. A mimo to, mimo że była to tylko żalosna recytacja, nie dało się od niej oderwać wzroku, nie dało się jej nie słuchać, ba – obawiam się, że nie dało się jej nie wierzyć. Jej słowa trafiały prosto do celu, jakby publiczność była tarczą, w którą bezbłędnie potrafi wymierzyć swoje rzutki. Nawet ja wpatrywałam się w nią jak urzeczona i, słowo daję, jeszcze chwila, a sama wciskałabym wskazane przez nią guziki.

Po skończonej dyskusji poszłam do toalety. Stałam przed lustrem, już właściwie miałam wychodzić, kiedy ona tam weszła. Coś ścisnęło mi żołądek. Chciałam szybko przemknąć obok niej, udając, że wcale nie istnieję, ale ona wymyśliła dla nas inny scenariusz, a nie była z tych, którym można się przeciwstawić.

– Nienawidzę komunistów – powiedziała, patrząc prosto na mnie. Jakby

to właśnie była ta informacja, na którą całe życie czekałam, jakby to była informacja przeznaczona tylko dla mnie. – Nie wiem, jak można potem komuś takiemu zaufać. Komuś, kto niszczył, kto donosił.

Patrzyła na mnie tak, jakbym sama była co najmniej ubecką wdową. Zresztą właściwie... Coś było na rzeczy. Trochę spanikowana pod naporem jej spojrzenia wymierzającego sprawiedliwość dziejową przypomniałam sobie o moim wujku. Wyobraziłam sobie, jak stoi w zimnym kościele ze swoim starym sprzętem nagrywającym, próbuje chytrze wprawić szpule w ruch, gdy tylko pada coś ciekawszego niż same zdrowaśki, by w ten okrutny sposób niszczyć opozycję. Wyobrażałam sobie, jak się nudzi i męczy, nerwowo skubie wąsy, a okulary zachodzą mu parą. Przesłępuje z nogi na nogę i marzy o tym, żeby już stąd wyjść, wrócić do domu, zjeść kotleta, zapić setką i może przez chwilę pooglądać telewizor – jeśli ten akurat uda się uruchomić celnym ciosem pięści i jeśli tylko na jego ekranie pojawi się coś prócz czarno-białych plam w feerii iskier.

– Nie mam zdania na ten temat – wymamrotałam. Czułam się jak w potrzasku: za mną było lustro, przede mną ona, byłam uwięziona między swoim szpetnym odbiciem a jej pięknem. Między swoją niemocą a jej wszechwładztwem. Wydawało mi się, że jeśli potrwa to dłużej, to napięcie, które we mnie rosło, po prostu mnie rozsadzi, moje krwawe szczątki rozbryzgają się na jej twarzy, ubrudzą jej piękną koszulę.

Powoli się przesunęła, żebym mogła wyjść z łazienki. Zrobiła to, patrząc na mnie bacznie i czujnie, z – jak mi się wydawało – pogardą. Przeszłam kilka metrów i ukryłam się za jakąś ścianą. Wpatrywałam się w drzwi toalety i czekałam, aż z niej wyjdzie. Wreszcie to nastąpiło. Wyszła, chłodno i z rezerwą uśmiechnęła się do innych uczestników dyskusji i stanęła z nimi na korytarzu, coś do nich mówiąc. Słońce, które wpadało do środka przez jedno z wielkich okien, kładło się dokładnie na niej. Można było zresztą odnieść wrażenie, że to słońce jej nie opuszcza. Byłam pewna, że nigdy nie stoi tam, gdzie pada cień. Stała tam i przypominała skamieniały pomnik,

którego nie naruszy żaden wiatr, żadna nawałnica, nagła zmiana pogody. Była tak dobra w byciu sobą. Wyraźnie widziałam, że ma w sobie ten gadzi rys, zwierzęcą sprawność pozwalającą być tam, gdzie być trzeba, i unikać zagrożeń, bezbłędnie kierować się instynktem i zamiast, jak ja, wiecznie tracić z oczu cel, właśnie do niego trafiać.

Patrzyłam na nią i patrzyłam, a coś we mnie się zabetonowywało, jakbym wreszcie i ja w coś uwierzyła, jakbym wreszcie i ja nabrała jakichś twardych przekonań. Stała tam, gdzie ja – co zrozumiałam w chwili tajemniczego i bolesnego przeczucia – nigdy nie będę mogła dotrzeć, i stała tam pewnie, niewzruszenie, jak gdyby zawsze tam stała, wmurowana w to miejsce. Kolos na ludzkich nogach.

XIV

Przypomniałam sobie to spotkanie z Alicją właśnie teraz, drugiego listopada, dzień po mojej zdrowotnej katastrofie. Leżałam we własnym łóżku z twarzą opieczętowaną jak zamorska przesyłka, a mimo to byłam nienaturalnie podniecona. Choć moja prawa brew, rozcięta w wyniku upadku, teraz była zaklejona grubym plastrem, a w ustach miałam ranę, więc mówiłam jak osoba usiłująca przełknąć ogromny kawałek ziemniaka, to nie czułam się źle – być może odpowiadała za to wtłoczona we mnie wczoraj adrenalina.

Sądzę jednak, że chodziło o coś innego.

Mówią, że wojownik, który przeżył własną śmierć, to najlepszy wojownik – wydaje mi się, że wyniosłam tę prawdę z któregoś odcinka *Gry o tron*. Rzeczywiście, leżąc w swoim łóżku – obolała, poobijana, tu i ówdzie nacięta, lecz nie zgładzona – czułam się perfekcyjnie przygotowana do wykonania swojego zadania.

Listopad krążył nad moją głową, było w nim coś złowieszczego, krążył nad moją głową jak dron zwiastujący niebezpieczeństwo, a ja w myślach wysyłałam go nad głowę Alicji i zawieszałam go tam, jak czerwoną, krwawą latarnię, oświetlającą jej czaszkę.

Czaszkę, która już za tydzień miała być przeze mnie rozbita.

Część II

I

Zanim jednak postanowiłam zabić Alicję, zanim nastał listopad, zachorowałam na anginę i obudziłam się nagle z obcym mi gardłem, które nie chciało się rozwierać, zanim dynie zostały zebrane, przywiezione do sklepów, wydrążone i ze świeczką w środku ustawione wokół domów w dzielnicach willowych, zanim polskie dzieci w nich mieszkające naprawdę zaczęły to robić – pukać do kolejnych drzwi i prosić o słodycze, a później śmiać się i przebiegać tymi zacisznymi uliczkami, wzdłuż których rosły kasztanowce, przebiegać i czasem wywracać się na mokrym bruku, na śliskich liściach koloru owych dyń, zanim to wszystko zaczęło się zupełnie nie zdarzać na polskich blokowiskach, dokąd nie docierały żadne wydrążone dynie, traktowane tam z głęboką podejrzliwością, zanim ciepło przeniosło się z podwórek do pieców i piekarników, w których coraz częściej umieszczano obłądnie pachnące ciasta, zanim ciemność stanęła ze światłem w konkury o panowanie nad dobą i to biblijne starcie wygrała – czyli dokładnie siedem miesięcy wcześniej – był kwiecień.

Wiadomo, jak to z kwietniem, kwiecień ma złą prasę. I dla mnie był najokrutniejszym z miesięcy, bo to wtedy, po dziesięciu latach od naszego pierwszego i ostatniego spotkania, znów na nią trafiłam i pozwoliłam jej się zniszczyć.

Pierwszego kwietnia siadłam do kompa, nie wiedząc jeszcze, że decyduję o całej reszcie życia. Było to zaskakujące – i to nie dlatego, że moja przyszłość objawiła mi się w *prima aprilis* – to akurat u mnie norma. Zakrawające na kpinę okoliczności zewnętrzne i słynną ironię losu znałam

absolutnie na wylot. Dziwiło mnie co innego – samo to, że coś w moim życiu ma się jeszcze wydarzyć.

O ile bowiem przez długie lata dorosłości próbowałam coś dla siebie znaleźć, wypełnić czymś swoje istnienie, o tyle jakieś kilka lat temu zupełnie tego poniechałam. Wykonywałam tylko swoją pracę, czekałam na pieniądze, czasem spotykałam się z Olafem – o którym później, robiłam zakupy, coś jadłam, masturbowałam się i wpatrywałam w komputer. Życie wydawało mi się zbyt długie.

Rzeczywistość internetu była jedyną, do której naprawdę miałam dostęp. Właściwie w zupełności mi to wystarczało – odnosiłam wrażenie, że dzięki internetowi jestem w centrum wydarzeń, zupełnie nic mnie nie omija. Dzięki Facebookowi wiedziałam wszystko o wszystkich. Teraz moje wrażenie się pogłębiło. To dlatego, że znowu to zrobiłam. Nalałam sobie kawy i weszłam na Facebooka. Zaczęłam robić rekonesans; byłam wszak człowiekiem rekonesansu. Choć nawet nie było jeszcze lata, wszyscy znów wyjechali na egzotyczne wakacje. Poczulałam się przytłoczona wielością sfotografowanych stóp. Najpopularniejszy był chyba Daleki Wschód, lecz po piętach deptał mu już Izrael, całkiem wysokie notowania miała o dziwo Skandynawia; dzięki Facebookowi dobrze już znałam islandzkie pustkowia, a w czapkach z bobra wszyscy wyglądali tak seksownie, że miałam ochotę ich zerznąć tym dyndającym koło głowy futrzanym ogonem. Nazw dań nie jestem w stanie przytoczyć, głównie dlatego, że ich nie znam, w niczym nie przypominały one bliskich mi bardzo mrozonek z Biedronki. Koncerty, z których migawki widziałam na zdjęciach poczynionych smartfonami, odbywały się w krajach zachodniej Europy, a występujące na nich gwiazdy były tymi samymi, których czasem słuchałam na YouTubie, popijając tanim winem w homeopatycznych dawkach.

Po wybrzeżach odległych mórz biegali moi znajomi-nieznajorni, szczerze wciśnięci w swe pianki do nurkowania, ich sylwetki lśniły w promieniach zachodzącego słońca, śliskie i gładkie jak węgorze. Żłoty

piasek, po którym brodzili, miękko układał się pod ich stopami, nawet on chętnie z nimi współpracował, jakby cały świat potrafili zaprzęgnąć do współpracy; ich włosy lekko falowały, tak samo jak okoliczna roślinność, jak parasole, pod którymi później siadali, cali w morskiej soli, ciepłi i słoni, i pili drinki o egzotycznych nazwach, a wiatr, który ich muskał, był wiatrem zesłanym specjalnie na ich potrzeby, był jakby ich własnym wiatrem, celowo wypuszczonym w świat i przywołanym z powrotem, w odpowiednim, oczywiście, natężeniu, skutkującym właściwą pieśzczotą. Używali tego wiatru do swoich włosów, do swoich uszu i ust, używali go do tego, co znali najlepiej – ekscytacji.

Patrząc na nich, zagryzałam wargi, zaciskałam dłonie w pięści, patrząc na nich, ratowałam się jedynie myślą o tym, że wieczorem w którejś z knajp zjedli nieświeże ostrygi, zjedli ich całe wiadro, wyciągali po nie łapczywe wypielęgowane ręce, a małe morskie stwory, tyleż pyszne, co trujące, przenikały do ich rozgadanych ust, gdy tłuste słońce znikало za horyzontem jak z wolna odpływający statek. Całość wyglądała tak, jak ją zamówili, spektakularnie i niewinnie, aż do czasu, gdy wrócili do swoich hoteli, których wiekowe mury obryzgiwało nocne morze, rześkie i krystaliczne, choć akurat cokolwiek niespokojne, jakby już przeczuwało dramat, który niebawem miał nastąpić.

Wielogodzinny zabór toalety. Nieustająca, nieskończona konkwista umywalki. Taśmowy, mozolny, palący wnętrzości skręt kiszek. Jęki, krzyki, błagania niczym za okupacji. Och, wyobrażałam ich sobie zgiętych wpół niczym na najokrutniejszych torturach, wyobrażałam ich sobie wyrzygujących spektakularne kompozycje własne z ledwie co nadtrawionych ostryg, wyobrażałam ich sobie srających bez umiaru w ciasne pianki do nurkowania, których nie mieli czasu ściągnąć, ufni w swoje niezmacone niczym przeznaczenie, tak pełni wiary w jakość dań serwowanych im przez uśmiechniętych kitajców czy innych autochtonów, których twarze nic a nic nie zdradzały późniejszych wydarzeń. A na deser,

na deser jeszcze myślałam o tym, jak z rana, chcąc zmoczyć swe znękaną członki w przyjaznym morzu, trafili akurat na zły jego skrawek i całe ich ciała, uciemiężone wczorajszym upokorzeniem, zostały teraz okrutnie poparzone przez meduzy.

Tak, Facebook też był moją hańbą, Facebook robił ze mnie potwora, którym wszak byłam i bez jego udziału. Był moim całym światem, tak samo zresztą oszukany i kpiącym ze mnie jak świat zewnętrzny. Wpatrywałam się w niego jak sroka w kość już od rana, to jest od godziny czternastej, kiedy to zwykle wstawałam, gdyż nawet mój rytm dnia obrażał ludzkość, był z nią niezgodny. Brak poprawności społecznej kultywowałam bezwstydnie na każdym polu.

Nie wstawałam wcześniej, ponieważ nigdy nie mogłam wstać, bałam się wstawania, bo wiedziałam, że gdy wstanę, będę musiała mierzyć się z całym dniem, długim i rozciągniętym jak guma do żucia, dniem, w którym znów nic się nie wydarzy, czyli typowym moim dniem; wszystko, co mogło się w nim wydarzyć, to znów jakieś niewielkie choćby upokorzenie, jakieś zapasy z bezradnością, jakieś roszady z trudem. Już dawno odkryłam, że jest na to pewien sposób: przesypiać większą część dnia, przesypiać ją, jakby zupełnie jej nie było; myślałam, że idąc tą drogą, zajdę prędko do grobu. A to chyba najlepsze wyjście, jeśli nie mam odwagi na ostateczne rozwiązanie.

Pewnego dnia jednak odkryłam, że wstając tak późno, dużo tracę, gdyż kiedy się budzę, w toku już dawno są wszelkie akcje, wszelkie manifestacje, demonstracje poparcia bądź też niechęci dla wszystkich spraw, o których nie miałam pojęcia. Oczywiście mogłam owo poparcie, owo przemożne zaangażowanie lub też okrutne oburzenie symulować. Podobnie jak – tak sądzę – większość tych wirtualnych demonstrantów. Również i ja mogłam ustawiać się pod tymi wszystkimi szyldami, kolumnami, plakatami. Również i ja mogłabym wystawić swój lepszy profil do obiektywu iPhone'a. Oczywiście, gdybym je miała – iPhone'a i lepszy profil. Również i ja

mogłabym to zrobić, gdyby nie to, że kompletnie nie mogłam tego zrobić, a to z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że – jak powiedziałam – mój rytm dobowy przeczył naturalnemu i gdy wstawałam, wszystko było już w toku, wszystko było już rozkręcone jak rollercoaster w godzinach szczytu, a zatem zanim umyłabym włosy, zrobiłabym nieurągającą ludzkości fryzurę, pomalowałabym twarz w barwy ochronne, zanimbym się ubrała w cokolwiek innego niż mój codzienny dres albo piżama, w której snułam się do późnego popołudnia niczym kuracjusz jakiegoś podrzędnego, niedoinwestowanego sanatorium, na wszystko byłoby już zdecydowanie za późno. Wbiłabym na tego fejsa jak pocisk na plac bojowy po zakończeniu działań wojennych. Co by to dało, gdybym wbiła tam koło północy, z twarzą markującą posiadanie ludzkich rysów, krzyząc: „Zostawcie jeże, wstrętni deweloperzy!”, podczas gdy wszyscy ci, którzy byli nie tylko deweloperami oraz ich przeciwnikami, lecz prawdopodobnie i samymi jeżami, dawno już poszli spać?

Po drugie, jednak moja twarz. Moja twarz nieodmiennie wyglądająca jak skrzyżowanie twarzy ludzkiej z dynią, z malutką domieszką DNA lemura. Gdyby ktoś taki jak ja chciał zostać twarzą jakiejś akcji, byłoby to przeciwskuteczne. Twarzą sedesu, twarzą wysoce śmiercionośnych wyrobów narkotykowych, twarzą kompanii oferującej handel obwoźny niehumanitarną twarzą – owszem.

I poza wszystkim, argument ostateczny – brak poglądów. Nie miałam zdania, nie miałam zdania na żaden temat, wszystko na wstępie już wydawało mi się zbyt skomplikowane, by mieć o tym zdanie. Oto kolejna rzecz, którą wydawali się mieć wszyscy – prócz mnie. Często się nad tym zastanawiałam: skąd inni mieli tyle pewności siebie, by z takim przekonaniem cokolwiek głosić, aby zabierać głos w tych wszystkich złożonych publicznych sprawach? Ja wstydziłam się mówić głośniej nawet w sklepie, kiedykolwiek prosiłam o pięć plasterków sera, robiłam to tak, że nawet sama siebie nie słyszałam.

Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, by je, poglądy, spreparować – pomyślałam dziarsko owego poranka. Wszak wszystkie poglądy były poniekąd spreparowane, dlaczego by więc nie spróbować?

Jakie jednak powinnam mieć poglądy? Nie umiałam się w niczym odnaleźć, albowiem nic nie było skierowane do mnie. Byłam, jak inni, obywatelem tego państwa, a nie było dla mnie żadnej oferty. Jaka oferta by mnie urządziła? Automatyczne zakładanie rodzin dla osób do tego niezdolnych. Program ponownych narodzin w innym ciele, z lepszym uposażeniem genetycznym, z naciskiem na selekcję genów w zakresie przetrwania w obowiązującym systemie.

Wolność – nawet ona była w moim przypadku kompletną perwersją. Z automatu jej nie miałam, wszystko było mi wyłącznie zakazane, na wstępie już odebrane. Jedyna dana mi wolność odnosiła się do obserwacji innych uczestniczących we wszystkim tym, w czym ja nie mogłam uczestniczyć.

A jednak spróbowałam. Spróbowałam tej sztuczki z błyskawicznym preparowaniem poglądów i Facebookiem. Ludzie – tak, oni są zdolni do wszystkiego. Pewnego dnia zebrałam się więc w sobie, akurat miałam dużo pracy, więc nastawiłam budzik na dwunastą i tuż po przebudzeniu się chyżo dopadłam komputera. Wszelkie fejsbunty mnożyły się ledwie od kilku godzin. Miałam w pamięci wszystkie bieżące powody rebelii – skrzętnie katalogowałam je dzień po dniu w osobnym pliku Worda. Prędko wypracowałam też swój światopogląd, stanowiący średnią światopoglądu najczęściej wyświetlanego na Facebooku wśród tych, którzy mienili się moimi znajomymi; niewielu ich było.

Gotowa do akcji jęłam zaznaczać swoją obecność w świecie hurtowo, twarz jednak pomijając, nie stać mnie było na aż taki radykalizm. Usiadłam do klawiatury i odezwałam się w te słowa:

Trochę ostatnio nie nadałam, więc postanowiłam hurtowo nadrobić swoje

zaległości w zakresie buntu przeciw różnym zdarzeniom i oto co następuje:

- Precz z zaostrzeniem prawa aborcyjnego!
- Niech ktoś, kurwa, zaadoptuje tego smutnego psa!
- Ręce precz od Zakrzówka!
- Politycy, nie łamcie prawa!
- Księżulku, ty brunatna zakało!
- Publikuj to orzeczenie!
- Zostawcie: drzewa, motyle, żaby etc., wstrętnei deweloperzy!
- Prince! To straszne! Ratujmy wilki!

PS Gdyby ktoś potrzebował indywidualnych lajków bądź dowodów uznania albo wyrazów oburzenia, piszcie na priv, ale z linkiem, co i gdzie mam klikać, bo, kurwa, nie ogarniam.

Chciałam wykazać się luzem, zaangażowaniem oraz poczuciem humoru, gdyż wydawało mi się, że w świecie ludzi te właśnie cechy spotykają się z dużym uznaniem. W oczekiwaniu na obwieszczane czerwonym kolorem dowody poparcia wpatrywałam się w komputer jak Hillary Clinton w transmisję z ostatnich chwil bin Ladena. Miałam jednak mniej szczęścia niż ona – nie doczekałam się żadnej satysfakcji. Z moich rozlicznych kilkudziesięciu znajomych, niemal wszystkich, zaznaczmy, anonimowych, żaden nie zareagował entuzjazmem na moją nagłą erupcję światopoglądową.

Bardzo długo siedziałam przed komputerem, ale nic się nie zmieniło.

Przełknęłam łzy i bez większych już nadziei, skapitulowana, surfowałam nadal po internecie, krążyłam po nim jak karp po wannie, z góry skazana na porażkę, ale właśnie wtedy, wtedy, gdy doświadczona niczym Hiob chyliłam zmęczoną twarz ku stołowi, chcąc złożyć ją w dłoniach mej matki katastrofy, nadeszło jakieś rozwiązanie.

„Alicja Wyczółkowska” – wpisałam w Google. Robiłam to regularnie, śledziłam jej życie od lat; nadejście Facebooka doskonale się zgrało

z początkiem naszej znajomości, ale używałam nie tylko Facebooka, używałam wszystkich możliwych portali, serwisów i wyszukiwarek. Zawsze coś znajdowałam, właściwie kilka razy miałam szansę ponownie ją spotkać, brała udział w jakichś dyskusjach. Nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Może ze mną było tak jak z tymi ludźmi, którzy mają problemy, ale przez lata nie zapisują się na terapię? Mówią, że do każdej ważnej konfrontacji trzeba dojrzeć. I nagle los zsyłał mi szansę, której zupełnie się nie spodziewałam. *Filozofia życia i jego sensu* – tak nazywał się kurs na Uniwersytecie Otwartym UW, który, jak się okazało, miała prowadzić. Wczytywałam się w tę nazwę jak w słowa jakiegoś nieznanego zaklęcia, które miało mnie ocalić. Dziesięć lat myślenia, dziesięć lat wyobrażania sobie jej życia – antytezy mojego – i teraz ta szansa na nasze ponowne spotkanie jak zwieńczenie upiornej dekady. Do tego jeszcze ten kurs! *Filozofia życia i jego sensu*. Po pierwsze, brzmi jak doskonała oferta dla nas, nieudaczników. Uderza już samą nazwą. Sugestia, jakoby życie niosło jakiś sens, była dla mnie ożywcza, i to tak bardzo, że niezależnie już od Alicji od razu postanowiłam ją zgłębić. Owe niewiarygodne nauki dostępne były dla każdego, o ile wniesie stosowną opłatę opiewającą na sumę niemal 300 złotych. Dla mnie kolosalną, ale, co stwierdziłam po kilkuminutowym wahaniu, adekwatną do oferowanej wiedzy, która była, nie oszukujmy się, bezcenna.

Zapisałam się więc na ten kurs, zrobiłam przelew i zostałam jego uczestniczką.

Kiedy tylko dostałam potwierdzenie, poczułam, jakby otworzyły się przede mną sekretne drzwi. Zrobiłam to, sprzeciwiłam się losowi napisanemu dla mnie przez innych! Inni chcieliby może trzymać mnie w niewiedzy co do sensu życia, chcieliby właściwie nieustannie utwierdzać mnie w jego bezsensie, a jednak on – sens – istniał! Był zadekretowany, urzędowo przypieczętowany, objęty kursem i zatwierdzony. I stała się światłość!

Nic z tych rzeczy, oczywiście. Ale nie uprzedzajmy faktów.

II

Wiedziałam o niej wszystko. Na googlowaniu jej zdałam klawisze mojego starego laptopa. Bardzo pomogło mi to, że na Facebooku pani doktor filozofii miała publiczny profil. To, wraz z moimi szeroko zakrojonymi badaniami biograficznymi na jej temat, sprawiało, że od dawna mogłam odtworzyć jej drzewo genealogiczne do czasów Mieszka I.

Skupmy się jednak na najbliższym pokoleniu. Jej ojciec był w internecie, zasłużony, z hasłem w Wikipedii. Rycerz Solidarności, jeden z ojców założycieli naszego imponującego państwa – obecnie krzywej wieży, wieży Babel opanowanej przez dwa dialekty. Obrzydliwy stary lubieżnik, wnosiłam to już z twarzy, która nosiła cechy demona, ale takiego powiatowego, demona z Lubartowa, z Krosna. Demona wyciętego z tektury, pomalowanego na czarno i zawieszzonego na choince, by straszył dzieci.

Wyobrażałam sobie tego jurnego skurwysyna przy pracy narodowowyzwoleńczej, wyobrażałam sobie, jak siedzi w zadymionej salce, wśród sobie podobnych – mężczyzn i bardzo nielicznych kobiet, w sumie z urody zbliżonych do mnie, więc jakby nadal mężczyzn, słyszałam wręcz, jak debatują, koguty na najwyższej grzędzie, widziałam, jak później, znacząc teren w lokalnych ośrodkach władzy, anektuje też kolejne ciała co przystojniejszych działaczek. Podejrzewam – wnosiłam to z samego patrzenia w oblicze tego Azazela z Trzebini, tego Attyli z Boleszewa – że jego niewierność wobec kobiet była równie legendarna jak żelazny opór wobec władzy. Namiętność odczuwana do ojczyzny łatwo przenosiła się na wszystkie jej córki. Patrzyłam na jego zdjęcie i zastanawiałam się, z czego

jest bardziej dumny – z tego, że wygrał wolność, czy z tego, że wygrał z syfilisem. Wiadomo – wszystkie ciała należą do bojowników. Ale tylko wybrane ciała. Takie jak moje nie. Takie jak moje zostałyby odesłane do kuchni, by obrać ziemniaki dla całego plutonu, dla całego wąsatego zastępu tych hoźych watażków. Ta ich miłość do Polski... Nie miałam wątpliwości, że ta miłość do Polski była tak naprawdę miłością do samych siebie. Polska oznaczała tylko możliwość działania na swoją rzecz; gdyby nie było Polski, toby ją wymyślili, żeby móc stworzyć siebie. Liderzy – już samo to słowo budziło we mnie agresję. Nienawidziłam liderów. Nawet ci prawie niepiśmienni zawsze byli tak bardzo zadowoleni z siebie, tak pewni swego. Już w samym dążeniu do bycia liderem było coś niepokojącego – być może podobnie jak z moją nienawiścią, pozornie tylko skierowaną na konkretny cel, w istocie od niego niezależną, polegającą na samej sobie i tylko szukającą dla siebie naczynia. Liderzy – ich twarze, dłonie, gesty; ich fałszywe obietnice, ich wiwaty. Ich wszystko i nasze nic. Niby to na nas polegali, choć marnym byliśmy dla nich oparciem, niby bez nas nie istnieli, ale przecież wszystko, czego chcieli, to się od nas oddzielić, by móc być liderami. Zajmując się Polską, tak naprawdę zajmowali się wyłącznie sobą – widziałam to w ich twarzach, widziałam to w ich oczach, w których jak neon pulsowało słowo JA.

Ojciec Alicji doskonale poradził sobie w komunizmie i doskonale radził sobie w kapitalizmie, był sprytny jak żmija piaskowa; jego córka miała to po nim. Spryt – oto cecha, której nienawidziłam, oczywiście dlatego, że jej nie miałam. Kiedy patrzyłam na tych ludzi, zwinnych i sprytnych jak pustynne zwierzęta, ludzi o małych gołębih oczkach, którymi rozglądali się to na lewo, to na prawo, w poszukiwaniu ostatniego ziarna do wydziobania, i rzecz jasna je znajdowali, chciałam wejść wszędzie tam, gdzie się zbierali, i użyć broni palnej.

Potem wygooglowałam jej matkę, chociaż nie było za bardzo co googlować, matka miała jedynie tradycyjny status matki; znalazłam tylko kilka kiepskich

zdjęć. Wyglądała jak opustoszała katedra – święta, lecz pozbawiona życia, opuszczona przez wszystkich pielgrzymów. Zbolała mina, mina jak maska na twarzy szarej niczym płótno, wcale się temu nie dziwiłam, byłam pewna, że jej mąż wielokrotnie rozjechał ją sobą, byłam pewna, że najpierw pomstował na te czołgi, które rozjeżdżały Bogu ducha winnych demonstrantów, a potem sam jak te czołgi rozjeżdżał swoich bliskich. Uznawał, że ma do tego prawo, ponieważ był bojownikiem o słuszną sprawę.

Twarz matki Alicji była jak nieruchoma kopuła tej katedry, patrząca z góry na nieistniejących wiernych. Myślę, że tym właśnie spojrzeniem, dumnym i urażonym jednocześnie, spojrzeniem zdeklasowanej szlachcianki, musiała patrzeć na wszystkich wkoło, wyjątek robiąc tylko dla przyszłego męża. Jej przygody z powoływaniem na świat Alicji obliczyłam na okolice trzydziestego roku życia – kiedy marzyła już tylko o tym, by zostać starą pierwiastką. Jej przyszły mąż chciał władać Polską, ona jedynie tym, co mogłoby wyjść z jej ciała. Patrzyła więc na niego przychylnie, myślała, że może właśnie on będzie tym pierwszym od lat pielgrzymem, który wejdzie w jej święte progi, wpuści tam trochę światła. Patrzyła na tego mężczyznę o twarzy zaciętej i chytrej, licu zniszczonym i bladym, wędzonym dzień w dzień w papierosowym dymie, o wąsach gęstych i twardych jak włosie bobra, mężczyznę, którego prócz tych cech charakteryzowały jeszcze znaczna nadpobudliwość ruchowa oraz zaskakujące przywiązanie do alkoholu, i aby go do siebie zachęcić, kusząco pochylała się nad bibułą, cedząc słowo „Stalin” tonem pełnym pogardy. Kiedy w końcu do tego doszło, było tak, jakby hordy czerwonoarmistów mknęły przez ich dziurawą starą pościel, ojciec działał z takim zaangażowaniem, jak gdyby nie chodziło o seks, ale o wojnę; szepcząc antyradzieckie hasła, złączyli swe ukształtowane przez komunę, a więc nieatrakcyjne ciała, i kiedy skończył w tej kobiecie, przerażonej i poruszonej zarazem, spełnionej i zniweczonej, czuł się, jakby odniósł mikroskopijne, symboliczne zwycięstwo, jakby tym

swoim strzałem strącił jakąś ważną figurkę stojącą gdzieś na biurku w odległych gabinetach Kremla.

Musiał być zresztą pewien, że ustanawia w ciele tej opozycjonistki syna, że tak oto poczyna się kolejne pokolenie bojowników o wolność, kolejne pokolenie łączące go z polskim lasem i polską bronią, i polską klęską. Chciał tak myśleć, sadząc swe ziarno w polskiej kobiecie jak w żyznej ziemi. Rzeczywistość mocno go rozczarowała.

Widzę, widzę to wszystko, ten zawód, po pierwsze, na wieść o płci. „Dziewczynek nie poważam” – na pewno powiedział coś takiego, to dla nich typowe. Po co te ceregiele płciowe – chciałam szepnąć mu do ucha – nienawidź wszystkich po równo, jak ja! To ci lepiej wyjdzie w rozmaitych rozliczeniach, łatwiejsza jest taka bezpłciowa, wszechpłciowa nienawiść! Ktokolwiek stanie na mojej drodze, od razu go nienawidzę, chyba że nieudacznik – wtedy nie mogę, trzyma mnie w ryzach wątpliwa miłość do samej siebie.

Googlowałam go dalej, starego capa opozycji, w internecie aż od niego furczało. A to, że potrafił zbudować najbardziej zakamuflowane struktury konspiracyjne, a to, że jego niezłomna postawa, a to, że przy Okrągłym Stole... Potem rozmowy o jego pasjach, albowiem prócz walk narodowyzwoleńczych musiał ich kilka nabyć na niesprzyjające wojnie czasy pokoju. Prócz tychże walk pasjonował się zatem różnymi rzeczami, z których na prowadzenie wysuwały się dwie: patrystyka i polopiryna. Co do tej pierwszej, to zaczął kupować ojców Kościoła, kolekcjonować ich, upowszechniać i tą kolekcją się szczycić, zaczął używać jej do swego ulubionego zajęcia: tworzenia zdań złożonych zawierających dwa obowiązkowe komponenty: „niemająca sobie równych” oraz „moja”: jego największa w Polsce, a być może i w całej Europie kolekcja patrystyczna, jego święte, tyczące się świętej męskiej tradycji dziedzictwo, jego najbardziej oprawiona w skórę Biblia jerozolimską w skórze, jego najbardziej święty święty Mateusz, jego opracowana przez niego

bibliografia, jego zasoby, jego tradycja, jego chluba.

W ogóle gdy tylko coś „nie miało sobie równych”, można już było szeptać razem z nim dalszy ciąg wypowiedzi, oparty na słowie „moje”. Wszystko, co uważał za najlepsze, było zarazem jego. Jego najlepsza kolekcja sklepanych samolotów, jego najbardziej obronny wilczur obronny, jego najbardziej pieniste piwo z najbardziej browaru, jego najlepiej wypreparowany i najdokładniej wypchany myszołów, jego najbardziej dostojny łeb dzika pozbawiony innych części dzika, które są zupełnie nieważne, skoro nie są jego, jego najdłuższa, najbardziej szlachecka szabla od lat dziedziczona wyłącznie w linii męskiej, jego on sam będący najbardziej jego.

Tę drugą – polopirynę – zaczął zaś sam, jako chemik, produkować w swojej fabryce, albowiem sam najbardziej skorzystał na tym kapitalizmie, który wywalczył, tak jakby właściwie wywalczył go dla samego siebie; polopiryna – całe naręcza, paczki, wozy polopiryny, najbardziej jego, najbardziej leczniczej, najbardziej polopiryny, schodzącej z fabryki regularnymi partiami – była to dobra pasja na czasy pokoju, dochodowa. Polopiryna, jego polopiryna, która do niego wracała w postaci dochodów, i to niebagatelnych, leczyła innych i jego ego, jego polopiryna.

Tylko jego córka Alicja stała się jakby mniej jego, a to za sprawą neofickiej hańby.

Dokładnie potrafiłam sobie to wyobrazić, ten wieczór, ten upokarzający moment, kiedy Alicja ustępuje z przeznaczonego jej genetycznie miejsca w łańcuchu światopoglądowym i obiera zgoła inne, zdradzieckie. Rozczarowania, rodzinne rozczarowania – czyż rodzina nie jest najlepszym poletkiem doświadczalnym dla rozczarowań? Widziałam to wszystko, jak siedzą w lecie na ganku, wolność już dawno wywalczona, legenda o walce o nią pielęgnowana, noc prawie że całkowita, wszędzie popierdalają świetliki, i oni, zebrani tu gremialnie: ojciec, matka, babcia i dziadek, znani powszechnie jako dziadkowie z powstania, z czego ostatni obecny jedynie

duchem, gdyż w tym powstaniu zginął, dorosła już Alicja, być może nawet ze swoim mężem, który – jak ustaliłam – na imię miał Tadeusz. Imieniem tym, nie da się ukryć, dobrze wpasował się w tę rodzinę, w którą się nie wpasował rodową szablą, zestawem mebli z litego dębu z dominantą w postaci kredensu ani odziedziczonym po dziadku krzyżem *Virtuti Militari*. Teraz, wśród marynowanych grzybków, salatek z sałatką jarzynową i plasterków szynki próżno wypatruje homara, próżno wypatruje choćby drobniotkich macek ośmiornicy, z niechęcią grzebie w kaszance, wyobrażając sobie, że to stek z angusa; siedzą w rodzinnym domu na wsi, to obowiązkowo jest dom na wsi, z tradycyjnym i dominującym przestrzeń piecem kaflowym; wszystko tu jest, jak należy – ich koronkowy obrus, ich Matka Boska Wszelaka w złotej ramce, ich rozmowy: o tym, jak trudno jednak znaleźć w sklepach odpowiedni płyn do srebra, o garstce platerów, które udało im się ocalić z powstania, o tym, jak morze zostało raz ochrzczone przez jednego świętej pamięci o świętą sprawę bojownika, o słynnej bibliotece pełnej pism ojców Kościoła, o dzielnej stryjence, łączniczce z AK, której powstańcze modlitwy niosły się przez cały ich rodzinny Żoliborz.

Siedzą i ze wzruszeniem nucą *Jasieńka*, niby wszyscy razem, kobiety jednak nieco z boku, nie one mają pierwszeństwo w wywalczeniu wolności ojczyzny, a to właśnie ten fakt odpowiada tutaj za podział krzesel, siedzą, noc zaciska się nad nimi jak gruby powróż, gliniany dzbanek stoi na piecu, maliny już dawno wyjedzone, pieśń o Polsce jeszcze nie wyśpiewana, choć w toku – niesie się w noc *Jasieńko*. I wtedy to następuje, ten moment przełomowy. Gdy w trakcie śpiewów pojawia się nagle ono – wspomnienie o dawnej Polsce, przy księżycu, bo ono jest jak stary dobry księżyc, nieustępliwe i cykliczne – świetliki wnet truchleją ze strachu, bo pierwsze czują, że coś się tutaj szykuje.

Alicja rozchyła wargi, zdecydowana, by coś powiedzieć, i one już wiedzą, że nie będzie to nic dobrego. „Jasieńko został zmanipulowany” –

mówi. „Kościół, polityka strachu”. Jest tuż po swych lewicowych kompletach, jej twarz goreje jak jedna z tych lipcowych nocy, jej wyznania są równie nagłe jak zmiana letniej pogody. Miny zebranych kwaśnieją niczym mleko wystawione na słońce. Najpierw jest babcia: do tej chwili wyglądała jak stary dzban o dostojnym kształcie, teraz – jak dzban, który rozsypał się w drobny mak, potem jest dziadek, choć go nie ma, ale wobec tych wyznań jego duch się zmaterializował i reaguje nerwowo: ręce zaczynają mu drżeć, drżą tak bardzo, że wywołują wibracje docierające aż do szuflady suto zdobionej komody i wprawiają w ruch spoczywający tam od lat stary pistolet z AK, który teraz mógłby sam wystrzelić, potem matka, opuszczona świątynia, która staje w ogniu, podpalona przez innowierców, i wreszcie on – ojciec, gwóźdź programu. Najpierw na chwilę blednie, krew odchodzi mu z twarzy, potem noga zaczyna mu chodzić, jakby była oddzielnym, niezależnym bytem, już prawie poszła sama do pobliskiego lasu, z którym też, oczywiście, wiążą się wspomnienia, albowiem mało jest z gruntu polskich wspomnień, które nie wiążą się z polskim lasem, potem dolna warga, która wybija się na niepodległość w drzeniu, wreszcie erupcja wulgaryzmów, każdy możliwy do wyobrażenia wulgaryzm, na czele z tym fundamentalnym: „kobieta”. A potem dogasa ognisko, żar zmienia się w popiół; wszyscy kładą się spać i jest jak na pogrzebie bliskiej osoby, na którym nikt nie chce przemawiać; to, co się tu odbywa, jest żałobą, ponieważ ktoś jakby dziś umarł, choć niewątpliwie żyje, to dla nich umarł, bo okrył się hańbą, przechodząc do obozu wroga – wszyscy przez lata będą musieli mierzyć się z tą stratą, boksować z trupem.

A trup ma się dobrze – właśnie wyjawiał swą prawdę, którą od dawna trzymał w zanadrzu, a teraz jej triumfalnie użył. Nienawidzi swojej rodziny – patrzy na nią, jak patrzy się na oprawcę; to wszystko, co robił ojciec, kim był, może być mu teraz odpłacone w takiej samej formie; cała nienawiść uprzednio przekazana może być teraz zwrócona. Alicja śpi tej nocy niespokojnie, ale z poczuciem satysfakcji – widzę ją, jak drży w środku

lipcowej nocy, trochę z przejęcia, trochę ze strachu, a trochę z radości – jakby stała w porcie, czekając na statek, którym zaraz odpłynie w ekscytujące nieznane.

III

Jej mąż Tadeusz był analitykiem finansowym. Niewiele o tych bucach wiedziałam, ale dwie rzeczy na pewno – że zarabiają duże pieniądze i że handel kontraktami terminowymi, czyli to, co stanowiło treść ich pracy, był jednym z powodów kryzysu finansowego. Kryzysu, który niejednokrotnie analizowała Alicja w swych tekstach, w swych programach, piętnując prowadzące do niego praktyki.

Miłość, myślałam, to piękny fenomen, góry potrafi przetranszować.

Wyobrażałam sobie dzień ich ślubu, to pewnie – zważywszy na jej siłę perswazji – był urząd stanu cywilnego, wyobrażałam sobie, jak jakaś zaszracona gołębica ulatuje w niebo, a oni tam stoją, piękni i czyści, jak dwa opłatki, patrzą na siebie z takim oddaniem, z jakim nikt nigdy nie patrzył na mnie, wyobrażałam sobie, jak ta gołębica sra na mnie, stojącą gdzieś w odległym zakamarku świata, brzydką i pustą jak beczka po piwie. Wszystko to, czego ja nie miałam, a bardzo chciałam mieć, to było to, po co ona sięgała, jakby już wcześniej było jej.

Wpatrywałam się intensywnie w jej zdjęcia na Facebooku. Jej sorbony, jej zanzibary. Ona, leżak i Alpy, 2014, fotografia barwna, autor nieznany. Ona ze swoją córeczką Nastusią, jej córeczka, Nastusia z nią. Martwa natura z wołowiną po burgundzku. Ona, Tadeusz i wino w podróży po Toskanii.

Choć zachowywałam się jak wytrawny śledczy – analizowałam dokładnie tła wszystkich zdjęć, szukałam tam znaków szczególnych, wskazujących na jakiś konkretny adres, domu nie mogłam ustalić. Byłam jednak pewna, że to jedno z dwojga – wielkie mieszkanie w starej kamienicy

albo połowa starego domu w którejś z najlepszych dzielnic Warszawy, ponieważ tylko z tych miejsc dobrze się walczy o ogólnokrajową sprawiedliwość. Byłam pewna, że Habermas, Gadamer, Lévi-Strauss, a przede wszystkim Žižek dobrze wchodzi do głowy wyłącznie w takich lokalizacjach. Byłam pewna, że w nowych apartamentowcach słabo się ich przyswaja, nie rezonują najlepiej z dochodzącymi od sąsiadów odgłosami biegów na domowych bieżniach, kartkowania albumów o designie i kuchni slow food, rozmowami na tematy kadrowo-kredytowe, trzaskiem ziaren komosy ryżowej spadających na drewniane podłogi w odcieniu whisky. Nie rezonują dobrze z ich domofonami i bramkami na pilota, albowiem odgradzać można się jedynie świerkiem i pradawnymi wrotami z gargulcem, nie rezonują przede wszystkim dobrze z ludźmi, którymi się gardzi, tak innymi od Alicji.

Przestrzeń w ich domu została całkowicie zdekomunizowana, następnie zaś całkowicie zdezikeizowana; nastąpiła tutaj całkowita dekomunizacja i dezikeizacja przestrzeni. Najpierw wywieziono wszystkie meblościanki, potem zaś wywieziono wszystkie komody ABBA, szafki SIGGA i krzesła BIBBA. Następnie wniesiono tu: staromodne szezlongi z dostojnym wzorem w paski, biedermeiery, dębowe stoły, wreszcie fotele ze skóry jenota.

Zastanawiałam się, czy te ostatnie nie palą jej trochę w dupę, kiedy tak pisze o tym, iż ogólnokrajowa sprawiedliwość ma zostać ogólnokrajowo zaprowadzona, kiedy wygraża wszystkim szpikulcem do fondue.

Ostatnia sprawiedliwa z prasy salonowej.

Zastanawiałam się, jak u Alicji i Tadeusza wyglądają „te sprawy”. Kwestię seksu też musieli odpowiednio załatwić. Kluczowe było tu z pewnością słowo, które zrobiło wspólnie sporą karierę: kompromis. Alicja zapewne kompletnie nie była przekonana do tych czynności, tych ruchów, które – w myśl słów jednego z wielkich filozofów – niweczą ludzką godność, tak zwane *fellatio* to w jej odczuciu jeden z przejawów nowoczesnego niewolnictwa; on zaś, Tadeusz, sądzić musiał, iż seks to najlepszy sposób na

relaks po ciężkim dniu sprzedaży wirtualnego cukru na powiat chiński. Musieli się zatem spotkać pośrodku. Widziałam to tak: dwa tradycyjne stosunki seksualne w tygodniu i czasem dyspensa, jakiej udziela Alicja od działań oralnych na jej organach rodnych; ewentualny wstyd przełamывała kilkoma lampkami dobrego wina. Leżała tam naga jak Pan Bóg ją stworzył – to znaczy, żeby dostosować myśl do jej obowiązkowego ateizmu – naga jak nikt jej nie stworzył, w napięciu czekając finału. Orgazm nadchodził jak satysfakcja po dobrym feedbacku na temat wygłoszonego referatu. Lekko zakłopotana, wiedząc, że społeczeństwo ceni w kobietach cnotę skromności, zegnała prędko tę kłopotliwą sytuację i układała członki na powrót zgodnie z ich naturalnym ułożeniem. Tadeusz leżał z nosem przy jej łonie, po mistrzowsku pozbawionym śladów znienawidzonej przez nią natury, chcąc jeszcze długo zgłębiać „kosmos kobiecości”, o którym czytał ostatnio w internecie, podczas gdy ona była już w innym wymiarze, nakrywała się prześcieradłem i w myślach kładła się już na wszystkich karimatach we wszystkich Davos, do których nigdy nie pojechała.

Wszystko mieli dokładnie ustalone i przedyskutowane, perfekcyjne dzieci współczesności. Zanim przystąpili do związku, ściśle wyznaczyli jego granice – tak, by nikt nie czuł się później oszukany. Spontaniczność i niepewność traktowali jak trąd, nie szły one w parze z powszechnością terapii, której zresztą Alicja nie uznawała, powołując się na różnych nieuznających jej myślicieli, choć – jestem pewna – ją odbyła. Wszystko trzeba zrozumieć i wyartykułować. Wszystko, co nosi charakter wielkich porywów, rozmontować. Dostosować się do cywilizacji pewności i przejrzystości, opartej na dogłębnej, choć zupełnie niemożliwej znajomości siebie, by wyrugować możliwość cierpienia. Być w relacji.

A zatem u progu wspólnego życia wynegocjowali warunki kopulacji. Facial nie wchodził w grę, był zbyt brutalną ingerencją w potraktowaną drogim fluidem twarz Alicji, biust można muskać opuszkami palców,

zważając na to, by go za mocno nie ścisnąć, grozi to bowiem powikłaniami bólowymi i jest niestosowne, dozwolonych pozycji było kilka, mało inwazyjnych, tak zwany anal to obraza majestatu – trudno powiedzieć, że Boga, bo nikt w niego nie wierzy. To znaczy – co do Tadeusza mam pewną wątpliwość. Czuję, że Bóg nie został z niego całkiem usunięty, myślę, że wchodzi tutaj w grę jakaś ministrancka przeszłość, że głęboko w nim tkwią jakieś święte odłamki, czego Alicja nie może znieść. Jest wściekła, że mimo rozlicznych operacji mentalnych nie może go stworzyć na swój obraz i podobieństwo.

Niemniej dają radę. Ratuje ich perfekcja. Perfekcyjne ciało Alicji jako cenne, choć rzadko dostępne dobro wymienione na perfekcyjne życie, jakie ta zamierza wieść u boku Tadeusza. Tak widzę ich małżeństwo – jako sztukę kompromisu, którą opanowali do perfekcji.

Czasem wyobrażałam sobie też, jak wyglądają ich wieczory, zaprawione oczywiście winem, kiedy on pyta ją wreszcie: masz ochotę? Następuje to między *Faktami* a pasmem publicystycznym, więc jest to zły moment, bo ona ogląda tam siebie i wszystkich swoich znajomych. „Musimy wygrać z obozem rządzącym, musimy z nimi wygrać” – recytują wszyscy zgodnie, a ona im wtóruje.

Tadeusz ziewa, tli się w nim zamierająca nadzieja na inne uciechy.

– Procedujemy ze stosunkiem seksualnym? – pyta. Liczy na to, że uda mu się zachęcić ją trudnym słowem.

– Nie – pada krótka i stanowcza odpowiedź.

– Dlaczego? Brak mi ciebie.

– Możemy temu zaradzić w inny sposób niż poprzez praktykę płciową. Nie traktuję seksu jako priorytetowego elementu wymiany emocjonalnej.

Tadeusz przełyka te słowa jak tran.

– Lepiej porozmawiajmy – proponuje Alicja. Jak każdy, chce oddać się materii, w której czuje się najpewniej.

Ten, zrezygnowany, się zgadza. Jeśli chodzi o trzymanie się powyższej zasady, wołałby pograć w *Mortal Combat*.

– Dlaczego nie pijesz alkoholu, Alicjo? – pyta uprzejmie, zauważając, że całe wino wyższej klasy wypił dziś sam, a jego żona od osiemnastej raczy się li tylko bioczystkiem. Przecież próbują trzymać się tradycji, tymczasem ta sprowadzająca małżeński wieczór do butelki wina na głowę została zdecydowanie złamana.

– Jestem przeciwna doświadczeniu szczytowemu – odrzeka ona równie kulturalnie jak nieuczciwie. Prawdziwym powodem jej dzisiejszej abstynencji jest bowiem antycypacja kaca. – A jak ci idzie w pracy? – pyta tonem zdradzającym kompletny brak zainteresowania. Brzmi to tak, jakby właśnie ćwiczyła umiejętności zdobyte na kursie smali talku.

– Dobrze – rzuca Tadeusz. On z kolei brzmi tak, jakby właśnie uzyskał certyfikat z posługiwania się słowem „dobrze” w różnych sytuacjach.

– Czy twoja praca jest stresująca?

– Dlatego że obracam milionami? Skądże! A jak pisanie tego całego wykładu? – zmienia temat.

– Jakoś.

– A... O czym piszesz? – pyta.

– Obecnie skupiam się na teoriach Harolda Blooma.

– Harold Bloom, Harold Bloom... Czy on nie był trochę... literacki?

– Tak. A Holocaust był trochę żydowski.

– Dlaczego ze mnie kpisz?

– Bo twoja niewiedza jest żenująca. Wypadałoby najpierw coś przeczytać, zanim zabierzesz się do konwersacji. *Lęk przed wpływem* leży na moim biurku.

– A gdzie leży twój lęk przed nędzą? – mruczy Tadeusz.

– Słucham? – Ona podnosi głowę znad pisma „Kronos”. – Sytuacja w świecie jest katastrofalna – dodaje, rzucając okiem na telewizor. –

Niedługo do władzy dojdzie ten pomarańczowy pajac Trump i wtedy, co tu dużo mówić, wszyscy będziemy musieli uczyć się rosyjskiego. Tyle że ja wtedy wyjeżdżam, wyjeżdżam do Kanady, do Nowej Zelandii, mam tam ciocię, wyjeżdżam wszędzie tam, gdzie mnie jeszcze nie ma, a gdzie natychmiast będę, gdy tylko ogłoszą wojnę. Gdy tylko ogłoszą wojnę, wszędzie natychmiast wyjeżdżam.

– Wszędzie natychmiast wyjeżdżasz za moje pieniądze.

Tak mi się to jawiło. I czasem, myśląc o tym, cieszyłam się, że nigdy nie będę żoną, że mnie ominie ta tragikomedia, ta farsa. Potem wracałam do swoich zajęć, które często sprowadzały się do seansu pornosa. „Nie mogę jej pierdolić” – powiedział Rocco Silfredi. Tłumaczenie własne. Kopulujący byli oczywiście ładni, ich organy bez zarzutu. Wpatrywałam się w ekran bez większego zainteresowania. Wreszcie wyobraziłam sobie, że to ja leżę pod ciałem Rocca Silfrediego, naga, gotowa do akcji. Jego słowa brzmiały wówczas wiarygodnie.

IV

Kurs filozofii życia i jego sensu zaczynał się dziś późnym popołudniem. Czekałam na niego już od rana, to jest od godziny trzynastej, kiedy wstałam. Trudno mi było skupić się na pracy, ale próbowałam. Przetłumaczyłam kilka fragmentów z pism duńskiego mistyka Martinusa na zamówienie jakiegoś niszowego wydawnictwa, potem jeszcze zasiłałam swój przyszły budżet przekładem eseju o świecie wykładowin, dwoiłam się przy tym i troiłam, żeby oddać wszystkie meandry rzeczywistości włókien, ich gęstość i liczbę, a wreszcie zabrałam się do próbki dla producenta bielizny. To dopiero było coś – dumałam nad częściami stanika niczym nad najbardziej złożonym traktatem filozoficznym – oddać te wszystkie klamerki, zapinki, sprzączki i haftki to było zadanie dla Karla Dedeciusa; człowiek sam nie wie, co nosi.

Myśłami jednak byłam już gdzie indziej – mianowicie na kursie filozofii życia i jego sensu. Po południu wsiadłam w autobus i pojechałam na uniwersytet; weszłam na dziedziniec i czułam się jak te kwitnące wkoło drzewa. Wszystko, co było we mnie wymarłe, odżyło, jakbym stanowiła część trwającej właśnie wiosny. Ewidentnie kielkowałam, nawet czułam, jak kolejne pędy mysich włosów rozsadzają mi czaszkę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak ożywiona – chyba z okazji Halloween 1999, kiedy to inni ludzie wzięli moją twarz za supermaskę i rozmawiali ze mną jak równy z równym.

Weszłam do budynku, znalazłam salę i zajęłam jedno z miejsc pod oknem, tak aby – wiadomo – jak najmniej było mnie widać, i siedziałam tam, drząc niby liść. Ci ludzie! – myślałam przy tym. – Znowu oni! Zdziwiło mnie, że

sala była pełna. Znajdowali się w niej typowi przedstawiciele swojego gatunku, wyposażeni w głowy, nogi, oczy, a nawet okulary. „Jak trwoga, to do Boga!” – zakrzyknęłoby się jeszcze z dekadę temu, a teraz spotykaliśmy się na zajęciach z filozofii.

Zaraz miała się pojawić – wbiłam wzrok w drzwi i wpatrywałam się w nie tak, jakby był to luk triumfalny, przez który do miasta wjechać ma cesarski orszak. Wpatrywałam się w nie tak, jakby były zegarem, a ona długo wyczekiwana kukułką, która miała z niego wyskoczyć.

Kiedy weszła, to było tak, jakbym stała na peronie i właśnie minął mnie pociąg, na który długo czekałam.

Kiedy zdjęła płaszcz, a jej kształty jeszcze bardziej ujawniły swój perfekcyjny bezwstyd, wrażenie się pogłębiło. To ona. Alicja. Doktor filozofii Alicja Wyczółkowska.

Nawet nazwisko miała ładne, najważniejsze jednak, że było to Nazwisko. Ja zupełnie się nie nazywałam. Marianna Nikt. I dlatego teraz właśnie, patrząc na nią, fantazjowałam o tym, by to zmienić. Nazwę się Kossak lub Radziwiłł! Nazwę się Wyspiańska! „Może słyszałeś o moim dziadku?” – będę mówić mimochodem, na bankietach, sięgając po największy koreczek, dyskretnie przeciągając palcami po mojej wiekowej broszy z lombardu. Na poczekaniu skręcę jakąś legendę – że Grunwald, Maciejowice, Raszyn, zawsze któryś z moich praprzodków tam urzędował, że wszyscy na drugie imię mieli tak samo: „wielki sukces polskiego oręża”, że Mongoł taki, widząc mego prastryja, sam już nadziewał się na jego włócznię, by zaoszczędzić czasu. Kupię jakąś szablę na Allegro i zawieszę na ścianie, u rodziców, chuj że w bloku, właśnie dobrze, wszystko się zgadza – dworek zabrały nam czerwone kurwy i odtąd my w tym pudełku po zapałkach, pielęgnując jednakże wiekowe tradycje, wszystkie sarnie łby trzymamy w piwnicy.

Ona nie musiała tak kombinować. Patrzyłam na nią i czułam, jak dłonie

mimowolnie zaciskają mi się w pięści; nic się nie zmieniło – ona dalej była sobą, ja też. Nic się w niej nie zmieniło, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Czy była prawicowa czy lewicowa, zawsze była przede wszystkim wygrana. Po którejkolwiek stronie lustra by stanęła, zawsze stała po tej właściwej.

Ponieważ urodziła się po właściwej stronie.

Stała tu przede mną, przed nami, niemal na wyciągnięcie ręki, a w powietrzu świszczowało od mojej rosnącej nienawiści.

Patrzyłam na jej idealną twarz i myślałam o swojej, szpetnej. Pod moimi gadzimi oczami rysowała się siateczka zmarszczek, drobnych i delikatnych, jakby ktoś zarysował skórę paznokciem, ale jednak widocznych, włosy zawsze miałam marne, mysie, cienkie jak babie lato, a do tego teraz zaczęły się robić siwe – nigdy nie zakwitłam, byłam zawsze tylko jak czarny pąk, jak zaciśnięta pięść. Koło ust żłobiły się długie, coraz głębsze bruzdy, przez co wyglądałam jak smutny klaun. Ona nie miała takich problemów, wciąż tak samo idealna, idealnie piękna i udana. Wszystko, czym była, było tym, za czym ja tęskniłam. Czerwony dywan, który przed nią rozwijano, to był ten sam, który zabierano spod moich stóp.

Trudno mi było się skupić na tym, co mówiła. Trudno mi było się skupić, bo wszystko mi się przypominało. To, jak ją śledziłam, jak oglądałam ją w telewizji i jak słuchałam jej w radiu. W radiu miała też swoją autorską audycję. Główną jej częścią było wymawianie przez nią własnego imienia i nazwiska – wymawiała je długo i wyraźnie, wymawiała je dobitnie i dokładnie, wymawiała je z pasją, jakby to właśnie jej imię i nazwisko było największą z jej pasji. W dalszej części programu zajmowała się tym, w czym była najlepsza, czyli analizą analiz. Analizowała rzeczy dawno przeanalizowane z zapalczywością fundamentalisty.

Była jak intelektualny pies Pawłowa – automatycznie i odruchowo wiedziała wszystko. Każdy wypowiedziany na głos problem powodował u niej przyspieszone wydzielanie teorii, ślinotok teoretycznych rozwiązań.

Świat nie miał przed nią żadnych tajemnic. Coaching i mentoring? To praktyki religijne skrojone na miarę kapitalizmu, praktyki wstępujące na miejsce dawno utraconej religii. Współczesny świat? To zmierzch transcendencji, wielopoziomowe kulturowe, egzystencjalne konsekwentne eliminowanie metafizyki. Dusza? To perspektywa, nie substancja. Fundamentalizm? Proste: to proteza! Pozorne panaceum na współczesne lęki, zupełnie, notabene, ich nie kojące, albowiem niemożliwością jest odwrócenie procesów tworzących nowoczesność. Substancja świata? Można by pomyśleć, że chociaż tutaj się zawaha, a jednak nie, nawet substancja świata nie stanowiła dla niej najmniejszego problemu, substancję świata również miała przejrzaną na wylot. Substancja świata jest to terror, jest to masakra, wojna, rywalizacja. Jest to historia uzasadniania przemocy w sposób wzniosły. Cóż, w porządku, a nasze przeznaczenie, innymi słowy, powołanie? I na tę zagadkę, trapiącą ludzkość od zarania dziejów, Alicja miała na podorędziu prostą odpowiedź, wyciąganą nonszalancko po różnych radiach: nie tworzymy go, ale je odkrywamy. W tym momencie, pamiętam, zdradzała źródło swojej jakże bogatej wiedzy, która zazwyczaj, choć ściągnięta z rozlicznych myślicieli, podawana była do wiadomości publicznej jako własna, nabyta w toku osobistej refleksji, w toku kosmicznej niemal transmisji – tym razem jednak autorem owej sejsmicznej mądrości był „krytyczny wobec tradycji psychoanalitycznej, *enfant terrible* dzisiejszej psychologii i psychoterapii” – James Hillman.

To mnie akurat, pamiętam, zainteresowało: oto miałam nie tworzyć, ale jedynie odkrywać swoje przeznaczenie. Ciekawe! Nie wiedziałam, kim był James Hillman, i mało mnie to obchodziło, gdyż generalnie mało mnie obchodziła zgraja mężczyzn przez wieki myślących te wszystkie rzeczy, myślących tak bardzo, że aż trzeszczały im podstawy czaszek, w kompletnym zazwyczaj oderwaniu od rzeczywistej substancji życia; innej niż w ich ujęciu, czyli, jak wiadomo, historii terroru, masakry, wojny i tak dalej, historii uzasadniania przemocy w sposób wzniosły – to, co

krytykowane, brało jednak język od samych krytykujących; kto tworzył język pozwalający uzasadniać przemoc w sposób wzniosły, jeśli nie oni? Wzniosły sposób. Wszystko, co myśleli, było wzniosłe, w przeciwieństwie do tego, czym nie żyli, co było pospolite. Ja byłam tą treścią, którą nie żyli, tym pospolitym, czasem jedynie zmienianym we wzniosłe na potrzeby teorii o doświadczeniu estetycznym, w zakresie sporu o istotę piękna czy też pytania *unde deformitas*. Ja byłam tą treścią, którą nie żyli, lecz którą nazywali, z gorliwą satysfakcją, z samozadowoleniem, ku własnej chwale – dlatego właśnie wywoływało to we mnie taki wstręt.

Tym razem jednak czułam się poniekąd zaintrygowana. A więc wszystko, czym żyłam, było tylko odkrywaniem mojego przeznaczenia! Alicja zrodziła się jako strzelista katedra, a ja jako zatknięty gdzieś u jej kopuły marny maskaron. Ona – zgodnie ze swoim przeznaczeniem – rosła ku niebu, ja natomiast tkwiłam w miejscu, wbijając oczy w ziemię. Wzrastałam do bycia maskaronem, wzrastałam do bycia nikiem. To wszystko, ta cała potwarz, to, że obracałam się na ruszcie mojej żalostnej codzienności jak marny kawałek mięsa na kebab – było wszystkim, co musiałam odkryć. Było to w pewnym sensie wyzwalające. Powiem więcej – James Hillman, kimkolwiek był, potwierdzał moje przypuszczenia.

Na chwilę poczułam ulgę – jakby ktoś skrócił moje żądło. Pogodziłam się ze sobą. Prawda was wyzwoli – wszystko się zgadzało. Niestety, nie trwało to długo – świat zaraz znów pospieszył z przekazem o tym, jakoby życie mieniło się tysiącem możliwości – a ja znów czułam się jak rozwścieczony owad.

– Ojciec Bashobora? – Alicja znienacka wyrwała mnie z rozmyślań. Podniosłam na nią wzrok. Odeszła od biurka i zrobiła kilka kroków w naszym kierunku. Widziałam ją jeszcze wyraźniej, chociaż nie była mi przez to bliższa. Nie mogłam się do niej zbliżyć, bo zawsze byłam tylko tym, czym ona nigdy nie była. – Hochsztapler. Lepszy od Jezusa. Według przekazów ewangelicznych Jezus wskrzesił zaledwie trzy osoby, podczas

gdy ojciec Bashobora około dwudziestu. Lecz tylko tych, którzy mieli bilet na stadion. Nie masz biletu, Bóg cię nie uzdrowi – spuentowała.

To było coś, co pamiętałam z jej wypowiedzi w mediach – lubiła kpić. Kpina była jedną z jej podstawowych form wypowiedzi.

– Katolicy? Ci posiadacze Prawdy? – prychała, następnie zakasywała rękawki swej jedwabnej koszuli i brała się do prezentacji swej własnej prawdy, którą dla odróżnienia zwała jednak rozsądkiem czy też wątpliwością. – Bóg? Boga nie ma, jest tylko dół śmierci, w który strąca nas agent jej: morderca, wampir czy wisielec. Wszyscy tańczymy w korowodzie zmarłych, sól łez krzepnie nam na policzkach, usta zakleja wiekuisty klej; sekularyzacja społeczeństw Zachodu, sekularyzacja społeczeństw Zachodu. Nicość i pustka bez dna, samotność żywych, samotność umarłych, literatura przedmiotu rozróżnia mnogość rodzajów samotności – mówiła, a mojej uwadze nie umknęło nigdy, że zawsze była wtedy nienagannie ubrana, uczesana i umalowana, piękna jak obrazy dawnych mistrzów, do tego tak nakręcona swymi słowy, tak pełna życia, jak gdyby agent śmierci, wisielec, miał do niej jeszcze kilka lat świetlnych.

– Jeśli jacyś przybysze do nas przylecą, nie brońmy im zostać ochrzczoneymi, oto, co głosi papież Franciszek w swej łasce – referowała ze złośliwym uśmieszkiem; wobec katolików była zawsze niczym rubaszny wujaszek wobec znienawidzonych rozrabiających bratanków, nieustannie usiłowała podstawić im nogę, była do bólu protekcyjnalna, obrzydliwie autorytarna i nie widziała tu żadnej sprzeczności z głoszeniem tolerowania tolerancyjnej tolerancji i przestrzegania zasad liberalnej i demokratycznej liberalnej demokracji.

Materię świata, jak już wspomniałam, miała przejrzaną na wylot, właściwie wszystko, co się na świat składało, było jej pasją. Istnienie bądź nie jaszczurów z kosmosu, fizyka kwantowa, czym jest spin, co z przyszłością przeszczepów głowy, śmierć w średniowieczu a dualizm korpuskularno-falowy, możliwość wyspy, kiedy żaden człowiek nią nie jest,

kultura terapeutyczna – podsumujmy wszystkie przeciw i przeciw, kapitalizm a wszystko.

– Świat jest nieprzenikniony, złożony, skomplikowany i nieprzewidywalny – powiedziała właśnie.

Znów na nią popatrzyłam. Chodziła, jakby coś w ten sposób demonstrowała. Byłam pewna, że kiedy ona zaciska dłonie w pięści, robią to i inni, choćby nawet nie chcieli, posłuszni niewypowiedzianemu nakazowi. Cała była jak przekaz podprogowy, a świat, po którym się poruszała, jak ekran, który ten przekaz emitował.

– Człowiek niejasny, mroczny, chaotyczny i wielowymiarowy. Śmierć przeraźliwa, bliska, przypadkowa i bezcelowa. Narodziny niezorganizowane, nagłe, niepotrzebne, przerażające – powiedziała.

Prędko się zorientowałam, że wszystkie opisy fenomenów chodzą czwórkami.

Jej twarz niemal się nie poruszała, była jak posąg, w którym umieszczono odbiornik radiowy do wygłaszania życiowych prawd. Jej oczy były nieruchome, były to oczy, które należałoby sprzedawać na sztuki w zakładach sprzedaży oczu osobom psychopatycznym.

Oczy i włosy miała ciemne, tak ciemne, jak ciemne musi być wnętrze najgłębszej studni. Musiała to być studnia, w której ja mieszkałam, a w którą ona tylko patrzyła, zuchwale i złośliwie, z fałszywą troską. Patrzyła na mnie z góry – ja tam mieszkałam, a ona we mnie zaglądała. Niczego nie widziała w tej ciemności, w którą nie chciała się zanurzyć, choć udawała, że świetnie ją zna.

Kiedy mówiła o mnie, używając słynnego określenia „zwykli ludzie”, zastanawiałam się, gdzie też nas widywała. Na wystawach World Press Photo?

Nigdzie nas nie widywała, bo niczym nie żyła i niczego nie znała – prócz tych miejsc, które przypadły jej w udziale z racji urodzenia. A stamtąd

naprawdę mało widać. Świerki za oknem. Fortepian w rogu pokoju, sprzed wojny, ten sam, który za okupacji sprytnie pomalowali na czarno, by nie wywieźli go Niemcy. Dębowy stół z ustawionym na nim bukietem herbacianych róż. Okna kamienic naprzeciwko. Kolekcję win w antycznym kredensie.

Wyjdz ze swojej strefy komfortu, cipo – pomyślałam, powołując się na własne lektury, inne niż te, które właśnie polecała, z naciskiem na te swojego autorstwa. Zburz ten wigwam z książek, spójrz mi w twarz. To ja – ciemna strona, o której mówisz, to ja, twoja ciemna strona.

Ale ona dalej mówiła swoje. Ze słów, których często nie rozumiałam, budowała imperium pogardy. Sprowadzała mnie do niezrozumiałych pojęć, do pojęć zrozumiałych tylko dla niej i takich jak ona. Byłam treścią jej traktatów, jej eksponatem, równie żywa jak wypchany myszołów.

Ona i tacy jak ona. Choć głosili solidarność, tak naprawdę nieustannie się od nas oddzielali. Dzięki naszemu niższemu statusowi uprawomocniali swój wyższy status, symulując troskę. Pochylali się nad nami, uważając, by nas nie dotknąć – fałszywe schizofreniczne matki. W występowaniu gdziekolwiek w mojej sprawie chodziło tak naprawdę o ich sprawę – mianowicie o to, by o nas mówić i dzięki nam stać się sobą, to jest kimś. Zresztą niczym innym nigdy nie byli.

Teraz, kiedy mówiła o „dziecie i wspieraniu ciała w walce o niemożliwą nieśmiertelność”, myślałam o tym, co sama zjadła. Co też wylądowało w jej drogocennym żołądku. Bo chciałam zjeść to wszystko, co ona zjadła, chciałam móc przepłynąć jej żołądkiem, jakby to był jakiś tor wodny, chciałam nim płynąć i zlizywać resztki jej pożywienia, chciałam nauczyć się je jeść, używać do tego srebrnej zastawy stołowej, pałeczek, miseczek, wszystkiego, co potrzebne, chciałam nurzać się w jej odmętach, być zawartością jej żołądka, chciałam, by mnie w sobie poczuła, zamiast tylko o mnie czytać, chciałam, żeby rozumiała, że nie zaliczam się do żadnej z wymienianych przez nią kategorii, że może jedynie mną pluć, co

zresztą robi, jeśli czymś jestem, jestem jedynie zalegającą w niej treścią żołądkową, od której robi się jej niedobrze, niech więc mnie zwróci.

Patrzyłam na nią i wyobrażałam ją sobie jako obłą rybę, wyobrażałam ją sobie jako karpia w wannie, pływającego tępo wte i wewte, podczas gdy dla odmiany to ja stałabym nad nią, to ja śledziłabym jej ruchy, to ja decydowałabym o niej. To ona nie miałaby na swój temat nic do powiedzenia, nie miałaby na swój temat nic do powiedzenia fabrycznie, ponieważ nie miałaby języka, nie miałaby swej mowy, w której na co dzień była tak biegła, do zrzygania biegła. I wreszcie, kiedy znudziłoby mi się patrzeć na nią, przepływającą z jednego końca wanny na drugi, złowiłabym ją, wyciągnęłabym ją na zewnątrz, wstrętną i oślizgłą, i choć by się rzucała, próbowała wymknąć mi się z rąk, nic nie mogłaby wskórać. Wzięłabym ją, położyła na podłodze, podniosła przygotowany już na nią wałek do ciasta i walnęła mocno w ten ohydny łeb.

V

Na dobre już rozhulał się maj, który jak można się domyślić, był jednym z moich najmniej ulubionych miesięcy, podobnie jak wszystkie inne. Oprócz lutego. Uwielbiałam luty – wszyscy chodzili wtedy ze smętnymi minami, wyglądali jak sine kartofle, wyrzekali na los, marzyli o byciu ładunkiem samolotu do Hurghady. Tylko ja wtedy rosłam w siłę, tylko ja z satysfakcją podnosiłam głowę – momenty upadku innych były chwilami mojego triumfu.

Na następne zajęcia przyszłam nieco wcześniej, aby lepiej rozeznać się w sytuacji. Aby – jak mówiła na wykładzie Alicja – dokładnie zrozumieć położenie, w którym się znajduję, gdyż tylko gdy się je zrozumie, można sporządzić plan działania, skonfrontować się ze sobą. Uwielbiałam pustostowie, więc skwapliwie przystałam na te nedorzeczne pomysły. Nedorzeczne, gdyż było dla mnie oczywiste, że żadnej sytuacji nie można nigdy ustalić, wszystko zawsze wyłącznie się wymykało, wszystko zawsze było wyłącznie niejasne. Konfrontacja ze sobą wydawała mi się równie chwytnym i pustym sloganem – zupełnie nie wiedziałam, kim jestem.

Tym razem jednak postanowiłam postąpić zgodnie z filozoficznym zaleceniem. W poniedziałkowe popołudnie siedziałam na dziedzińcu uczelnianym, rozglądając się po innych zebranych tu ludziach, którzy stanowili część mojej sytuacji i pomagali mi zrozumieć, że jest ona niewesoła.

Na prawo ode mnie siedziały trzy młode kobiety. Spijały swoje kawy z plastikowych kubków. Etap wina – etap jednej butelki wina na jedną

damską wyfiokowaną głowę – miał dopiero nadejść. Ich uroda była na tyle istniejąca, że można je było podejrzewać o jakieś takie życie seksualne. Zresztą podejrzenie prędko znalazło to potwierdzenie w faktach, a to za sprawą ich samych: do moich uszu dobiegały fragmenty filozoficzno-fizjologicznych dyskusji. Od Schopenhauera przechodziły płynnie do minety. Na naturę miały pogląd niesprecyzowany, raz podziwiały jej piękno jak z Thoreau, raz ganiły jej wulgarność, głosiły pochwałę depilacji. Co jakiś czas rzucały hermetyczne żarty typu „przy Derridzie ruchanie nie idzie”.

– Sto kilometrów. Tyle najwięcej przejechałam, żeby mieć ruchanie – mówiła teraz jedna do drugiej i pokazywała na Tinderze tego, nie wiadomo do końca, szczęściarza czy nieszczęśnika.

– Wielka pała. Czarna pała. Czarna to wielka, wiadomix! – Śmiały się znów, reklamując koleżankom swe nowe oferty, przerzucając je w telefonie jednym ruchem palca. – Będzie ruchanie!

Ich potrzeby seksualne, wyzwolone w nastoletnim wieku, teraz, po dwudziestce, weszły w niebezpieczną fazę. Wolność w połączeniu z dochodzącym do głosu intelektem tworzyły coraz bardziej niebezpieczną, perwersyjną mieszankę. Nie chodziło po prostu o seks; chodziło o seks, w którym o coś chodziło. Nie żebym mogła się nazwać ekspertem, ale było to dla mnie ewidentne. Samookreślenie, iluzja decydowania o własnym losie, którego najdobitniejszym wyrazem było życie seksualne, złe rozpoznanie własnych pragnień, korzystanie z cudzych podawanych jako własne, a później nagłe przebudzenie z biografią, która jest zarazem twoja i całkowicie obca – teoretycznie znałam na wylot wszystkie te pułapki, tak naprawdę jednak znów im zazdrościłam; zazdrościłam im wszystkich błędów, które mogą popełnić, zazdrościłam im nawet możliwości samozniszczenia.

– A ten? – pytała jedna drugiej. – Dwadzieścia centymetrów. Dasz wiarę?

Chichotały, wpatrując się w swoje iPhone’y jak w zaćmienie słońca.

– Na nim się przejadę! – stwierdzały, jakby mówiły o karuzeli, o diabelskim młynie.

Patrzyłam na nie ze wzrastającą niechęcią. Pięści zaciskały mi się w kieszeniach w dwa kamienie. Pocieszała mnie tylko myśl o tym, że już niebawem, za dekadę, całe zmieniają się w ugór. Te myśli sprawiały mi wielką radość: wizualizowałam sobie te dziewczyny jako samotne stare kaszaloty pijące kolejne szklanki whisky, z rozpaczą oglądające zdjęcia z czasów, kiedy były jeszcze młode i jędrne, jak dopiero co zerwane z drzew owoce, a inni chcieli obierać je ze skóry, chcieli pić ich soki. Dziś zaś były już zaledwie ogryzkami, zgniłymi resztkami porzuconymi gdzieś po drodze jak targowe odpady, których nie chcieli podnosić nawet bezdomni. Myślałam o tym z olbrzymią satysfakcją; im bardziej nieszczęśliwie jawiła mi się ich przyszłość, tym lepiej się czułam. Dlatego uparcie wykonywałam te wizualizacje; muszę przyznać, że ta cała ezoteryka, której kiedyś rozpaczliwie się czepiałam, miała jakiś sens – doskonale działała. Zwizualizowane stare kaszaloty stawały się częścią mnie, częścią mojej nowej, nienawistnej wiary, i niwelowały mój zazwyczaj obniżony nastrój. Czułam, jak rośnie we mnie mój własny Kościół – stawałam się mistrzynią wstretu, apostołem Kościoła odrazy, i było mi z tym doskonale.

Odwróciłam się od nich i zwróciłam głowę w lewo. Z budynku uczelni wyszli pracownicy naukowcy: mężczyzna i dwie kobiety. Mężczyzna wyglądał jak plemnik – szary i obły, o licu – pewnie na skutek wielogodzinnego przesiadywania w bibliotekach – przygasłym. Do tego, mimo na oko młodego wieku, był całkiem wyłysiały, z głową jak sina, oczyszczona pod wodą pieczarka. Kobiety natomiast dobrane były na zasadzie ostentacyjnego kontrastu – jedna jak mrówka: chuda, zawinięta w siebie samą jak w cienki papier śniadaniowy. Na jej delikatnej zmarnowanej twarzy chybotwały się srebrne okulary, cienkie jak pajęczne nóżki. Druga przeciwnie: dynamiczna i dominująca, prząsna, gadatliwa, przewalająca się w swych kształtach jak stary tramwaj po torach.

Gdy się do mnie zbliżali, znów posłyszałam fragment ich rozmowy.

– Kurwa, nic mnie tak nie cieszy, jak te zmiany w polityce. Wreszcie da się załapać na jakiś grant – rzeki plemnik. – Kiedyś to za chuja nie było wiadomo, o czym tam warto pisać, i człowiek nie spał po nocach: dostanie czy nie dostanie? Teraz przynajmniej wszystko jasne. Rozumowanie jest proste: chcesz napisać projekt badawczy, wygoogluj dwa kluczowe słowa –

Tischner i Kościół. Ja w ten sposób dziś na przerwie obiadowej opracowałem parę niezawodnych tematów na wnioski grantowe. I oto one: *Tischnerem w środowiska gejowskie. Wpływ głośnego czytania dzieł Tischnera na emigrację wstrętnych patologii seksualnych z Polski, Tłumaczenie dzieł wszystkich Tischnera na język arabski jako metoda na powstrzymanie islamizacji Polski i początek polonizacji islamu, Tischner w życiu codziennym uzdrowionych gejów i lesbijek. Studia z ewolucji cudaków w Polaków, Polski Kościół i jego zbawcza rola dla Europy, bardzo zagubionej po śmierci Jana Pawła II, Tischner, Tischner, Tischner. 1001 sposobów na życie według nauk Tischnera dla początkujących, średnio zaawansowanych i ekspertów wraz z wydaniem obrazkowym.* – Parsknął, szukając uznania w oczach swych towarzyszek.

Mrówka nie wiedziała, jak zareagować, wydała z siebie jedynie parę dźwięków przypominających cichutkie pierdnięcie; prawdopodobnie był to odpowiednik śmiechu w kraju liliputów, gruba natomiast ryknęła śmiechem przypominającym serię wystrzałów z karabinu.

– Wydanie poszerzone o zastosowania Tischnera w warsztatach samochodowych oraz stolarstwie amatorskim! – dorzuciła, obdarzając plemnika paroma porozumiewawczymi spojrzeniami. Moim zdaniem ewidentnie na coś liczyła; rozumiałam jej ból, bo szanse na spełnienie tych nadziei były raczej marne.

Przechodząc obok mnie, udawali, że mnie nie widzą – zakneblowani poprawnością polityczną nieszczęśnicy. Poszli dalej i tylko jedna rzecz się jeszcze zdarzyła, jedna rzecz, która dała mi do myślenia: ta mrówcza baba

delikatnie, niemal niezauważalnie obróciła głowę w lewo, tak że jej wzrok na sekundę zetknął się z moim wzrokiem – i ja to dostrzegłam. To coś, co ten wzrok wyrażał, było jak sekretna pieczęć, hasło, które znają tylko wtajemniczeni – w tym spojrzeniu była solidarność, którą rozumieją wyłącznie brzydkie kobiety.

VI

Kiedy weszłam do sali, okazało się, że jest nas – prócz prowadzącej – tylko czworo. Ja, para jakichś ezoodszczepieńców, którzy wyglądali, jakby urwali się z obozu wegetariańskiego albo z planu filmowego *Świata dysku*, i jakiś zwiędły knur, który – chciałabym powiedzieć – lata świetności miał dawno za sobą, sęk w tym, że byłaby to nieprawda, „lata świetności” w ogóle nie wchodziły tu w grę. Wyglądał jak ilustracja z pozycji książkowej o zgubnych skutkach masturbacji i miałam pewność, że – podobnie jak Dorian Gray – nie zmieniał się od lat. Był to jeden z tych mężczyzn, którzy pasjonują się Lacanem, a po godzinach trzepią sobie do YouPorn. Był to jeden z tych, którzy wiedzą, że miłość to podstawowy przejaw dążenia bytu do dobra, ale nigdy jej nie zaznali.

Byłam nieco przerażona tą frekwencją; gdybym wiedziała, na pewno nie weszłabym do sali. Teraz było mnie zbyt dobrze widać, byłam widoczna jak budynek, który przetrwał atak bombowy. Kuliłam się w ławce, jak mogłam, ale wobec tylko trzech innych ciał rozsianych po różnych miejscach tej salki mogłam sobie pomarzyć o schronieniu. Byłam absolutnie przerażona – zawsze byłam absolutnie przerażona w sytuacjach, w których mogłam zostać wyrwana do odpowiedzi, bo niewiele rzeczy bardziej mnie przerażało.

Alicję również zaskoczyła tak niska frekwencja; jądro jej narcystycznej osobowości doznało małego uszczerbku. Stała tam na katedrze i na nas patrzyła, a ja zastanawiałam się, co to za zapach, który roztacza, prócz wysokiej klasy perfum nieznanymi mi z nazwy, bo nie znałam żadnych

zapachów perfum, znajomość zapachów perfum zawsze zdawała mi się nieznośną perwersją. Zresztą niezależnie od tego, jakich perfum użyła, ja i tak czułam inny zapach. Zapach neofity.

Patrzyła po nas chwilę, jakby intensywnie nad czymś dumiała, cicho stukając palcem o blat starego biurka.

– Skoro jest nas tak mało, to może dziś zorganizujemy alternatywne zajęcia – zaproponowała nagle. – Nie będę robić wykładu, spróbujmy po prostu sobie porozmawiać. Usiądźcie wszyscy bliżej – zakończyła słowami, które zawsze napełniały mnie grozą.

Ociągałam się, jak mogłam, aby najpierw zorientować się w rozmieszczeniu innych uczestników w przestrzeni i schować się choćby za fragmentem czyjegoś ciała, jeśli już nie mogłam za całą postacią. Okazało się to niemożliwe – nasza czwórka w pełni mieściła się w pierwszym rzędzie. Przycupnęłam więc jak najbardziej z boku, starając wtopić się w tło, z marnym skutkiem.

– Chciałabym lepiej was poznać – zaczęła Alicja, zaszczycając nas wyższościowym uśmieszkiem. Podobny musiał widnieć na twarzach nazistów w czasie najbardziej udanych parad. – Czym teraz żyjecie, jakie są wasze problemy? Zachęcam do otwartości.

Zapadła cisza, ale tylko na chwilę, pokolenie Facebooka doskonale wiedziało, co to otwartość.

– Ostatnio żyję tylko jednym: czy po trzydziestce naprawdę już tylko zastanawiasz się, co masz, żałujesz, że czegoś nie masz, i myślisz o tym, co powinieneś mieć? Gdzie te noce, które spędzałam na Wave Gothic Treffen, nie wiedząc tak do końca, czy słodzę herbatę cukrem czy kokainą?! Gdzie te tygodnie, w których budziłam się w jakichś podłych parkach albo mieszkaniach jak po nalocie policji, krzycząc: „wiśniówki!”?! Teraz już nawet nie noszę czarnych ciuchów, bo źle się zgrywają z kolorem wózka! –

Pożaliwszy się, ezoteryczna koleżanka opadła na krzesło, wyglądało na to, że do pełni szczęścia brakuje jej tylko masala chai zaprawionej spirytusem.

– Jak pani ma na imię? – zapytała Alicja. Widziałam, że sili się na jaką taką sympatię, ale jej uszy z wyższych sfer doznały kontuzji.

– Freya – rzuciła nonszalancko dziewczyna. – Znaczy kiedyś to Kaśka, ale teraz już tylko Freya, odkąd dokonałam aktu apostazji i przeszłam na wiarę w Wiedźmina.

– Och – powiedziała po chwili konfuzji Alicja. – Zatem pasjonuje się pani fantasy. Czy zgodziłaby się pani z twierdzeniem, jakoby cały ten gatunek eksploatował mit arturiański?

Pytanie zadane było z pozorną przychylnością. Wyraźnie widziałam pełen dezaprobaty wzrok Alicji krążący po tej nieszczęśnicy. Był to wzrok mówiący ni mniej, ni więcej, tylko: bardziej by do ciebie pasowało Fleja, zważywszy na garderobę. Otóż Freya miała na sobie coś pośredniego między sari a pajęczyną. Długi powłóczysty szary kawał materiału gdzieniegdzie fantazyjnie przełamany dziurą. Osobiście podejrzewałam, że pochodzi on z krainy zasłon, do której wdarły się mole. Frapującą konstrukcją Freya miała również na głowie. Jej fryzura musiała się zazwyczaj składać z grzywki przysłaniającej oczy i długich włosów podzielonych na pół na środku głowy i zwisających wzdłuż policzków jak dziwaczna czapka uszanka. Tym razem jednak postawiła chyba na oryginalność: grzywkę pozostawiła na swoim miejscu, na czubku głowy uwiła zaś coś jakby gniazdo dla bocianów – wielkie, solidne jak forteca. Właściwie obawiałam się, że tam naprawdę mogą żyć jakieś ptaki, chować się w kopule tej budowli, przemykać między kolejnymi zwojami i popiskując z radości, dawać tam początek kolejnym generacjom, a wreszcie wyfruwać z tej kryjówki w najmniej spodziewanym momencie, na przykład podczas obchodów nocy Kupały, ożywione widokiem tysięcy wianków, i latać niczym odrzutowce nad głowami zgromadzonych, zdezorientowanych wskutek nadużycia grzybów. Grzywka Frei opadała jej na oczy tak bardzo, że musiała ograniczać pole widzenia jak końskie okulary. I to dosłownie, a – jak sędzę – Alicja mogła myśleć, że dotyczy to

wyłącznie światopoglądu jej kursantki.

– Tak, jasne... – powiedziała niepewnie Freya, widać było, że sięga do dawno nieodkurzanych zakamarków umysłu. – Do głębi... To właśnie najbardziej kręci mnie w *Wiedźminie*, jak zgłębia się w nim mit – przesunęła krzesłem po podłodze, potwornie nim zgrzytając – ...jański.

Alicja szykowała się do dalszej dyskusji, widziałam, że w głowie migocze jej już mitologia celtycka, ale wtedy znów zdarzyło się coś niespodziewanego, co pomieszało jej szyki. Nikt zresztą nie mógł tego przewidzieć. Z kąta sali odezwał się on – Dorian Gray. Po pierwsze, zaskoczył mnie jego głos – przerażający, głęboki, niski; był to głos osoby wołającej o egzorcystę. Nie mniejszym zaskoczeniem była treść jego wypowiedzi, w sumie nie zdziwiłabym się bardziej, gdyby mówił po aramejsku.

– Od dawna ozywiam się szczególnie na myśl o jedzeniu. Delikatna woń smażonych na maśle zielonych szparagów owiniętych cieniutkim jak bibułka listkiem szynki prosciutto, skropionych kroplami złotej włoskiej oliwy, charakterystyczny posmak soczystego mięsa krabów maczanego w czosnkowo– ziołowym sosie, z którego niczym jutrzeńka nieśmiało wyłania się uwodzicielska nuta goździków... Aromatyczna ciepłutka pierś kaczki prosto z piekarnika, roztaczająca się wkoło kusząca aura dobrze przyrumienionej skórki, obtoczonej w karmelizowanym cukrze, aksamitny sos ze świeżych malin i ozywce, pobudzające uderzenie pikantnej tajskiej zupy, w której ostre chili wymierza we mnie cudownie mocne pchnięcie, złagodzone jednak od razu przez kojący smak mleka kokosowego... I do tego oczywiście wino, wino, lejące się godzinami wino, niekończący się strumień rozkoszy! – zakończył, patrząc z błogą miną na Freyę, która również była rozmarzona, wyglądała, jakby oddawała się wspomnieniom o rajdzie na jakiejś mistycznej buławie.

Hm, a więc nie trzepanie do YouPorn – pomyślałam ze zdziwieniem. Straciłam całą przenikliwość.

Miałam wrażenie, że Alicja zastosowała wobec tej tyrady umiejętność zapadania w letarg, gdy tylko ktoś wypowiada naraz więcej niż dwa zdania, których nie chciała słyszeć. Wypracowała ją pewnie w małżeństwie – nie żebym się na tym znała, ale tak przypuszczałam. Dzięki temu jej poziom emocjonalny się nie obniżył. Całą opowieść nawiedzonego chłopaka przetrwała niby w zimowym śnie, nie przyswajając z niej ani słowa i gapiąc się w kok Frei z takim zaangażowaniem, jakby miała nadzieję znaleźć w nim Świętego Graala.

Patrzyłam na nią zafascynowana – jak teraz wybrnie z tej sytuacji, powinna przecież teoretycznie, analitycznie podsumować jakoś wypowiedź swojego studenta. *Food porn, food porn* – podsuwałam jej w myślach, patrząc w nią uparcie i intensywnie, tak, jak patrzy się na przedmiot, który chce się przesunąć siłą woli. Tym razem jednak z przykrej sytuacji wybawiła ją wylewna Freya.

– Wszystko dobrze, tylko to mięso... – Skrzywiła się, a Alicja chyba odzyskała czujność. – Pamiętaj, że wszyscy stanowimy część Matki Gai. W każdym razie, choć trzydziestka ograbiła mnie z figury i wolnego czasu, o który trudno, kiedy musisz robić dziecku za mleczarnię, pogotowie i lokaja, muszę powiedzieć, że nabrałam teraz większej łączności zżywioną i nieżywioną materią świata. Bardziej również rozumiem ludzi, wyraźniej widzę ich aury. Żałuję tylko, że nie mogę się wyrwać na żadne odosobnienie, żaden obóz medytacyjny... Chyba że na trzy godziny, bo tyle wynosi przerwa pomiędzy kolejnymi karmieniami Mai. A z łezką w oku wspominam nasz ostatni obóz medytacyjno-żeglarski. Pamiętasz? – zapytała swojego partnera.

Alicja zwietrzyła chyba niewygodny temat, bo odnosiłam wrażenie, że nad stołem rozpaczliwie próbowała dawać jej sygnały, żeby go nie poruszała. Niestety, Freya nie dostrzegała jej wzroku, ponieważ swoim błędziła po odmętach Akashy.

– Na obozie żeglarskim, jak to na obozie żeglarskim, trochę pływaliśmy,

trochę braliśmy kwasa, ale przede wszystkim nawiązywaliśmy nowe znajomości. Szczególnie w pamięć zapadł mi Jacek, osoba niezwykła, z niesamowitym słownictwem. Zdecydowanie na wyższym poziomie rozwoju. Pamiętam, że kiedy siedzieliśmy na pokładzie, mocząc palce w krystalicznie czystej wodzie, w której tafli odbijała się prastara historia świata, zapatrzył się na mnie i rzeki, że podziwia witraże, które wplątały się w moje włosy. Nazywał mnie Lwem, mam podejrzenie, że chodzi o moje totemiczne zwierzę, ale muszę to jeszcze potwierdzić u wróżki Barbary. Godzinami rozprawialiśmy o jaszczurach rządzących światem i nadciągającej zagładzie związanej ze złym poziomem ozonu w atmosferze, ale wciąż miałam wrażenie, że Jacek przebywa jakby za szybą. Niby mnie słuchał, ale czasem, kiedy mówiłam o zbrodniczej działalności Burger Kinga czy wzruszających postach na forum „życie nie umiera”, paradoksalnie się śmiał, a jego oczy przypominały dwa szklane koraliki. Podobnie gdy chciałam coś zakombinować z tobą – Alicja wywracała już oczami, jakby była zdesperowanym rozbitkiem chcącym wezwać pomoc za pomocą rozdartej koszuli – to Jacek oddalił się na sam dziób łódki i stał tam w jednej pozycji jak statua, obojętny na pyszny krem z selera i potrawkę z rzepy, obojętny nawet na mnie, kiedy skuliłam się na zimnych deskach pokładu w pozycji embrionalnej i błagałam go o odrobinę zainteresowania, obiecując mu wszystko, łącznie z bębniem z kozłej skóry, który na Allegro chodził wtedy za naprawdę solidne pieniądze. Nie żebym się do nich przywiązywała, uważam, że to absurd, ot, garść karteczek, które akurat w naszym kręgu kulturowym, w naszej kolebce cywilizacji mają jakąś wartość, ale on był niewzruszony i zmiękł dopiero kiedy... no wiesz, kiedy żeśmy zrobili razem, we trójkę, tę sesję tantry, co obudziła drzemiące w jeziorze ryby! – Freya zaśmiała się głośno na samo wspomnienie i nieco się rozmarzyła.

Zapadła cisza. Przerwało ją chrząknięcie Alicji, która trochę się jakby zakrztusiła. Partner Frei nie zdradzał tymczasem żadnych objawów szoku,

wszak przeszłość jego partnerki, duchowej żony, była mu dobrze znana, nie takie rzeczy widział, gdy wdzierał się do jej namiotu na Wave Gothic Treffen.

Gruchotrzep, który nim nie był, tylko uśmiechał się błogo, patrząc w przytłoczoną ogromnym kokiem twarz Frei.

– I co, Jacek zrobił patent? – zapytała wreszcie Alicja z tak zaciśniętymi ustami, jakby przez przypadek sklepiła je klejem minutką.

Wszyscy wiedzieliśmy, że to pytanie retoryczne. Ja zresztą byłam myślami już nieco gdzie indziej – siedziałam jak na szpilkach, bo przerażało mnie, że ta kolejka zwierzeń może dojechać i do mnie. Dlatego szukałam w głowie jakiejś kwestii, którą mogłabym poruszyć, czegoś, co mogłabym rzucić na forum, by wymazać się z pamięci tutaj zgromadzonych jako ta, która jeszcze nic nie powiedziała.

– Jak masz na imię? – rzuciłam do Doriana Graya.

– Alan.

– Marianna – powiedziałam tak, by usłyszeli to również inni, co dość mnie spłoszyło, ale również wyluzowało, bo czułam się, jakbym odklepała obowiązkową część konwersatoryjną i teraz mogła znów skupić się na słuchaniu i obserwacji.

Alicja wyglądała jeszcze trochę tak, jakby siedziała w wannie z wodą doprowadzoną do wrzenia, ale widać było, że zbiera się w sobie, by jakoś zatuszować niezręczną sytuację, do której doszło za sprawą wynurzeń Frei. Nie tak wyobrażała sobie popołudnie filozofów.

– Proszę państwa, spróbujmy może pomówić chwilę o sytuacji na świecie, bo jest ona katastrofalna. Do władzy dochodzą populiści...

– Świat to dobry temat! – zapaliła się Freya. – Razem z Freonem zwiedziliśmy ostatnio spory kawałek!

– Freya i Freon? – Alicja uniosła lekko brwi; zdziwienie przesłoniło jej nawet irytację związaną z tym, że rozmowa znów zbacza w złym kierunku. Dobrze to rozumiałam, już ją przejrzałam. Wszystkie tematy dotyczące życia

codziennego lub osobistego powodowały, że czuła się źle. Dobrze czuła się wyłącznie w tych, w których używając wysublimowanego słownictwa, mogła błyszczeć, górować nad innymi jak najcenniejsza bombka choinkowa, dobrze się czuła wyłącznie wtedy, gdy nie mówiła, lecz wygłaszała, gdy nie była bliska, lecz elitarna.

Taka właśnie próbowała być i teraz, kiedy kontemplowała swoje paznokcie i sznurowała usta, dyskretnie się od nas odsuwając i zyskując pewność, że nie jesteśmy z jej kasty. Jej dłonie były białe i delikatne niczym koronkowy obrus, którym musiała nakrywać stół jej babcia z powstania, dzielna łączniczka, jak o niej zawsze mówiono z odpowiednią dozą nabożności i patosu. Jej usta były czerwone jak poziomki, jakie lądowały na tym stole w każdą niedzielę w kryształowej salaterce, można było brać tylko po jednej i długo przeżuwać, niby podczas ćwiczenia uważności z rodziną. Przy tym samym stole siadała z rodziną, by czytać *Wojnę i pokój* na głosy. Tym samym wzrokiem, pełnym zadumy, którym nas teraz obdarza, obdarzać musiała i swych stryjów, długo rozwodzących się nad kolejnymi pobytami w Paryżu, kolacjami z Giedroyciem, kolacjami z legendarnym kurierem z Warszawy, nad niebezpieczną akcją powstańczą, kiedy to ulicami miasta wieźli Żyda dla niepoznaki całutkiego owiniętego w bandażę, nad odnalezionymi we Włoszech barokowymi relikwiarzami, wspaniałą kolekcją ceramiki mesapijskiej oraz bolesnym zderzeniem z sarkofagiem mieszczącym ciało świętego. Takim samym wzrokiem musiała obdarzać rachityczne stare ciotki rozprawiające o swojej powstańczej diecie złożonej z psów, o narzeczonych, którzy byli lotnikami, o ich wyznaniach miłosnych odręcznie spisanych na wytartych kartach. Takim samym wzrokiem, sugerującym mobilizację myślową, musiała obdarzać krewnych w chwilach, gdy rozmowa schodziła na nową, oburzającą wersję *Madame Butterfly*.

Pierdolona arystokratyczna królowna. Pierdolona arystokratyczna królowna walcząca o prawa robotników w okularach od Prądy.

– Chcecie zobaczyć foty? – z rozmyślań wyrwała mnie Freya, która

postanowiła podzielić się z nami swoimi osiągnięciami podróżniczymi, jakby współcześnie było to cokolwiek, co można zaliczyć do osiągnięć. Nie czekając na odpowiedź, dobytego swojego smartfona. – Patrzcie! – Podsunęła nam pod oczy aparat i wybrała ikonę „zdjęcia”. Na pierwszym z nich była razem z Freonem. Wyglądali jak na pamiątkowej fotografii z polowania. Ona zwisała z jego ramienia niczym ustrzelona sarna, on trzymał ją mocno włochatą ręką z błogim, pełnym samozadowolenia uśmiechem. Za nimi widać było modre, bezkresne, spokojne morze, z którego – jak na zawołanie – wyłaniała się rajska wyspa. Obrazek był tak sielankowy, że wyglądał, jakby został stworzony przez automatyczny generator idealnych zdjęć z egzotycznych wakacji.

Kolejne były utrzymane w podobnej tonacji, ale kiedy już miałam zacząć ziewać, doczekaliśmy się pewnego urozmaicenia. Następne zdjęcia wyglądały bowiem tak, jak musiały wyglądać te dokumentujące wyjazdy białych na odległe kontynenty we wczesnej fazie postkolonialnej. Freya i jej partner stali pośród autochtonów, uśmiechając się do nich niepewnie, jak uśmiecha się czasem do spotkanych na mieście Cyganów, przyspieszając kroku. Ich spojrzenie uciekało przed obiektywem, dyskretnie wędrując w kierunku pozostawionych tuż obok bagaży. Freya chyba to dostrzegła, gdyż nagle rzuciła: „Oj, tu chyba nieszczególnie wyszłam”, i szybko zamknęła folder.

– A gdzie byliście? – zapytał uprzejmie Alan. Alicja milczała. Podejrzewałam, że większe wrażenie zrobiłyby na niej zdjęcia z Grecji, kolebki filozofii. Mogłaby dzięki temu rzucić coś o kryzysie finansowym lub uchodźczym albo wyrecytować coś pochwalnego na temat jej lewicowych władz.

– W Azji – odparła Freya. – To dziś jedyny możliwy kierunek. Afryka jest zbyt niebezpieczna, Ameryka jest jak Europa, a Europa... No wiesz, co my tu możemy zobaczyć, kościół zmieniony w klub nocny?

– Moglibyście z tego skorzystać. Gdyby tylko organizował wieczory

„dwa plus dwa”. – Nie wiem, jak to się stało, ale to powiedziałam, a chciałam to tylko pomyśleć. Przeraziłam się nie na żarty. Spojrzałam na Alicję, ale zdawała się błędzić gdzieś myślami i chyba nawet mnie nie usłyszała. Freya i Freon usłyszeli za to dobrze, ale zupełnie nie zrobili z tego problemu.

– Kochana, już dawno z tego wyrośliśmy – odpowiedziała niewzruszona Freya. – Szukanie boskości poprzez emanację seksualnej energii kompletnie nas już nie rusza, to dobre dla dwudziestolatków... Szczególnie gdy biust emanuje ci pokarmem. – To mówiąc, dotknęła lewej piersi, która rzeczywiście wyglądała, jakby zaraz miała eksplodować. Obfitością mlecznego biustu Freya z pewnością zbliżała się do jednej z najbardziej inspirujących ją bogiń.

– Wróciliśmy do korzeni – dodał małomówny partner Frei. – Joga, medytacja zen... Może kiedyś łyk ayahuaski? Na Wielkanoc? – Rzucił błagalne spojrzenie w kierunku Frei.

– Na plan pierwszy wychodzi jednak zgłębianie kosmologii *Wiedźmina* – ciągnęła Freya, ignorując niewygodne pytanie. – Nie zdajecie sobie sprawy, jak bogate jest to dzieło, ile ma poziomów... Choćby ta cała sprawa z tym mitem jańskim. – Spojrzała na Alicję niczym współniczka w zbrodni. –

A wracając do podróżowania, to cóż może nam zaoferować nudna zateizowana Europa? Oczywiście oprócz przejazdu po mnie ciężarówką podczas jakiejś masowej imprezy, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy mnie to tak bardzo kręci. A z bardziej oldskulowych rozrywek to kiedyś owszem, jakiś Amsterdam, jakiś hasz... Nie powiem, Freon znalazł kiedyś świetny koks na hiszpańskim wybrzeżu. – Spojrzała z uznaniem na swojego partnera. – No ale teraz to wiecie, z białych proszków już tylko zasyпка dla dzieci. – Westchnęła znacząco.

– A co z Australią? – Alicja jakby przebudziła się z zimowego snu. – To interesujące miejsce. Konfrontacja z Aborygenami, skradzionym pokoleniem, ofiarami bezpardonowej białej supremacji, to...

Bardzo byłam ciekawa refleksji pani doktor na temat tejże konfrontacji, lecz Freon okazał się raptusem.

– Hm. – Wzruszył ramionami. – Nie mamy prawa jazdy na kangura! – Zaśmiał się chrapliwie, okraszając zgromadzone na stole przysmaki kropelkami swej ezoterycznej śliny, a Alicja zacisnęła wargi niemal do krwi i opadła na swoje siedzenie bez życia, jak zmięta chusteczka.

– Może jeszcze kiedyś Wschód, mityczny Wschód... – rozmarzyła się Freya. – Zachód Europy jest taki wulgarny, taki oklepany. Paryż, Wenecja, Rzym! – Prychnęła. – Wujek ci mówił, że tam jest pięknie? Widział to z okien autokaru? Montmartre spreparowany pod turystów! Chcesz się najebać absyntem? Zaproponują ci lampkę wina za pięćdziesiąt euro! Gałka lodów? Dwadzieścia euro. Chcesz się przejść po jakiejś starodawnej ulicy? Mogą ci wybrukować metr za sto euro. Może rejs gondolą po Wenecji? Jej zapach powróci do ciebie, gdy będziesz spuszczał wodę w toalecie. Już wiem, Luwr! To całe żenujące, masowe, zabierające pół dnia rytualne stanie w kolejce do Luwru tylko po to, żeby zobaczyć jakieś gówno warte bohomy namalowane na zamówienie przez spedalonych pijaków, hojnie opłacanych przez marszandów, z czego zresztą ten główny bohomaz jest obwarowany jak Hannibal Lecter i zaprawdę powiadam wam, lepiej go zgooglować w internecie. To całe wreszcie plażowanie w kurortach, gdzie jedynym stykiem z prawdą jest wypływające na brzeg ciało uchodźcy! *I mean, seriously?!* Jediną opcją jest Wschód. Te pustynie, stepy, ta nietknięta ludzką stopą tkanka obsranej przez zwierzynę ziemi, to pierwotne oddawanie moczu florze z braku toalety... Moglibyśmy z Freonem urządzić sobie bitwę na belki z łemkowskich chat, moglibyśmy pohandlować trochę konserwami w jurcie w Mongolii... To takie prawdziwe. Gdzież kryje się prawda o nas samych, jeśli nie tam, wśród tych parcianych worków, które są jedynym okryciem dla spracowanej skóry? Gdzież ona drzemie, jeśli nie tam, wśród tych glinianych naczyń z dziurawym dnem, w których te piękne dusze mimo wszystko, heroicznie, gotują zupy... – Freya zamilkła, a my

możliśmy przez chwilę jeszcze śledzić opadający dookoła niej kurz, który wzbiła.

– A gdzie dokładnie byliście w Azji? – zapytał po chwili Alan.

– No, na tym... – Freya się zawahała. – Znaczący najpierw oczywiście w Tajlandii, a potem... – Usilnie szukała czegoś w zakamarkach pamięci. – No, w tym... No, jak się nazywało to, gdzie były te kozy? – Spojrzała na partnera jak na ostatnią deskę ratunku.

– No, generalnie w Azji – uciął. – Co tu się rozvodzić. Czy to Dżyngischan, czy Propan-Butan, wszędzie jest podobnie. Bieda. Wszzechogarniająca, rozpleniona, majestatyczna bieda. Widzieliśmy, jak zagłąda ludziom w twarz i nie znajduje tam nic prócz godności! Ci prości ludzie noszą w sercach ufność i godność, emanują nimi jak pierwotną wiarą. Ci biedacy z Azji są ubodzy, lecz radośni. Nie żądają niczego ponad to, co już mają. A mają tylko kozę. Ta koza stanowi cały ich dobytek, jest im mlekiem, mięsem i przyjacielem. I jeszcze czyści obejście z chwastów.

– Twarze tych kobiet pełne są uroczych zmarszczek. Nic zupełnie sobie z nich nie robią – dodała Freya. – Niczego nie stosują, zero chemii.

– Jest może trochę chemii z rozkładających się odchodów psotnych małpek, ale to by było tyle – dorzucił Freon. – Poza tym dziewiczy rejon. Szczególnie w jedzeniu. Sam kokos, prosto z drzewa, otwierany na oczach klientów... Raz to mi spad! na łeb, kurwa, do dziś mam guza.

– Wodę z kokosa możesz wypić albo się nią umyć, jest dobra na cerę. Na co dzień kupuję w puszcze, taką samą pije Madonna – dorzuciła rozentuzjasmowana Freya.

– Kokos... aromatyczny kokos... – rozmarzył się Alan. – Zupa dyniowo-kokosowa albo tajska ze świeżutkimi, ledwie co złowionymi o świcie krewetkami o delikatnych, miękkich ogonkach. Kilka jędrnych listków kolendry, złociste główki szalotek... Nie wiem, czemu jedzenie ma dla mnie taką moc. Chciałbym spróbować wszystkiego, co gdzieś zobaczyłem, o czym przeczytałem, co mi kiedyś smakowało lub co opracowałem sobie

w głowie jako tajny kulinarny plan. Wiecznie o tym myślę. Czasem nawet budzę się w nocy i doznaję wizji. Doznaję wizji kaczki w malinach. Potem mam polucje.

Uniosłam się nieco na krześle. Nie tak źle z moją intuicją. No, dawaj dalej, gruchotrzenie. Ale ten, jakby lekko zawstydzony, zamilkł i odpłynął w sobie tylko znanym kierunku – może szybował właśnie w przestworzach na wielkiej pieczonej kaczce.

Tymczasem Alicja wyglądała tak, jakby ta wielka pieczona kaczka się z nią zderzyła. Widać było jednak, że zbiera siły, szykuje się do werbalnego ataku. Poprawiła się na krześle, chrząknęła, odgarnęła z czoła wypielegnowany kosmyk i rzuciła pewnym siebie, wystudiowanym tonem:

– Proszę państwa, część wprowadycyjną zostawmy już za sobą. Przemysł czasu wolnego to, owszem, interesujące zagadnienie, ale teraz chciałabym skupić się na czymś innym. Interesują mnie państwa poglądy na temat Kościoła. Chciałabym zaproponować szybką debatę na ten temat. Bez niej nie wyobrażam sobie późnej nowoczesności. Uczciwa, otwarta debata to jedyne, co może ochronić nas przed fundamentalizmem. Atrakcyjny światopogląd uwodzi. Otwarta debata przed tym chroni. Najważniejsze to dyskutować w duchu tolerancji. Otóż nienawidzę Kościoła. Nie zapominajmy nigdy, że Kościół to instytucja. Nie ma na tej ziemi instytucji, która dobrowolnie chciałaby oddać władzę. Z chrześcijaństwem jest dokładnie tak samo jak z islamem: gdyby nie było polityczne, nie opierało się na władzy, byłoby niczym. Stąd wzrastająca pogarda dla papieża Franciszka, eksperymentującego z chrześcijaństwem, które nie jest władzą. To długo nie potrwa – zakończyła triumfalnie, wpatrując się w twarze zgromadzonych niczym mówca na wiecu. Z niecierpliwością czekała polemiki.

– Okej, okej, przekonała nas pani! – rzucił Freon. – Nie zdziwimy się, gdy podadzą mu niebawem opłatek z polonem. A gdzie jedziecie na wakacje? – Rozejrzył się po nas.

– Ja jeszcze nie wiem – rzuciłam szybko cichym głosem, żeby już mieć to za sobą. Po prawdzie wiedziałam, że raczej nigdzie – zarobki freelancerki pozwalały mi jedynie raz na jakiś czas przejechać się metrem.

– Ja też nie – podchwycił Alan. – Strach gdzieś jechać, jeśli chcesz wrócić do domu w jednym kawałku. Tunezja? Okej, jeśli lubisz powroty do domu w plastikowym worku. Izrael? To samo. Grecja? Nie wiem, czy to Grecja czy obóz uchodźczy! Tak strasznie goniliśmy tę Europę... Ale gdy już prawie dobiegliśmy do mety, okazało się, że u jej wrót stoją te oszołomy z maczetami. A cała Europa już w sumie zalicza zwijkę. Chcieliśmy dobrze, ale wyszło jak zwykle.

– Tutaj ma pan rację. – Alicja zwietrzyła dla siebie szansę. – Mnie również wydaje się, że za obecnym, zresztą w moim obozie politycznym, trendem obrony radykalnego skrzydła islamu kryje się li tylko cikliwy sentymentalizm...

Zastanawiałam się, jak sobie radzi z kupnem kebabów, wyobrażałam sobie, jak z odrazą sunie wzrokiem po korpusie stojącego przy ruszcie Ahmeda, szukając pod jego koszulą ładunku wybuchowego, jak odbiera od niego zamówienie, uważając, by nie doprowadzić do styku ich palców – jej cienkich i delikatnych jak nóżki flaminga i jego ohydnych, grubych jak kiszki, a jeszcze owłosionych; do tego brudnych, śmierdzących owcą. Po chwili namysłu uznałam jednak, że czego jak czego, ale kebabów to ona na pewno nie je.

W ciszy i z fascynacją kontemplowałam jej twarz i widziałam jak na dłoni, że kolejna teoria właśnie odłączyła się od wielkiej bazy teoretycznej zainstalowanej w jej głowie i teraz płynie prędko w stronę jej pięknych ust niczym gotowa do ataku łódeczka. Na skutek dywersji Frei utknęła jednak, nieszczęsna, gdzieś w gardle, zawisła na strunach głosowych i dyndała tam jak wisielec.

– Musicie jechać do Azji! – krzyknęła bowiem Freya. – Nepal, Tybet... Ludzie są tam takimi pacyfistami...

– Szczególnie Chińczycy w Tybecie – mruknełam do siebie.

– Nepal?! – oburzył się Alan. – Może i ludzie są tam pacyfistami, ale na pewno nie ruchy tektoniczne! One mają mocno wojownicze nastawienie!

– Co? – spytała Freya z błogim uśmiechem i widać było, że jedna z kulek kręcących się w jej głowie jak w komorze maszyny losującej wpadła zupełnie nie do tej dziury, do której powinna. – Nie wiem, czy pamiętacie, że trzeba jeść zgodnie z grupą krwi – powiedziała. – Badala ją pani? – zwróciła się do nieszczęsnej Alicji. – Powinna pani zrobić dokładne badanie z włosów. Określi ono, jakich pierwiastków brak w pani organizmie, co pozwoli pani to zmienić. Stawiam pięć złotych, że brak pani magnezu! Jest pani taka nerwowa, blada, jak gotycki upiór! Może żyje w pani jakaś wiktoriańska zjawa. W sumie to też można by sprawdzić, tylko akurat nie z włosów, to badanie tego jeszcze według mojej wiedzy nie obejmuje. W ogóle nie mamy świadomości, że każdemu z nas brak dziś magnezu. Wypłukuje go dosłownie wszystko, czy to zwykła kawa, czy nawet, ku mojemu rozczarowaniu, prozdrowotny napar z pokrzywy... Jest wiele programów radykalnej odnowy, które mogłabym wam polecić. Jeśli dacie mi swoje mejle, podeślę linki. I zawsze trzeba pamiętać o regularnym wypróżnianiu. Tak, tak, wiem, że to wstydlive, ale przecież wszyscy jesteśmy ludźmi, a wypieramy to, jak ważna jest regularność wypróżnień. Optymalna pora to szósta piętnaście rano. Zdaje się, że wcześniej, ale o tym właśnie mówię: odnowa organizmu jest odnową całościową, należy zmienić dietę, nawyki, czasem nawet partnera. Jeśli ktoś przykładowo opiera się picciu naparu z czystka, z drożdży albo wywaru z siemienia lnianego, to już od razu widać, że nie jest to osoba, która miałaby na nas korzystny wpływ, i lepiej się od niej odciąć niż tkwić w takim toksycznym układzie.

Alicja siedziała z szeroko otwartymi oczami. Widziałam, jak maszeruje przez nią wzburzona husaria, jak szykuje na nas atak. Ale wreszcie uspokoiła się nieco, zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

– Te wszystkie diety, kasze jaglane, owsianki to nowa religia, wspieranie ciała w walce o niemożliwą nieśmiertelność. Oceny swojego stanu zdrowia dokonuję na podstawie badań lekarskich, nie jakichś podejrzanych hochsztaplerskich praktyk. A co do możliwości zmiany, to jedyną możliwością, by coś w sobie zmienić, jest dokładne przyjrzenie się sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Trzeba ją zrozumieć, przeanalizować. I podjąć decyzję o głębokiej przemianie.

Zastanawiałam się, czy ma to wgrane na płytę główną, bo ten tekst o przemianie również często powtarzała na wykładach.

– Zupełnie zapomniałem. Zupełnie o tym zapomniałem! – zaczął z innej beczki Freon i choć nie wiedzieliśmy, o czym zapomniał, wszyscy chyba zgadzaliśmy się co do tego, że brzmi to jak groźba. – Zapomniałem, że zawsze w sytuacjach towarzyskich powinno się zagrać w marzenia! To bardzo proste. Każdy szybko mówi, o czym właśnie marzy. Licencja pilota! – wrzasnął. – Pierwszy!

– Sushi u mistrza Jiro! – podłapał Alan.

– Tête-à-tête z Wiedźminem! – krzyknęła Freya. – No, ewentualnie lot w kosmos.

Seks – pomyślałam. No, ewentualnie trzy tysiące złotych co miesiąc na koncie – takie samo odległe marzenie jak jej lot w kosmos. Ale że nie jestem szczególnie otwarta, powiedziałam tylko: „wygrana w totka”. Na ich twarzach dało się zauważyć lekkie rozczarowanie, ale rozczarowanie na twarzach tych, którzy na mnie patrzyli, którzy mnie słuchali, to był mój chleb powszedni.

Wszyscy wyczekująco spojrzeli na Alicję.

– No cóż. – Chrząknęła. – Mój elementarny kontakt z rzeczywistością powoduje, że... – wkoło słyhać było syk entuzjazmu ulatującego z zebranych – ...nie mam marzeń. Marzenia, państwa marzenia są tylko odbiciem dążeń konsumpcjonistycznych, stanowią one lustrzane odbicie społeczeństw, w których państwo żyjecie. Marzenia dobre są dla

nieszczęśników w typie owego historyka, od którego zaczęła się epoka nowoczesna, czyli Don Kichota...

Freon głośno ziewnął. Alicja zacisnęła usta, przerwała i wyjęła z torebki najnowszy model iPhone'a.

– O, już minął nasz czas – powiedziała jak terapeuta kończący sesję, i byłam pewna, że nigdy nie czuła takiej ulgi.

Wydawało mi się jednak, że pewna rzecz dawała jej teraz pocieszenie. Wszak człowiek spełniony to nie człowiek głęboki, jak twierdzili niektórzy filozofowie. Dzięki trzymającemu ją w żelaznym uścisku niezadowoleniu mogła czuć się wygrana w sensie duchowym. Jedno było natomiast pewne – to pierwsze i ostatnie spotkanie integracyjne naszego kółka filozoficznego.

– Musi się odblokować – rzuciła do mnie Freya, gdy spotkałyśmy się w drzwiach. – Chyba ma męża, ale przydałoby się, żeby czasem zaprosiła do łóżka kogoś trzeciego. – Wyszła, obejmując Freona, zadowolona z siebie. A Alicja stała tam, na katedrze, czekając, aż opuścimy salę, z miną tak nietęgą, jakby Freya ogłosiła, że właśnie musi dokonać regularnego wypróżnienia na jej dębową podłogę.

VII

Na następne zajęcia przybyłam jak na skrzydłach – kurs filozofii życia i jego sensu stał się najdonioślejszą rozrywką w moim życiu, pozbawionym zarówno rozrywek, jak i filozofii, a przede wszystkim sensu. Kiedy weszłam do sali, Alicja już tam była. Stała na katedrze i rozkładała notatki, papiery. Ewidentnie jednak po ostatnich zajęciach zaszła w niej raptowna przemiana. Bez dwóch zdań Alicja, podobnie zresztą jak cała Europa, zraziła się do integracji i prowadziła obecnie politykę *splendid isolation*.

Stała w swym strategicznym miejscu, objęła nas władczym spojrzeniem jak dyktator zgromadzonych na wiecu wyznawców, zadowolona z frekwencji. Odgarnęła z czoła piękne ciemne włosy, dyskretnie chrząknęła i zaczęła wykład. Nie obyło się bez mantry o konfrontacji z samym sobą i innych jej mantr. Były to: ludzkie splątanie, ludzkie splątanie, ludzkie splątanie.

Choć sama czułam się splątana jak węzeł gordyjski, jej słowa w niczym mi nie pomagały. Z jakiegoś powodu miałam pewność, że pod nimi nic nie ma – że gdyby obrać ją z tych słów, zostałyby puste miejsce, nic by się spod nich nie wyłoniło. Wyuczyła się ich i teraz nimi obracała jak piłkami do zonglerki, zręcznie i efektownie, ale kompletnie mechanicznie.

Znów próbowałam jej słuchać. A ona dalej swoje: Boga do cna wytrzebić, e– Boga na bitcoiny także nie należy wprowadzać, pola i łąki pod uprawę jagód goji przeznaczyć, hymnu polskiego zakazać. No nie można tak jechać na wstecznym.

Referowała, czym jest życie, a ja znów przypomiinałam sobie swoje. To, jak

w ostatniej klasie liceum tańczyłam poloneza; oczywiście nie miałam pary, ale mi ją przydzielili – ludzkie miłosierdzie nie zna granic. Czułam się jak jakiś relikwiarz nie tak dawno minionego ustroju, w którym każdy miał z urzędu dostać swój przydział dóbr. No więc i ja go dostałam, swój przydział ludzkich dóbr – panie nauczycielki nakłoniły jakiegoś nieszczęśnika, by się ze mną zbratał, ponieważ sam okazał się na tyle trefny, że nie zorganizował sobie pary na mocy indywidualnego działania służącego łączeniu się w pary; choć był jeszcze młody, powoli szybował w kierunku osób społecznie przegranych, społecznie niepoprawnych. Inni umieli się tłoczyć wokół atrakcyjnych kobiecych ciał jak sępy nad padliną, on nie. Nie umiał wybierać co atrakcyjniejszych kąsków i wydzierać ich innym, musiał więc dostać mnie – ten wątpliwy ochłap z przydziału. Zastanawiało mnie to, że w trwającym całe lata pędzie ku usprawnieniu ludzkiego życia było coś, co wiecznie mi się wymykało – kwestia pożądania. Nikt nie mógł sprawić, by ktoś mnie pożałował. Mógł kazać komuś ze mną zatańczyć, przydzielić mi parę, ale nie mógł spowodować, by moje ciało cokolwiek w nim wzbudziło. Oczywiście słyszałam o tym całym podziemiu fascynującym się ohydą, ale zastanawiałam się, czy mogę wzbudzić w kimś pożądanie mainstreamowe – czy postępowanie znajdzie kiedyś i na mnie jakąś odpowiedź, wymyśli przycisk, którego dotknięty, użytkownik zostanie zobligowany do pożądania ciała takiego jak moje.

Chciałabym tego doczekać.

Mówią, że miłości nie można kupić, ale to przecież największa bzdura w historii tworzenia złotych myśli, rzekłabym, że miłość to coś, czego nie można dostać za darmo. Pamiętam te parę imprez, na których byłam w życiu, te stada dziewczyn, które tam się kłębiły, to było wręcz pierwotne, wręcz plemienne, wymiana jednych dóbr na drugie niczym w słynnym rytuale kula – po jednej stronie wisiły czyjeś racice, wymiona, kolczyki, po drugiej teczki z odpowiednim logo, breloczki od aut odpowiednich marek, wysokiej klasy zegarki. Moja oferta nikogo nie kusiała.

Patrzyłam na to wszystko, patrzyłam na to wszystko z obrzydzeniem, stałam pod ścianą jak zepsuta, obrzygana konsolka, wszyscy omijali mnie szerokim łukiem, żółte światło wgrzyzało się w obnażone w śmiechu zęby kobiet, wędrowało po barkach przyczajonych w kątach mężczyzn, stojących tam w pozie łowczych, muzyka dudniła jak plemienne bębny, stałam tam i patrzyłam – miałam wrażenie, że śmierdzi tam spienioną spermą, że niesie się tam tęsknota pustych macic; patrzyłam na to wszystko wzrokiem trupa.

Wracając do studniówki i poloneza: wyszłam na środek sali niby kartofel obwiązany wstążeczką; tańcz – powiedzieli, popychając mnie do przodu, jak krowę na targu, ale nie mogłam zrobić nawet kroku, byłam kompletnie sparaliżowana. Mój towarzysz wyglądał jak TW przymuszony do współpracy – jakby musiał wywiązywać się z podpisanej wbrew sobie lojalki. Próbowaliśmy wykonać parę kroków, ale kompletnie nam to nie wyszło. Chciałam tylko, żeby to wszystko się już skończyło.

Ciekawa jestem, jak wyglądała jej studniówka. Na pewno była królową balu, męskie spojrzenia sunęły po niej jak jachty po tych wszystkich morzach, które widziałam na pocztówkach, które widziałam w internecie, których nie widziałam wcale.

Nie wiem, czemu myślałam teraz o tym wszystkim, chyba Alicja służyła mi za aparat do przywoływania upokorzeń, bo przypomniiał mi się pornos, który kiedyś oglądałam; właściwie nie był to pornos, ale jakby jego prolog. Prolog był czymś, co bardzo dobrze znałam z autopsji – miałam wrażenie, że utknęłam w prologu do swojego życia.

Film zamieszczony był w kategorii „casting”, bardzo lubiłam tę kategorię, bo stanowiła według mnie idealną ilustrację naszych czasów, w których należało w jakiś sposób udowodnić swoją wartość, swoją przydatność do użytku. Ich fundamentem i leitmotivem była autoprezentacja. Nawet konie na targu czy niegdyś niewolnicy mieli tu ułatwioną sytuację – podlegali prezentacji, ale to ktoś inny jej za nich dokonywał; dziś nawet w tej upokarzającej dziedzinie trzeba było wykazać

się samodzielnością. A do tego poszerzyć ofertę o sfery intymne.

W castingu brała udział kobieta w dojrzałym wieku – nie wiem, jak ją tam wpuścili, podejrzewam, że z okrucieństwa. Zaczęła się rozbierać i kiedy to robiła, znów, co zdarzało się wszak rzadko podczas seansów pornosów, miałam poczucie pewnej identyfikacji. Oczywiście nie do końca, nie była, jak ja, szpetna, była tylko zwiędła, starzała się, jej biust doskonale współpracował z grawitacją, pośladki również. Twarz była twarzą kobiety w średnim wieku – widać było na niej upływ czasu. Jej skóra była nieco zwiotczała, tu i ówdzie miała nierówności, wałeczki, przypominała piasek na plaży lekko trącony czyimiś stopami.

Kiedy doszło do kluczowego momentu castingu, ochoczo rozchyliła nogi. Jeśli chodziło o to, co było w środku, ten sekretny kwiat, to został on dawno zerwany. Patrzyłam na nią oniemiała, kiedy próbowała umieścić tam różowy wibrator.

Potem ze śmiechem zaczęła opowiadać, że lubi seks oralny, szczególnie cieszy ją pojawiająca się na członku we wzwodzie duża niebieska żyła, po której w trakcie całej akcji przesuwają językiem. Osoba stojąca po drugiej stronie kamery wydawała się rozbawiona. Zastanawiała się pewnie, ile takich żył przez ostatnie kilka lat doznało tej pieszczoty, jedna czy dwie, pewnie zresztą były stuletnie, a jeśli nie, to nasuwa się pytanie, ile alkoholu właściciele owych żył mieli w sobie.

Kluczowym momentem filmów z kategorii „casting” była kopulacja kamerzysty z testowaną dziewczyną. Tutaj on nie nastąpił. Nie wzbudziła w stronie przeciwnej żadnego pożądania. Zerznijcie ją choć z litości – pomyślałam, ale przecież i o sobie myślałam tak przez lata i nie wywołałam tą myślą żadnych realnych reakcji. Kosmos nie współpracował z tego typu pragnieniami, był nieczuły na takie wezwania – na tym polu działały wyłącznie całkiem materialne rzeczy: piersi, pośladki i twarz. Wobec braku ich atrakcyjności i kosmos był bezsilny. Przypomniało mi się to wszystko, kiedy patrzyłam na Alicję, która akurat mówiła: meandry, niuanse, arkana.

Przypomniało mi się to teraz, bo pomyślałam, że w tym wypadku kosmos odłożyć by można na bok, nie miałyby tu nic do roboty. Ona, gdyby chciała, byłaby królową gangbangów, byłaby ich pomnikiem. Sęk w tym, że inaczej zagospodarowała swoją urodę. Była za sprytna na to wszystko, zbyt świadoma na rewolucję seksualną. Jeśli chodziła na demonstracje z tymi, które krzyczały swe równościowe, wyzwolenicze hasła, a potem pozwalały, by ich głos słabł wraz z zanikiem zdolności do rozmnażania, której nie zdążyły lub nie miały jak wykorzystać – robiła to tylko z wyrachowania. Musiała patrzeć z pogardą na te, które nie zmieściły się z realizacją swoich miłośno-rodzinnych dążeń w dość krótkim, przydzielonym im przez naturę czasie i odtąd starzały się jak porzucone grejpfruty – najpierw wysychała ich skóra, potem gniło ich wnętrze, a jeśli jeszcze krzyczały swoje emancypacyjne hasła, był to niemrawy szept na wiecu opuszczonym przez demonstrantów. Byłam pewna, że Alicja nigdy by sobie na to wszystko nie pozwoliła – ocalił ją przed tym skrywany głęboko pod powłoką lewicowej obłudy stary dobry konserwatyzm.

Odsunęła włosy z czoła i znów coś mówiła, a było to coś o wnętrznościach świata przykrytych płaszczem codzienności, a więc znów o mnie, ale jej nie słuchałam. Nie słuchałam jej, bo myślałam o przygodach jej umysłu. Myślałam o jej ojcu. Wszystko, co było w nim prawicowe, w niej właśnie lewicowe, wszystko, co było w nim katolickie, w niej właśnie antyklerykalne, wszystko, co było w nim mizoginistyczne, w niej właśnie feministyczne, wszystko, co było w nim jego, w niej było właśnie jej. Żałosna polemika z ojcem stawiała się jej światopoglądem, kompletnie nieprawdziwym; to, co w niej zasiano, było nie do wyplenienia. Choćby i oprawiła się w cudze ramy, i tak była sobą, na wskroś narcystyczną, dogłębnie konserwatywną sobą. Cała Polska zdawała mi się taka jak ona.

VIII

Następny dzień obfitował w wydarzenia: najpierw długo szukałam *Gry o tron* na darmowych stronach internetowych, atrakcyjność tego planu zasadzała się również na tym, że innego planu nie miałam. Utożsamiałam się z karłem, choć oczywiście wyłącznie na zasadzie wizualnej odrębności od gromady, duchowo już nijak nie mogłam się z nim utożsamić, karła owego cechowały bowiem spryt i instynkt przetrwania, wreszcie przynależność do wyższej kasty – dzięki temu uprawiał seks, w czym ja nie przodowałam. No ale nie znalazłam szukanego przeze mnie odcinka na żadnej darmowej platformie, bo nastąpiło duże obciążenie serwerów czy inny *fatal error*, co absolutnie mnie nie zdziwiło – na drugie miałam *fatal error*.

Poddałam się więc. Zrobiłam makaron penne arrabbiata, ale dodałam za dużo chili, przez co danie wyszło zbyt ostre. Zaskoczyło mnie to i wybiło z rytmu. Długo szukałam przyczyny. Zastanawiałam się, czy nie winić słodkiej papryki, której torebka łudząco przypominała tę z chili. Nie doszłam prawdy.

Następnie zadzwonili do mnie z banku, proponując mi zwiększenie debetu na koncie. Długo odmawiałam, cała przeprawa przypominała tę z szatanem na pustyni. Potem jeszcze kwadrans dla Nationale Nederlanden, które próbowało mnie namówić, żebym wraz z nim odkładała na emeryturę. Odkładała! Na emeryturę! „Zbierać pieniądze” – moim zdaniem to zagadnienie należało wystawić w teatrze absurdu. Zaczęła zapadać ciemność, rozświetlana, jak zwykle, jedynie moją małą lampką i nocnymi światłami miasta w oddali, żółtymi jak ślepia bajkowych bestii. Nagle

rozbłysnął jeszcze ekran mojej komórki. Ożywiał się bardzo rzadko. Przez chwilę patrzyłam na niego, gdy tak świecił w mroku – mały elektroniczny światek, który niczego nie umiał rozjaśnić.

O autorstwo SMS-ów przychodzących na moją komórkę można podejrzewać nielicznych. Drogerię Hebe informującą mnie o zniżkach na te czy inne kosmetyki; z przykrością muszę stwierdzić, że w zakresie kosmetologii wciąż nie zachodzą korzystne dla mnie zmiany i linię Szpetni 35+ nadal uznawać należy za nieistniejącą. Yves Rocher – to samo. Tajemniczych nadawców informujących mnie, że los jednak się do mnie uśmiechnął i wygrałam pięćdziesiąt tysięcy złotych w konkursie, w którym nie brałam udziału. Rozmaite zastępy współczesnych szarlatanów, którzy chcieliby wyegzorcyzmować ze mnie to i owo, zdradzając się z kompletnym brakiem zdolności profetycznych, nie dochodzili bowiem do tego, że sama usilnie pracuję nad tym od lat – z mizernym skutkiem.

Wreszcie Olafa, mojego jedyne go kolegę – o którym teraz.

Bo to był właśnie on.

Poznałam go w szkole średniej. Stałam na korytarzu, była jesień, a liście wirowały w powietrzu jak opętane, stałam tam jak zwykle sama, w marnej taniej sukience, przede mną przechodzili ludzie, mijali mnie bez słowa, czasem tylko niezobowiązująco trącając mnie plecakami.

– Cześć – powiedział wtedy. Wyłonił się z tego tłumu jak pomazaniec.

Olaf – kilkadziesiąt kilo nieszczęścia na pajęczych nogach. Jedyna osoba, przy której miałam śmiałość wypowiedzieć parę zdań złożonych z rzędu. Wypatrzył mnie chyba zgodnie z zasadą, że nieszczęścia chodzą parami. Ja – policzek wymierzony ludzkości – i on, który zmusił ludzkość, by nadstawiła drugi. Wszystko miał całkiem od czapy, w jednych miejscach wiszące, w innych dyndające, w jednych zakrzywione, w innych zbyt wyprostowane. Był wysoki, ale za chudy, jakby na jego kościec pożałowano ciała i tylko z grubsza go nim obłożono, używając do tego budulca bladego

i mizernego. Jego włosy prowadziły własny rodzaj antysystemowej walki przeciwko włosom rosnącym zgodnie z naturą – uchylając się od obowiązku równomiernego pokrywania czaszki, rosły z ułańską fantazją, wysepkami przypominającymi kępki mchu. Nos był mięsisty, a oczy szczere, duże, piwne, właściwie przypominałyby oczy pluszowego niedźwiadka, gdyby nie to, że znacznie się od siebie różniły – jedno było bardzo okrągłe, niczym moneta, drugie zaś kształtem zbliżone do migdała, lekko spłaszczone, z nieubłaganie opadającą powieką. Odnosiło się wrażenie, że te oczy są również niesymetrycznie osadzone w czaszce, jedno wyżej, drugie niżej – jakby do twarzy Olafa przyszywał je bardzo już znużony pracownik hali fabrycznej.

– Cześć – odpowiedziałam. Od tej pory byliśmy jak bliźnięta syjamskie oddzielone od siebie na siłę przez lekarza pozbawionego talentu, rozerwani w złych miejscach, spruci i niezacerowani. Od czasu do czasu sunęliśmy ulicami niczym wypuszczone na wolność dziecko doktora Mengele i strasziliśmy przechodniów.

I to on teraz do mnie napisał. Proponował wyjście do restauracji. Propozycja wydała mi się śmiała. Nigdy nie jadaliśmy w restauracjach, nie było to coś odpowiadającego naszemu stylowi życia, nie było to coś odpowiadającego stanowi naszych kont. A jednak on chciał nagle przełamać życiową monotonię. Żeby uczynić propozycję jeszcze bardziej atrakcyjną, tłumaczył, że dokonamy tego za jego pieniądze. „OK” – wystukałam odpowiedź. W końcu wizyta w restauracji wydawała się doskonałym zwieńczeniem bezproduktywnego dnia.

Po drodze do wybranego przez Olafa lokalu minęłam skandujący tłum, sunący jak dwie gąsienice przez rozległe place miasta. Ci ludzie, ich twarze, ich otwarte usta, ich wirujące na wietrze dłonie, ich okrzyki, ich hasła rzucane w górę jak czapki na znak entuzjazmu, którego mnie brakowało. Brakowało mi ich entuzjazmu, ponieważ to nie był mój tłum – nie miałam

swojego tłumu, żaden z tych dwóch przeciwnych sobie marszów regularnie sunących ulicami nie był mój.

Ani ten, który szedł ulicą teraz, skandujący przeciwko obecnej władzy, która jakoby nie była ich, maszerujących, reprezentacją, ani ten drugi, z naprzeciwka, który był za nią. Nienawidziłam obu. Bardziej od lewicy nienawidziłam tylko prawicy. Nie byłam przedmiotem stanowienia żadnej z władz. Zbierałam chrust za jednej i za drugiej opcji, nie łąpałam się na żaden program, nie byłam ani rybą, ani wędką, ani jeziorem, ani stołem; byłam zawsze wyłącznie przegraną.

Postanowiłam jednak się nawrócić, postanowiłam się do czegoś przekonać, zmusić – to, co dla innych było łatwe, dla mnie było właśnie trudne, ale przecież chyba nie zupełnie niemożliwe. Wstąpiłam więc w ten tłum, pierwszy z brzegu, i przez chwilę szłam wraz z nim, próbując nawet pod nosem, chrapliwie, skandować to, co oni – żeby znieść władzę i w jej miejsce dostarczyć inną, tę, którą wskazywali, ale mój zapał po chwili się wyczerpał. Nie wierzyłam w ani jedno swoje-ich słowo. Ci wszyscy ludzie, należący do tej czy innej władzy, ci wszyscy ludzie, których twarze widziałam ciągle na ekranie, byli jak byliny. Odporni na każdą zmianę, zdolni wszystko przetrwać, raz po raz przesadzani w inną ziemię, wciąż na nowo odrastający, ale właściwie tacy sami, tak samo silni, tak samo sprytni. Dla nich były rzeczy, a dla nas słowa.

Ci wszyscy ludzie, których symbolizowała Alicja, których symbolizowało nawet jej imię, raz byli po jednej, lepszej stronie lustra, a raz po drugiej, gorszej, raz byli mniejsi, raz więksi, ale zawsze byli sobą, jakby za każdym razem od nowa ustanawiano miejsca, w których mogli się znaleźć. Jakby te miejsca były tymi samymi, które mi wiecznie zabierano sprzed oczu, jak puste kieliszki, których nigdy nie mogłam niczym napełnić, nie pozwalano mi nigdy nawet o tym pomyśleć. Ci wszyscy ludzie. Nie chciałam ich wymiany. Chciałam zemsty.

Dlatego teraz, kiedy wmieszałam się w tłum, zamiast szeptać jego hasła, zuchwale szeptałam swoje, mało chwytliwe. „Dotacje rządowe na operacje plastyczne dla osób estetycznie niesprawnych” – rzuciłam cicho, lecz złowieszczo. „Ponowne narodziny w innej skórze”. „Przekaż innemu swój genotyp, przystosowany do obowiązującego systemu społecznego”. „Program cokolwiek plus dla osób wiecznie minus”.

Niestety, dla swoich propozycji nie znajdowałam żadnych zwolenników.

Zerknęłam na idące w tłumie kobiety – one też, całkiem niedawno, protestowały w swojej sprawie, przeciwstawiły się zaostreniu ustawy o aborcji. Wszystkie były ładniejsze ode mnie i wszystkie pewnie zaznały tego, czego ja nigdy nie zaznałam. Patrząc w ich obce twarze, patrząc w ich usta, w ich włosy, patrząc we wszystko to, co w sobie miały i mogły zmienić w doznanie, tak samo bardzo, jak w doznanie nie mogłam zmienić nic we mnie, szepnęłam: „Powód do aborcji dla każdej kobiety” – w nadziei, że ta herezja się spełni. Nie chciałam walczyć w ich sprawie, bo one nie chciały walczyć w mojej sprawie, nie chciały, bym mogła, jak one, przeciągać dłonią po włosach mężczyzny, włosach sztywnych i twardych jak szpileczki, nie chciały, bo byłby to już mężczyzna potencjalnie wyciągnięty z ich kręgu, a walczyły o mężczyzn jak miejskie ptaki o kawał padliny. Oczywiście ich nienawidziłam, szczególnie tych lewicowych, to znaczy nienawidziłam wszystkich po równo, ale te lewicowe wydawały mi się najbardziej przebiegłe. Prawicowe bowiem, raz ocielone, tak jakby się już uspokajały, siedziały w stajni i tyły, zresztą zbliżając się wtedy estetyką do mnie, co powodowało, że zyskiwałam dla nich odrobinę litości, te lewicowe natomiast były niestrudzone, nie będąc nawet pewne, czy wszystkie ich dzieci są z jednego miotu, i węszyły nieustannie w poszukiwaniu świeżego nasienia. Nie oddałyby mi żadnego, nawet tego najbrzydszego, najgorszego, najbardziej nikczemnego, nawet tego, co sam by wyglądał jak plemnik, który chciały z niego wyekstrahować.

Tłum minął mnie, a ja stałam w tym samym miejscu i za nim patrzyłam.

Poza samą sobą nie miałam żadnego wyboru, żadnej możliwości. Zresztą wydaje mi się, że w pewnym sensie byłam temu winna. Pragnąc czegoś dla siebie, tak naprawdę chciałam, żeby tego czegoś nie było. Gdyby coś dla mnie było, stałoby się to wyłącznie hasłem, które musiałabym odrzucić. Gdyby ktoś sprokurował wreszcie coś dla mnie, coś, co by mnie dotyczyło, co by mnie podnieciło, sama zostałabym zmieniona w hasło. Jak zwykle czegoś chcąc, jednocześnie się tego wypierałam. Jak zwykle tylko stałam i patrzyłam. Stałam, patrzyłam i nienawidziłam.

Choć od pewnego czasu wszystko wkoło się zmieniało: rodzaj i kolor stawianych wszędzie budynków, obowiązująca ideologia, jadłospis, to moje życie pozostawało takie samo, jakby zacięto się w ciężkim kole historii. Festiwal zmian trwał wyłącznie na zewnątrz, inni jedli z kolorowych talerzyków, smakowali coraz to nowe frykasy, a pod moje nogi rzucali tylko papierki, pod moje nogi umieszczone za barierką otaczającą to wesołe miasteczko, do którego nie miałam wstępu. Tam wirowały kolorowe karuzele, wypielegnowane dłonie ścisnęły różnobarwne lody, a panorama sztucznych świateł przecinała noc pełną hałasu. Strzały dobiegające ze strzelnic były zazwyczaj trafne i strącały z pantałyku tych, którzy na mocy nieznanej ustawy robili za ofiary – ustawowe pluszowe miśki, brudne, z naderwanymi uszami i fabryczną metką z zapisanym przeznaczeniem: zestreleniem; już takie przychodziły z fabryki – gotowe do odstrzału, wyprodukowane tylko w tym celu, umieszczone dokładnie tam, gdzie łatwo je trafić. A raz zestrzelone, były porzucane, ot tak, pod nogi innych, łowców, raz zestrzelone, wywoływały tylko śmiech i wzruszenie ramion. Jeśli od razu ich nie wyrzucano i nie utylizowano, były wręczane tym wyćwiczonym w celnych strzałach panom wszystkich strzelnic, umieszczane w ich pewnych czystych dłoniach, w których mogli je nieść do domów, jak zwiezione z lasu trupy zwierząt, a potem układać je w imponujący stos na dębowych podłogach i z dumą w niego patrzeć.

Tam, gdzie stali oni, trwała nieustająca fiesta, noc nigdy nie miała końca,

strzelały korki od szampana, a homary maszerowały po stołach zasłanych białymi obrusami w swym trupim pochodzie, maszerowały czerwonym szeregiem niczym wojskowa kompania reprezentacyjna, wtórowały im butelki trunków w wymyślnych kształtach, wymierzonych doskonale pod rozmiar ust, oraz chusteczki o idealnych kantach i perfekcyjne kieliszki z rżniętego szkła. Również zasiadające przy stołach ciała były perfekcyjne, wyłobione po bokach, zaokrąglone w odpowiednich miejscach, właściwych wymiarów i kolorów, cera tych ciał nie była ziemista, ale rozświetlona odpowiednim rodzajem słońca, złapanym w miejscach idealnych jak ich luki brwiowe: na tych wszystkich wydmach, pagórkach i wysepkach nietkniętych stopą zwykłych turystów, przeznaczonych tylko dla nich.

Tam, gdzie ja stałam, znajdowały się tylko ciężkie drewniane drzwi, a jednym z ich najważniejszych elementów była solidna miedziana kołatka w kształcie czerwonego homara. Ta kołatka mówiła mi: pukajcie, a nikt wam nie otworzy.

A jednak teraz stałam przed podobnymi drzwiami, które dziwnym trafem miały się na mój widok uchylić. A właściwie wcale nie dziwnym trafem, tylko za sprawą męskich dłoni – dłoni Olafa. Widziałam go, już stał przed drzwiami restauracji. Zauważyłam go z daleka, na kilometr świecił swoim trupim urokiem. Kiedy podeszłam, uśmiechnął się do mnie, otworzył przede mną ciężkie drzwi z prawdziwego drewna i weszliśmy do środka niczym zgrzebni bohaterowie westernu, brak było nam jedynie koltów za paskiem. Może i dobrze, bo gdybym je miała, pewnie wszystkich bym rozstrzelała.

– Nie rozumiem ujęcia koncepcji duszy w systemie Hegla – zaczął Olaf, gdy tylko usadowiliśmy się na skórzanych krzesłach, pozwalając, by rozdzielił nas stół. Olaf też ostatnio rozczytywał się w filozofii, to była jakaś plaga. Chyba wszyscy chcieli zrozumieć sytuację, w której się znajdują – z marnym skutkiem.

– Nie przejmuj się, ja nie rozumiem tego menu – odpowiedziałam, otworzywszy kartę, którą podała nam kelnerka. Wymienione w niej potrawy

były bowiem bardziej złożone niż konstytucja, bardziej tajemnicze niż Tora. Czułam się wystarczająco skrępowana już samą swoją obecnością w tym lokalu, już samym jego wystrojem i niepasującym do niego moim ubraniem; czułam się skrępowana kompletnie niepasującą do tego wnętrza sobą, jakbym była ziemniakiem udającym trufkę. – Drożdżówka z wędzoną papryką i szarpaną wieprzowiną ze Żłotnickiej Białej, kapustą kiszoną z pestkami słonecznika i czerwoną cebulą. Suflet z rokitnika i białej czekolady, stek rib eye z czerwonego angusa z wężymordem, brukwią i wędzonym masłem, purchawka z ziemi... – zaczęłam czytać, jakbym zagłębiała się w wyjątkowo złożony system filozoficzny.

– Ha, ha – zaśmiał się Olaf. – Czyżbyś cytowała coś ze strony „trudne słowa, dzięki którym zabłyśniesz wśród znajomych”?

– Niemalże! Olaf, gdzie ty mnie zabrałeś?! Przecież ja nawet nie wiem, jak to wszystko jeść! Przeszłam tylko kurs obsługi zwykłego kotleta, na widelec i do buzi! Nie jestem, kurwa, inspektorem Michelin!

– No raczej. Tam nie zatrudniają ludzi psujących innym apetyt.

– Odezwał się ten, co wygląda jak boeuf Strogonow zwrócony po tygodniowej libacji.

– Ty wyglądasz jak kibel na wschodzie Europy.

– Prawdziwe rozmowy na koniec wieku.

– Moja droga, powinnaś docenić mą propozycję. Chciałem cię zabrać tam, gdzie chodzą normalni, kulturalni ludzie, nie tacy odkopani z ziemi na wiosnę. Przeznaczyłem na tę wyprawę półroczne oszczędności z handlu na Allegro moją kolekcją przedwojennej literatury pozbieranej ze śmietników! To było po tym, jak zrozumiałem, że wszystkie te książki nie mają sensu. Bo wziąłem jedną, poszedłem do modnej kawiarni, żeby kogoś do siebie przekonać. Jak możesz się domyślić, bez sukcesu. Może gdybym zamiast tych książek wziął ze sobą małego kotka...

– Może gdybyś zamiast swojej głowy wziął ze sobą cudzą...

– Co dla państwa? – zapytała kelnerka, która nagle nad nami wyrosła.

Miałam wrażenie, że wydaje się spłoszona obecnością ludzi odbiegających estetycznie od wystroju sali.

– Dla koleżanki kiszony pomidor – powiedział, siląc się na pewność siebie, Olaf.

– A dla mnie... Dla mnie stek rib eye z czerwonego angusa z wężymordem – kontynuował, jakby zawsze tylko to zamawiał, we wszystkich knajpach, do których nigdy nie chodził. – I butelkę czerwonego wina.

– Na pewno wiesz, co to jest? – spytałam z powątpiewaniem, gdy kelnerka odeszła do kuchni. – Znaczy nie wino, to nawet ja znam, widziałam je w programach kulinarnych, widziałam je w polskich komediach romantycznych, ale ta cała reszta...

– Nie jestem wieśniakiem. Może jestem brzydki, ale inteligenckie mam pochodzenie – powiedział z udawaną wyższością. – Nieobca mi martwa krowa. Choć co do wężymordu mam niejaki wątpliwości.

– Tu akurat bym się bardzo nie martwiła, brzmi jak nazwa twojej twarzy.

– Ha, ha. Ale powiem ci, że w moim domu to się jadło! Takie różności, że by ci oko zbiełało! W moim domu zjedliby i mnie samego, nic zresztą dziwnego, wyglądam jak panierowany bocznik.

– W moim domu przeciwnie, kotlet w łapę i do pokoju. Kto szybciej go wpierdoli, bo jaki kto do jedzenia, taki do roboty! Żadnych wspólnych posiłków, to perwersja współczesności! Hej – zmarszczyłam brwi. – Ale ty wcale nie jesteś z inteligenckiego domu!

– Jak to nie?! Jestem z dobrego domu, z fortepianem!

– Chodzi ci o klawikord, na którym gra twój upośledzony brat?

– Moja droga, wszystko jest kwestią interpretacji! Tak twierdzą filozofowie.

– W punkt, w punkt – mruknęłam i poprawiłam się na krześle, odrzuciłam do tyłu rzadkie mysie włosy i wygładziłam kardigan, zero procent wełny, a następnie nonszalanckim gestem sięgnęłam przez stół po

telefon Olafa; miał on wprawdzie niższej klasy, ale jednak iPhone'a. – Daj, muszę coś sprawdzić! – zarządziłam.

Czekając na kiszzonego pomidora, weszłam do internetu i sprawdziłam kolejno: dostępność terminów wampirzego liftingu w Śródmieściu, repertuar teatru wystawiającego zaangażowane sztuki o wyzysku i terroryzmie (jednocześnie szeptem przećwiczyłam kwestie do wygłaszania później w zgrozie, we foyer, przy kieliszku wina: „Krym – to straszne! Rosja – noooo, Rosja to już naprawdę! Islam – islam to w ogóle! Trump? Trump już zupełnie”), potem odbębniłam lekcję o winach z regionu Chianti, wreszcie wygooglowałam przepis na wołowinę po burgundzku i z zadowoleniem odłożyłam telefon.

Mój akces do klasy średniej nabierał rumieńców.

Przyniesiono jedzenie. Stek był rzeczywiście stekiem, miał wygląd steku, jaki widziałam w *Ugotowanych*, natomiast kiszony pomidor spodziewany jako wykwintna potrawa okazał się pojedynczym pomidorem poddanym tajemniczemu procesowi kiszenia. Kosztował dwadzieścia złotych.

– Ja się mam tym nazreć? – zapytałam z powątpiewaniem. – Smakuje jak pomidor, którego ukisili – stwierdziłam, kiedy się w niego wgryzłam.

– A moje smakuje jak krowa, którą zabili. Wina?

– Poproszę.

– A więc inni tak właśnie spędzają czas, myśląc, że to życie! – powiedział wesoło Olaf, wgryzając się w stek. Popił winem. – Niczego sobie!

– Dobra, żresz już to, co żrą inni. Jakie masz jeszcze marzenia? – zapytałam go po krótkiej pauzie, w czasie której skończyłam swego pomidora i zaczęłam podkraść Olafowi stek.

– Chciałbym być ładny i sławny – powiedział bez zastanowienia Olaf. – Chciałbym być tak ładny, by móc wystąpić w telewizji, i zarazem właśnie tak sławny, żeby móc tam wystąpić. Oceniałbym innych, jak inni wciąż

oceniają mnie. Jebałbym ich tak samo! Byłbym najbardziej bezlitosnym sędzią, jakiego widziały oczy *talent shows*!. Miałbym najbardziej okrągłe, najbardziej ze skóry, w każdym razie najbardziej krzesło, górowałbym nad innymi, jak zawsze inni górują nade mną, byłbym wyniesiony nad innych jak kościelny krzyż nad ołtarz, plułbym na innych jak niemiłosierny Bóg pluje na swoich wyznawców! „Fatalnie się ruszasz” – mówiłbym. „Z takim wokalem wbijaj do chóru wiejskich gęsi”. „Jestem na tak... Jeśli chodzi o twój natychmiastowy powrót do domu!” – i tak dalej! Wypowiadałbym te słowa tak mocno, dobitnie, jak gdybym dyktował treść konstytucji, a oni słuchaliby mnie z zapartym tchem jak na sądzie ostatecznym, i oni by przegrywali, oni by ginęli, a ja bym górował...! A jakie jest twoje marzenie? – rzucił po krótkiej przerwie na odpoczynek po tej płomiennej wypowiedzi.

– Kurort dla brzydkich – odparłam pośepnie. – Wyobrażasz to sobie? Wszystko na tym świecie jest, a o czymś takim nie słyszałam. Są plaże dla nudystów i restauracje dla tych, którzy lubią jeść małpie mózgi bezpośrednio z małp, są miejsca dla tych, którzy w ciągu jednej doby chcą zmienić rysy twarzy, wydostać się z nich, jak wydostaje się z pułapki, a także dla tych, którzy chcą pieprzyć naraz sto modelek – jednym Bogu ducha winnym homarem. Są polany przeznaczone do zostawiania na nich ciał do niedawna będących ludźmi, są wreszcie lasy i sawanny, gdzie można strzelać do woli, aż wszystko padnie, bo życia wszędzie za dużo i aż się prosi o redukcję. Tylko dla nas nie ma oferty. Wiesz czemu? Bo nikt by nie zdzierzył takiej brzydoty. No przecież w takim kurorcie, gdybyśmy my wszyscy, pasztety, chodzące banery kaszanki, gapili się na siebie nawzajem, wbijali swoje szpetne gały w odrażające oblicza innych, to przecież byśmy naraz pierdolnęli jak bazyliuszki! To jest zwyczajnie nierentowne: odszkodowania, procesy sądowe, zrzutka na trumny. Dlatego nie dziwię się, że nic dla nas nie ma. Sami musimy szukać czegoś dla siebie w próżni. Szukajcie, a nie znajdziecie!

– Za mało wężymordu – skwitował Olaf.

Kiedy przyszło do płacenia rachunku, nasze miny były bardziej skwaszone niż ten mój pomidor.

– No, zapraszałeś! – powiedziałam z nieskrywaną satysfakcją.

– Ależ równouprawnienie! – wykrzyknął teatralnie.

– Pierdolę równouprawnienie – odparłam zgodnie z prawdą.

Rzeczywiście, coraz częściej o tym myślałam. Jak by to było, gdyby ktoś wcisnął mnie w gorset i zasznurował tak, żebym prawie się dusiła. Gdybym się urodziła sto lat temu w zamożnej rodzinie, byłaby przecież szansa na to, żeby mój stary załadował mnie w jakiś fikuśny kufer i sprzedał komuś w zamian za, bo ja wiem, trzy krowy albo cztery pierzyny. Byłabym więcej warta niż ja sama, byłabym warta coś. Miałabym męża, dzieci, miałabym rodzinę, i to na zawołanie, nic nie musiałabym robić! Wydawało mi się to wspaniałe jak szampan dla wszystkich w sylwestrową noc. Na nic jednak nie miałam szans, ponieważ dziś wszystko zależy tylko od ciebie. Wszystko zależy tylko od ciebie, ale nic nie jest możliwe.

Widziałam, jak wkoło wszystkie mozzarelle, rukole i tiramisu przebywają drogę od przełyków do ludzkich żołądków, noc wymierzała mi policzek. Patrzyłam na Olafa, jakby był leżącym na talerzu krabem, któremu zajrzałam w ugotowane oczy. Nie wiem, czy to go przekonało, ale – tak jak obiecał – zapłacił.

IX

Czas szybko mijał. Jakieś zajęcia na pewno opuściłam. Wykład, na którym się pojawiłam, był już ostatnim; zbliżało się lato. Kiedy dotarłam pod salę, okazało się, że jest pusta. Przeraziło mnie to, nie chciałam stracić tych zajęć, bałam się, że mogę przeoczyć te kluczowe – te, na których sens życia zostanie ostatecznie ujawniony. Tego nie mogłabym sobie darować.

W popłochu rozglądałam się wokół siebie; ratunek przyszedł z lewej. Przybrał postać obcego, przystojnego i – jak można było wywnioskować z jego uczynku – nie całkiem pozbawionego empatii chłopaka, który podszedł do mnie i powiedział:

– Na kurs filozofii? Dziś zamiast zajęć jest dyskusja z udziałem kilku filozofów. Taka bardziej konferencja. Premiera książki jednego z nich. Nie dostałaś mejla? Chodź, pokażę ci, w której sali. I widząc mój pełen zwątpienia wzrok, którym zawsze reagowałam na sytuacje wymykające się spod kontroli, dodał pocieszająco: – Będzie jedzenie.

Podążyłam za nim korytarzem i razem weszliśmy do sali. W środku było jakieś kilkadziesiąt osób, frekwencja znacznie większa niż na ostatnich zajęciach, ale i filozofów miało być dziś więcej, z czego prawdopodobnie wynikała jakaś prawidłowość.

Rozglądałam się za Freonem i Freją, ale nigdzie ich nie dostrzegłam – może zasiedzieli się na kursie vipassany. Był za to Alan. Przeżuwał coś powoli w ustach, które wyglądały jak larwy, i zerkał tęsknie w kierunku stołu z poczęstunkiem.

Na podium stały cztery puste krzesła – wszyscy oczekiwali przybycia

dyskutantów. Ponownie omiotłam wzrokiem salę i wpadłam w popłoch – nie wiem, dlaczego znów mi się to przytrafiało, ale jedyne wolne miejsce znajdowało się w pierwszym rzędzie, obok dwojga młodych ludzi różnej płci, którzy na skutek swego dziwnego rozgorączkowania, chmurności oraz – *last but not least* – leżących pod ich nogami dużych czarnych plecaków, do których chciałoby się podbiec i krzyknąć wniebogłosy: *unattended bag!*, wyglądali na uczestników cechu przyuczającego do zawodu terrorysty.

Znów nic nie mogłam na to poradzić – moim przeznaczeniem była straszliwa trauma siedzenia na widoku.

Z przerażeniem wsunęłam się więc na to wolne miejsce obok terrorystów *in spe*, obrzucając ich i wszystko wkoło nerwowym spojrzeniem. Zapadając się w siedzenie, spojrzałam w lewo, gdzie stali dzisiejsi mówcy. Stali w wiekowym korytarzu tego budynku, widziałam ich przez uchylone drzwi i wydawało mi się, że poznaję ich z gazet i telewizji. Wszyscy, nagle tu zebrani, trochę przerażający, a trochę śmieszni, groteskowi jak konferencja naukowa w sprawie likwidacji jednej grupy ludności przez drugą.

Wchodzili do środka jeden za drugim, jak kaczkami. Alicja i troje dyskutantów: dwóch sędziwych mężczyzn i jedna starsza kobieta. W sędziwych mężczyznach prędko rozpoznałam transformacyjnych dziadów; górowali nad resztą, wyłaniali się z niej niby lodowce. Nim cała święta trójca zasiadła na swych miejscach, została okrążona przez stado unizonych, wśród nich Alicję, których przeznaczeniem było odsunąć krzesło, przejąć płaszcz, powtarzać rytualne formułki: „pani profesor”, „panie profesorze”, „jakże niezmiernie”, „wszakże bynajmniej”, przejętym tonem, jak gdyby przemawiali do bóstw, choć przecież bóstwa były tym, czego nienawidzili, racjonalni ateści, którzy „nie odnajdują się w monoteistycznej opowieści”, „nie mają łaski wiary” czy co tam jeszcze powtarzali z tym protekcjonalnym uśmieszkiem na twarzy.

Patrzyłam na nich, zajmujących przeznaczone im miejsca. Zajmowali je z satysfakcją płynącą z tego, iż są to miejsca właśnie im przeznaczone, że

znajdują się na podwyższeniu, z satysfakcją płynącą z tego, że są to miejsca najlepiej oświetlone, a światło wymierzone jest dokładnie w ich kierunku, jeden reflektor na jedną ludzką twarz zastygłą w wyrazie wyższości; czy była to twarz dyktatora, tyrana z dalekich, upadłych już kolonii, czy była to twarz prezesa, premiera czy prezydenta, papieża czy lidera wszystkich liderów, czy była to ich twarz, była to ta sama twarz.

Patrzyłam na nich, ale też na im usługujących, kręcących się wokół nich z pokorą i gniewnym zaangażowaniem zarazem, jak pszczoły w ulu koło królowej matki, nie byłam pewna, kto był czyim wasalem, nie umiałam precyzyjnie odtworzyć tych feudalnych struktur uniwersytetu, moim zdaniem tożsamy z kościelnymi, które namiętnie krytykowali.

Patrzyłam na pierwszego z dyskutantów – mężczyznę, który zasiadł na pierwszym krześle od prawej. Miał łagodne owcze rysy, ale oczy już typowo intelektualne – oczy drapieżnego ptaka. Na razie wodził nimi po sali, pewnie w poszukiwaniu słuchaczy, którzy kojarzyli mu się z myszami – to na nich chciał spaść mocą swych intelektualnych wypowiedzi, to w nich chciał wbić swe mądrościowe szpony. Drugim mędrcom był mężczyzna o wyglądzie mędrca środkowoeuropejskiego – lekko czymś jakby zasnuty, okopcony, jak gdyby dopiero co wysunął się z komina, w którym pomieszkiwał przez ostatnią dekadę, o bokobrodach pnących się fantazyjnie po policzkach niczym balkonowy bluszcz, wyrazie twarzy zatroskanym i skupionym. Palcami przebierał nerwowo, być może w poszukiwaniu fajki. Wreszcie była tam ona – kobieta o lekko nadgryzionej zębem czasu psiej twarzy, włosach już nieco posiwiałych – być może ich farbowanie było po prostu niekorzystne ideologicznie.

Przeniosłam wzrok na Alicję, dobrze ją znałam, zupełnie zatem nie zaskakiwały mnie jej wychodzące na prowadzenie reakcje. Siedziała na swym krzeselku już tylko połowicznie, bo cała jej osoba skłaniała się ku staniu, mówieniu, występowaniu, ku byciu. W jej intelektualnym gardle już, niby ości, stały rozmaite fluktuacje, głębiny, teorie, które chciała czym

prędzej odkrztusić. Nim jednak zdążyła to zrobić, kierując ku dyskutantom pytania, długie zresztą jak kolej transsyberyjska, których celem nie było właściwie uzyskanie odpowiedzi, tylko autoprezentacja, przekazanie swojej wiedzy w chytrej, symulującej zainteresowanie rozmówcą formie, ktoś ją przechytrzył. Ktoś równie jak ona sama zainteresowany wypowiedzią, czyli ten mędrzec. Ewidentnie nie był w dobrym humorze. Kiedy jednak zaczął mówić, znacznie się rozpogodził – była to typowa reakcja przedstawicieli jego profesji na możliwość poczynienia jakiejś publicznej konstatacji.

– To ordynarne. Ta narracja ofiary... Kompletny brak dystansu – rzucił więc, pijąc do zamieszczonego ostatnio w prasie głośnego wyznania kobiety, która padła ofiarą zbiorowego gwałtu.

– Tak, ten list był wyjątkowo źle skomponowany. Nerwowy, chaotyczny, z niewłaściwie użytą przydawką. Miałam problem z tym, by oddzielić prolog od epilogu, epilog od prologu, a te z kolei od zasadniczej narracji – zareagowała szybko ta psia kobieta. – A poza tym, jak można mówić o swoich przeżyciach związanych z przemocą seksualną, nie przedstawiając ich z perspektywy genderowej?!

– Kompletna ignorancja – zgodził się mędrzec. – I tu chciałbym nawiązać do literatury Holocaustu. Już dawno pomyślałam, że ona też cięży brakiem dystansu! Tym wspomnieniom zdecydowanie brak jakiegoś ironicznego wzięcia w nawias... Nie da się ukryć, że doprawdy najczęściej, jeśli nie zawsze, mamy tutaj do czynienia z obrzydliwym szantażem moralnym. Sposób przedstawienia zdarzeń urąga inteligencji czytelnika, nie pozwala samodzielnie sformułować wniosków. Rozumiem ciężar Holocaustu, lecz największą pretensję do Eliego Wiesela mam taką, że zrobił z tego fatalną prozę...

– Ja z Jerzym Giedroyciem... Czy wspominałem już, jak wraz z nim... – rzucił ten owca, spłoszony lekko kalibrem wybrzmiałej wypowiedzi, której odłamki krążyły teraz w jego umyśle niby samoloty wysłane gdzieś w świat, na pokojową inwazję.

– Proszę państwa, tytuł naszej dzisiejszej debaty, a zarazem książki pana profesora – spojrzęła na owcę – brzmi jednak *Transformacyjność transformacji*, a wszystko odbywa się w ramach ogólniejszego cyklu rozważań: *Filozofia życia i jego sensu. Koncepcje, odnogi, teorie, cykle, przyczynki, komentarze* – zaczęła prędko Alicja, kiedy tylko udało jej się dorwać do mikrofonu, a ja widziałam jeszcze podtytuł tej dyskusji, który krążył po jej ślicznej głowie i brzmiał: *Mój osobisty wymiar kontaktu z tekstami Jamesa Hillmana*. – I chciałabym, byśmy na ten temat podyskutowali. Pomówmy o tym, co w naszej rzeczywistości nieusuwalne, niezmiennie, nieredukowalne. Jeśli chodzi o Jamesa Hillmana, to zależy mu na tym, by znaleźć wartość w doświadczeniu melancholii, depresji, rozbicia. Na dotarciu do duszy, która w perspektywie Junga jest raczej perspektywą niż substancją. Karmi się ona obrazami, treściami symbolicznymi. Hillman mówi: przeciwstaw się ego, przeżyj świadomie dzień w depresji, odrzuć tabletkę, owo współczesne panaceum na wszelkie lęki. Nasze zrutynizowane, rutynowe, zrutynizowane praktyki. Transcendencja została wyeliminowana z życia doczesnego, pozbyliśmy się transcendencji, która zniknęła z nurtu współczesności, ona – transcendencja. Wyeliminowaliśmy transcendencję ze świata doczesnego, przez co zostało tylko ciało, nic poza nim nie istnieje; stąd zresztą demoniczność wszelakich diet. To wspieranie ciała w walce o niemożliwą nieśmiertelność. Niemożliwą, gdyż tuż obok już czeka na nas śmierć, jej agent przybierający rozmaite formy, przybierający chociażby formę wisielca. Czy śmierć jest częścią życia? Tak mówią, lecz to absolutna nieprawda. Śmierć li tylko się nami bawi, igra z nami jej agent wisielec. Nadzieja, że „nie wszystek umrę”? To czcza nadzieja. Wszak Marek Aureliusz mówił, iż wszyscy umrzemy, umrą ci, którzy pamiętają.

„Co na to Szekspir?!” – chciałam wykrzyknąć, ale czekałam w nadziei na jeszcze jakieś przymiotniki, w których Alicja się jednak trochę opuszczała.

– „Nie wszystek umrę” to czcza nadzieja, zdemaskował tę rozpaczliwą,

nieprawdziwą, niegodną obiegową prawdę, czy też właściwie nieprawdę, Marek Aureliusz – powtórzyła, chcąc, by jej przekaz dobitnie do nas dotarł. „Zło najstraszliwsze, śmierć, nie dotyka nas wcale, bo póki my jesteśmy, nie ma śmierci, a kiedy jest śmierć, nie ma nas” – powiedział Epikur, lecz jest to wyłącznie retoryczny chwyt, jałowe pocieszenie, oratoryjna zabawka, deklamacyjny trik. Zrozumienie, musimy poszukiwać zrozumienia, lecz co to oznacza? *Arche* i *telos*. Dwie perspektywy. Musimy odnaleźć panaceum na dezorientację. To niełatwe, gdyż nas, ludzi, charakteryzują bezradność, niewiedza, chaos, mrok, ludzkie splątanie. James Hillman mówi: nie próbuj z nimi walczyć, przeciwnie, zaakceptuj te stany, dostrzeż w nich wartość. Dostrzeż wartość w ludzkim splątaniu, gdyż ono jest wartością, podstawową ludzką wartością, a to, co próbuje z nim walczyć, jest to ego, zły doradca, porzuć ego. Bezmiar, absurd, okrucieństwo. Moim ulubionym autorem, autorem, który ongiś zrobił na mnie kolosalne wrażenie, z którego po dziś dzień się nie otrząsnęłam, jest właśnie James Hillman. Ponadto fascynuje mnie kultowe dzieło Lawrence’a Durrella, jego tetralogia *Kwartet Aleksandryjski*, która składa się z czterech części, wszystkich równie kultowych. Może państwo czytali? Wątpię, nie jest to popularna lektura, jak wszystkie kultowe i znakomite lektury, wystarczy wspomnieć brak popularności w Polsce kultowego, fascynującego, niezwykłego dzieła Jamesa Hillmana. Mity konstytuujące polską wspólnotę. Do nich przejdziemy później, za chwilę również przejdziemy do jakże aktualnego motywu transformacyjnych meandrów samej transformacji; teraz jednak, po tym króciutkim wstępie, chciałabym państwa zapytać o współczesność, jej ciemne strony, mity, pokusy i pułapki, jej bolączki. O życie jego i sens.

– Społeczne nierówności – powiedział automatycznie owca, jak gdyby nie dosłyszał bądź nie zrozumiał pytania i po prostu posłużył się tradycyjną swą odpowiedzią, którą posługiwał się zawsze, we wszystkich swych redakcjach matkach. Potem jednak, jak gdyby coś go tknęło i bardziej dostosował odpowiedź do tematu dyskusji: – Dziś, otoczeni technologią,

jesteśmy przeraźliwie samotni. Rozpad rodziny nuklearnej – dodał i zamyślił się niby na pogrzebie bliskiej osoby.

Nie wiem czemu, ale znów zaczęłam myśleć o pornosach – trochę już samą mnie to dziwiło, że pornosy stanowią w sumie coś jakby leitmotiv mego życia. Tym razem moje myśli poszybowały ku produkcji Pierre’a Woodmana. Bardzo je lubiłam, na ich planie panowała zupełnie luźna atmosfera, jak w kawiarni albo na letniej wyprzedaży bibelotów; wszyscy byli zadowoleni, uśmiechnięci i miło się do siebie zwracali, jedyna różnica była taka, że ktoś trzymał coś w tylnych wrotach drugiego, lecz to drobnostka. Pierre Woodman, aktor, reżyser i producent w jednym, był własnym wykwalifikowanym pracownikiem – umieszczał fragment swojego ciała w otworach kobiety z finezją i łatwością, jak gdyby całe życie nie robił nic innego – co w sumie może i było prawdą. „Salopę! Salope!” – pokrzykiwał z przejęciem; zawsze z zainteresowaniem czekałam finału, czasem nawet pogryzając fistaszki.

– Wygnaliśmy śmierć ze swego doświadczenia, a przecież każdy z nas stanie nad czarnym dołem. Korowód zmarłych w czasie zarazy, zakrzepła sól na policzkach, *Dziennik żałoby*, Roland Barthes. – Z pasjonujących myśli wyrwał mnie mędrzec.

– Śmierć nie pasuje do witalnego przekazu medialnego – poparła go siwucha.

Papież – odpowiedziałam w myślach. – Pora na umieranie papieża.

– Papież. Figura umierającego papieża – odezwał się zasepiony owca, czytając jakby w moich myślach.

– Upadek autorytetów – dodał starzec z komina, stanowczo i ponuro, pijąc prawdopodobnie do żalu po samym sobie. I rzucił jeszcze: – Moja lista lektur: Miłosz, Turowicz, Bobkowski, Czapski, Herling-Grudziński, Gombrowicz. Czy dziś, jeśli powiem państwu: „Ofiaruj mi Niderlandy”, to ktoś to jeszcze zrozumie? Czy jeśli powiem, że wystawiłam w internecie

podrasowaną wersję siebie, ponieważ świat, jaki stworzyli Miłosz, Turowicz, Bobkowski, Czapski, Herling-Grudziński i Gombrowicz – no dobra, zwracam honor ostatniemu – jest światem, w jakim będąc sobą, nie mogę w normalny sposób robić rzeczy, na które bez problemu mogli pozwolić sobie Miłosz, Turowicz, Bobkowski, Czapski, Herling-Grudziński i Gombrowicz – no, z tym ostatnim znów pewien problem, czy kiedy powiem to oraz podkreślę, że siedziałam tam, czekając na jakąś propozycję, która już tylko dlatego, że mogłaby wystąpić, miałaby przewagę nad typową kierowaną do mnie propozycją imieniem żadna, to ich wzruszę? Czy kiedy powiem, że Miłosz, Turowicz, Bobkowski, Czapski oraz Herling-Grudziński mogli wszystko to, czego ja nie mogę, wyłącznie zważywszy na fakt bycia przez nich samych sobą, a świat przez nich stworzony, stworzony jest właśnie dla takich jak oni, dla ich następców, noszących może inne nazwiska, ale jednak noszących Nazwiska, to ktoś zrozumie wreszcie mnie? Nie chciałam nikomu ofiarowywać całych Niderlandów, chciałam komuś ofiarować wyłącznie siebie, a i ta oferta przepadła.

Miłosz turowicz bobkowski czapski herling-grudziński – dzwoni mi w uszach, jakbym stuknęła paznokciami o talerze, te same, na których miałabym zaszczyt przynosić im obiady, cichutko, żeby żadnego nie spłoszyć przy pracy. To nie jest zresztą żadna praca, to jest Polska. Właściwie myślę, że pod tym względem mogłaby się nawiązać cieniutka nić porozumienia między mną a Alicją. Ten wzrok, jakim patrzę na wasze święte groby, to taki sam wzrok, jakim ona patrzy na swego ojca. Ona swoją nienawiść zmieniła w swojego ojca antytezę. Ja nie mam czego zrobić ze swoją, po prostu nienawidzę.

Miłosz, Turowicz, Bobkowski, Czapski, Herling-Grudziński... Miłosz! Chyba z nich wszystkich najgorszy – najgorszy, bo najlepiej znany, prosta zasada. Im znańszy, tym gorszy, wiadomo. Ten święty mędrzec o lasce. O samotności wiedział tyle, co ja o jej braku, co nie przeszkodziło mu tworzyć o niej uduchowionych, żalonych, podniośle brzmiących fraz.

Święty mędrzec wiecznie otoczony kobietami: niechby się zadławił tymi bitkami wołowymi, tą kaszą gryczaną gotowaną mu przez te wszystkie kobiety przemykające na paluszkach przez jego święty gabinet, przemykające jak małe myszki, jak niedostrzegalne elfiątki, z pokorą i uniżeniem, wdzięczne za to, że potem mogą stanowić temat jego poetyckich bredni o nogach, tyłkach i udach; wiecznie, wiecznie to samo: nogi, tyłki i uda. „Nie pożądam tych właśnie stworzeń”. No więc, ja – owo stworzenie, którego rzeczywiście nigdy byś nie pożył, stary wileński zgredzie, powiem ci jedno: Pierre Woodman jest uczciwszy od was.

Widziałam kiedyś jednego transformacyjnego dziada. Innego akurat niż tu obecni, choć nie mam złudzeń, by sądzić, że bardzo się od siebie różnią. Choć głosił może trochę coś jednak innego, głównie: rodzina naszą ostoją; to znaczy – głosił to w tym krótkim czasie antenowym przeznaczonym mu na tych bredni głoszenie. Po godzinach – bo właśnie wtedy go widziałam, po godzinach, to jest w nocnym lokalu – tak, byłam tam kilka razy, a co, czy nie jest tak, że szczury wypełzają czasem na miasto, mieszają się z ludzkim gatunkiem? No więc tam, gdy go widziałam i kiedy był już, rzecz można, incognito, choć o to trudno, gdy wcześniej całe miasto zostało nim wytapetowane (bojownik Solidarności, święta krew, sprawiedliwość i praworządność, nasz kandydat), głosił coś zgoła przeciwnego, w czasie wolnym od prawego przekazu była już tylko poezja, czyli nogi, tyłki i uda, było już tylko ekstatyczne obcowanie.

– Dziękuję państwu – rzekła Alicja.

Popatrzyłam na nią, jak zwykle tak piękną, że zapierało dech. Popatrzyłam na nią i pierwszy raz w życiu zaczęłam jej współczuć. Choć zawsze tylko wszystkiego jej zazdrościłam, teraz nagle odkryłam, że mogę jej też współczuć. Mogę jej współczuć na myśl o tych wszystkich językach wyciągniętych w jej kierunku, a należących do mężczyzn jak lemury, jak półdemony, do tych sepleniących chodzących worków cholesterolu wcześniej marnotrawiących sobą czas antenowy. Jej nogi, tyłek i uda zawsze

były w orbicie ich wzroku. Dobrze, że przed tym umknęła, zasunęła za sobą zamek małżeństwa. Ja z kolei, sama wyglądając jak lemur, czasem tęskniłam nawet za takim oślizgłym spojrzeniem. Gdyby przyjrzeć się temu z odpowiedniej perspektywy, obie byłyśmy w pewnym sensie bohaterkami tragicznymi.

– A teraz chciałabym już przejść do zasadniczego tematu naszej rozmowy. Transformacyjność transformacji. A więc: transformacja. Czy to miało sens? Może pan profesor. – Wskazała na owcę.

– Czymże jest sens? – zapytał. I wyrecytował: – Rynek, państwo, magiczny wzrost PKB to nasze grzechy śmiertelne. Banki, fundusze inwestycyjne to domy Złego. – Kiedy skończył, zdawało mi się, że pragnie sięgnąć do kieszeni marynarki, by wyjąć z niej popiół, którym mógłby posypać głowę. Wyjąć z niej popiół, posypać nim swą starczą głowę, następnie dać się sfotografować i powielić w tysiącach egzemplarzy jako szlachetny portret słusznej samokrytyki, który firmować miała jego, jak zwykle dobrze znana, głowa.

– Wiele słów praktycznie zniknęło już z naszego słownika – zaczęła profesorzyca. – Wśród nich „alkierz”, „rojsty” czy moje ulubione „kordelasik”. – Zachichotała. – Najbardziej jednak ubolewam nad śmiercią innego słowa, a mianowicie słowa „wystarczy”. Nie ma już „wystarczy”, ponieważ nic nikomu nie wystarczy. Kto ma deskę, ten chce mieć stół, kto ma cegłę, ten chce cały budynek, kto ma siebie, ten chce całego siebie wyłącznie dla siebie i jeszcze drugiego, takiego samego jak on, też tylko po to.

Popatrzyłam na Alicję. Wydawało mi się, że zamienione w jej buty krokodyle do mnie mrugnęły.

– Bańka, bańka spekulacyjna – ciągnęła smutno pani profesor – ona tak spuchła, jak... Jak twarz mojej matki, chorej na nerki i niepoddawanej dializom, a to z powodów politycznych – uniosła się na krzesło, zaczęła brzmieć nieco straszniej, nieco groźniej – bo ja się nie wahałam, ja się nie

bałam, ja walczyłam! – Całkiem już wstała z krzesła, a oczy miała niewidzące, jakby przeniosła się w inny wymiar. – So-li-dar-ność! So-li-dar-ność! – zaczęła skandować, zarazem bojowniczo i rozpaczliwie, i zastygła na moment jak Statua Wolności, z uniesioną ręką, a po chwili, opadłszy o milimetr, kontynuowała: – Pamiętam, razem ześmy szli... Twarz miałam całą w słońcu, ale zaraz zakrył ją cień... To tuż obok łopotał transparent – odtwarzała z oczami wbitymi w sufit. – I buty... Buty, buty, buty, tupot nóg...

Wtedy przerwał jej twardo owca:

– Ja z Jerzym Giedroyciem.

– Buty, buty... Nasze buty, nasza... buta... – kontynuowała, jak gdyby go nie słysząc.

– Społeczne nierówności – dorzucił jeszcze owca tonem sugerującym pojednanie i gdy myślałam, że już skończył, nieco się rozkręcił: – Podatki, te podatki, to nie jest wszystko takie sprawiedliwe. Jeden ma wyższe, drugi ma niższe, byłbym za progresją. Recesją... Secesją... Nieważne, byłem internowany. Komuna, stan wojenny, mróz taki, że w nos szczypało, przyszły do domu i wyciągnęły za fraki, te ubowce! – warknął jak gdyby, lecz w tym warknięciu nie było do końca złości, w tym była duma, satysfakcja. – Pałką mnie okładali jak psa na smalec, tu, o tu, mam bliznę. – Uniósł lekko koszulę.

– Myśmy z tym transparentem szli, ja, najlepsza na swoim roku, jakkolwiek z uczelni, rzecz jasna, relegowana po śmierci Staszka, i w tym pochodzie, pamiętam, szłam... Obok mnie Mirek. Zawsze po świniobicie podrzucał nam część świniaka.

Widziałam, że Alicja ma dość – czuła się pewnie jak w swoim rodzinnym domu podczas niedzielnych obiadów, dlatego dyskretnie ukrywając nadciągającą potrzebę ziewania, uderzyła w bardziej ją pociągający ogólnointelektualny ton:

– Proszę państwa, cień, cień to wszystko, czym nie chcemy się stać, a z czym musimy się, według Junga, skonfrontować. Wszystko to, z czym musimy stoczyć walkę – niczym święty Jerzy ze smokiem. „Każdy, każdy rzuca cień”, mówi Jung, nikt nie jest od niego wolny, nieskalany wizerunek to coś z gruntu już fałszywego, oto jaki wniosek wysnuć możemy z Junga; inna wiążąca kwestia to taka, iż żyjemy dziś w erze religii wycofującej się, wiele instytucji przejęło rolę religii, czy mówiłam już, że umieramy? Niemoc, rozpacz, depresja. Tego nie widać z perspektywy szczytu, dlatego przeciwna jestem tej perspektywie, James Hillman upatruje wartości w depresji, nie w doświadczeniu szczytowym. Proszę państwa: natura. Jakie żyjemy na jej temat przekonania? Jak postrzegamy jej istotę, jak postrzegamy swoje z nią relacje? Czy czujemy się jej częścią czy może bytem z niej w jakimś sensie wyróżnionym? Czy to kultura stwarza pojęcie natury, czy to my sami stwarzamy całe to uniwersum? Poprawna odpowiedź to oczywiście ta druga. A co państwo sądzą o tym wszystkim, opisanym wielokroć w tekstach, których jesteśmy wyznawcami?

Czy to podchwytliwe pytanie? – pomyślałam, ale jej rozmówcy i tak nie zwrócili na nie uwagi, zajęci swoimi myślami.

Intelektualiści. Siedziałam i na nich patrzyłam. Siedziałam, patrzyłam na nich i miałam wrażenie, że patrzę na gady. Jedno miało głowę węża, drugie żółwia, a trzecie jaszczurki. Siedziałam i na nich patrzyłam, czułam się, jakbym była w pensjonacie Pod Narcyzem, na spotkaniu autorskim z jego mieszkańcami – nigdy nie widziałam naraz tylu osób grających do własnej bramki.

Upływały minuty, a ci znów coś sądzeni, Alicja żywo uczestniczyła w tej dyskusji; każdy sypał poglądami jak z rękawa, tak bardzo wszystko myśleli, że w sali robiło się od tego jaśniej; poglądy skrzyły się, rozbłyskiwały w zapadającym zmierzchu niczym oczy pustynnych zwierząt i rzeczywiście wydawało mi się, że jestem na pustyni – ciemnej, nocnej pustyni, której nie da się skolonizować myślą.

Siedziałam pośrodku tego wszystkiego, milcząca i nieruchoma, jakbym była figurą w gabinecie figur woskowych. Popatrzyłam na Alana. Czaił się wokół stołu zastawionego różnymi przysmakami, stanowiącymi rozsądną alternatywę dla tej dyskusji. Kiedy tamci żywo rozprawiali o sprawach kolejnej krytykowanej przez nich instytucji, do której nie należeli, on ewidentnie modlił się do swojego Boga, noszącego nawet zbliżoną nazwę: bób. Bób, bób – szeptał, wizualizując sobie zielone ziarna, w które już niebawem – gdy tylko nastąpi wyczekiwane lato – wbije swoje równe zęby, rozgryzie je, rozgryzie je tak bardzo, jak nigdy nie mógł rozgryźć poruszanych tu kwestii, w czym inni byli tak dobrzy. Oddawał się myślom o jedzeniu, jakby to właśnie ono było jego radykalnym światopoglądem. Jakby ta przeżuwana przez niego, fabrycznie obrana marchewka miała zaraz zmienić losy świata – wizualizował sobie to z pełnym oddaniem, dokładnie. Jednocześnie miał osobiste obawy, problemy. Spoglądając na lepszą odmianę sera, już cały truchlał na myśl o tym, że wejdzie ona w konflikt z nieodpowiednim gatunkiem winogron. Kiedy wkoło toczono dyskusję o najnowszych postępach Putina godzących w bezpieczeństwo Europy, ten brał w myślach zamach na obecne tu jaja na twardo i ich imperialistyczny wydźwięk, tak różny od tego, jaki niósł ze sobą obecny tu również ser pleśniowy. Może i ja bym się oddała tej kulinarno– światopoglądowej analizie, gdyby nie to, co zdarzyło się kilka minut później.

– Co państwo o tym sądziecie? Co pani o tym sądzi? – To pytanie spadło na mnie niczym kara starotestamentowego Boga. Wiedziałam, że siadanie w pierwszym rządzie to był kolosalny błąd. Przed sobą miałam szereg wpatrzonych we mnie, wyczekujących twarzy. Czułam się jak w straszliwym śnie. Patrzyli na mnie i łaknęli odpowiedzi. Łaknęli odpowiedzi, której nie miałam.

– O czym? – zapytałam niewinnie, starannie ukrywając swój przestach, przekuwając go w pełne sympatii spojrzenie spaniela, jakie miałam we krwi.

Choć słaby był ze mnie spaniel. Wyglądałam jak spaniel, który wpadł do

ogniska i został wprawdzie wydobyty, jednak za późno. Wyglądałam jak spaniel, którego wyprano w pralce. W programie do pościeli. Najśłabsza byłam w ocenie arabskiej wiosny, po prawdzie nic o tym nie wiedziałam – nie interesowałam się tym obszarem geograficznym. Równie słabo orientowałam się w sprawach Kościoła, tak chętnie poruszanych przez tu obecne towarzystwo, mylił mi się papież z prymasem, a ministrant z pedofilem. Obawiałam się, że nie będę mogła sklecić naprędce żadnej pożądanej przez nich opinii, nie będę mogła poprzeć swego sztucznie skonstruowanego krytycznego stanowiska żadnym rozsądnym argumentem.

Na szczęście pytanie dotyczyło czegoś prostszego – islamizacji Europy. Jakie jest moje zdanie w tej kwestii i dlaczego. O to pytały te wpatrzone we mnie twarze, wszystkie straszliwe i wszystkie jednakie, ustalone, żądające dla siebie samych potwierdzenia. Myślałam, że skonam. Nie miałam żadnego poglądu, którego żądali. Byłam naga i bezbronna. Byłam – żadna to dla mnie nowość – skompromitowana. I wtedy zdarzyło się coś, co pozwoliło mi dojść do przełomowych wniosków: cywilizacja chrześcijańska jeszcze istnieje. Jej podstawowy komponent – miłość bliźniego – właśnie się zmaterializował. Alan spojrzał na mnie wzrokiem pełnym niespodziewanej empatii, przejrzał mój strach, przejrzał moją niewiedzę i jak to się mówi, wyciągnął do mnie pomocną dłoń.

– Jest to problem – powiedział nagle i szereg twarzy obrócił się nagle w jego stronę, jakby Alan pociągnął za sterujące nimi sznurki. – Dostaję bardzo niepokojące wiadomości od znajomych Żydów, którzy są kompletnie wręcz zagubieni i totalnie nie wiedzą co się, kurwa, dzieje. Otóż to, co ich niepokoi, to to, że nie dzieje się nic. Cisza. *Rien*. Zero zwyczajowego hejtu. Wszystko poszło na uchodźców z Syrii, do tego stopnia, że jeden mój znajomy Żyd w desperacji sam musiał sobie na ścianie napisać *Jude raus*, a potem się zbanował za mowę nienawiści. Tak być nie może! Nie może tak być, że nasz staropolski, zwyczajowy antysemityzm idzie się jebać z dnia na dzień bez żadnego uprzedzenia. No wyobraźcie to sobie, że jedziecie do

Niemiec i nikt nie zastanawia się nad tym, co chcecie zapierdolić. Jak byście się czuli, ha?! No właśnie! Nie może tak być, żeby utarte sposoby myślenia i działania były tak z dnia na dzień zastępowane innymi, żeby nikt nawet się nie spostrzegł, że coś jest grane. Nie dajmy się ponieść chwilowym modom, krótkotrwałym trendom! Przypominam także, i tu piję już doprawdy do państwa, uczona kadro uniwersytecka, że to kompletnie bez sensu mieć profesurę z paranoi o spisku żydowskim i destrukcyjnym wpływie Żydów na Polskę i z dnia na dzień się jej pozbyć w zamian za kiepski licencjat z ledwo napoczętej lektury z zawilości świata islamu! Następnym razem, kiedy w kolejnym przyływie zbiorowej hysterii pojawi się inny straszny wróg marzący o tym, by puścić z dymem naszą wspaniałą kulturę szeleszczących dresów, jazdy po pijaku i parodii chrześcijaństwa, dajmy przynajmniej znać poprzednim obiektom paranoi, że coś się skończyło! Kultura tego wymaga!

Towarzystwo dyskutantów na parę minut zamarło jak dzikie zwierzęta tuż przed strzałem. Ich oczy wydawały się wielkie jak planety. Nie nawykli do takiego języka, nie nawykli do niecytowania żadnego z dzieł Hannah Arendt czy Jeana Améry'ego przy okazji rozmów o antysemityzmie.

– Polak złodziej? Porusza się pan w obszarze stereotypu – rzeki jeden z intelektualistów, a jego krzaczaste brwi przemieściły się w obrębie twarzy jak dwa leśne zwierzątka. Inni prelegenci mu wtórowali:

– ONR. Pedofilia. Kościół otwarty.

– „Gazeta Wyborcza”.

– Nie wiesz, co sądzić o islamizacji Europy? – szepnęła do mnie sąsiadka z ławki, kierując na mnie pełen politowania wzrok. Moim zdaniem ewidentnie zarzuciła na chwilę myśli o detonacji ukrytego pod ubraniem ładunku bombowego. – To proste! Do gazu z tymi brudasami, mamy infrastrukturę!

Intuicja. Przenikliwość. Zmysł obserwacji.

– Krematoria od dawna stoją puste. A szkoda, co nie pracuje, to na siebie nie zarabia – dodał ktoś siedzący obok, z dużą dozą prawdopodobieństwa

można było przypuszczać, że jej życiowy partner, wносиłam to po zaskakująco zgodnym światopoglądzie, który zdaniem wielu badaczy był najważniejszym spoiwem relacji miłosnej. – Nie wiem, kurwa, kto zarządza tym całym Oświęcimiem, co to za cwel, ale moim zdaniem ten biznes jest mocno nierentowny. Byliście tam w sklepie z pamiątkami? Wielkie rozczarowanie.

– A co byś tam chciał kupić? Mydło? – zapytałam po krótkiej chwili milczenia. W tym czasie pozwoliłam słowom, które przed chwilą padły, przejść przeze mnie i się odcedzić, jakbym była wielkim, opornie działającym sitem.

– Nienawidzę tego lewackiego pierdolenia – powiedziała znów dziewczyna, patrząc z pogardą na dyskutantów. – Co by mówili, gdyby taki arabus zgwałcił ich córkę?

– No właśnie... – zadumał się jej narzeczony. – Chociaż ta dupa jest niezła – powiedział, patrząc na Alicję. – Ciekawe, jak klęka do miecza.

– Wcale – odpowiedziała dziewczyna. – Widać, że to niewydymka.

– No właśnie, no właśnie, otóż to – syknął ktoś z drugiego rzędu, siedzący tuż za nami.

Dyskretnie się odwróciłam i obserwowałam go z fascynacją. Widziałam, że chce coś powiedzieć, patrzyłam na jego głowę, która z głowy zmieniała się w gniazdo szerszeni. Prawie już widziałam te rozwścieczone, krążące po niej zdania i z niecierpliwością czekałam, aż stamtąd wylecą, ale on niestety postawił na zwięzłość: – Spierdalaj – rzucił w naszym kierunku.

– Sam spierdalaj.

Cały rząd się nieco ożywił.

– Chuj ci w dupę.

– Ruchacz kóz.

– Naziolska szmata.

– Feminazistka.

– Parch.

– Cwel.

Myślałam, żeby zrobić coś dla siebie charakterystycznego, czyli też określić wszystko odpowiednimi epitetami, ale inni tak dobrze mnie w tym wyręczali, że tylko siedziałam dalej na swoim miejscu, tępo wbijając wzrok w przestrzeń, jakbym była niewolnikiem wysłanym w okrutną podróż na chybotliwym statku. Swoją drogą, rzeczywiście nie wiedziałam, co sądzić o islamizacji Europy. Alicja musiała wiedzieć, właściwie byłam pewna, że dokładnie teraz opracowuje w głowie pomysł na rozwiązanie kwestii uchodźczej. Nazywałyby się Saracen+ i polegały na tym, że siedem tysięcy polskich rodzin otrzymałoby po jednym Saracenie. Ten zgodny z naszą sarmacką mentalnością program powinien się cieszyć wielką popularnością wśród czytelników Sienkiewicza, potomków polskiej husarii i ich żon, gospodarnych białogłów. Tym chciała przekonać rząd.

Po skończonej dyskusji zgromadziliśmy się wokół stołu z poczęstunkiem. Wzięłam sobie jakiś marny koreczek i stanęłam obok Alana.

– Pierdolą tak o tym systemie – zaczął niewyraźnie, coś przeżuając. – Że niby zły. Choć wcześniej mówili, że dobry, sami go budowali. Wcześniej byli, jak sami twierdzili, mądrzy, a teraz są, jak sami twierdzą, głupi. Konia z rzędem temu, kto to ogarnie, ale wracając do systemu... Że zły i że zły, a przecież można ocenić go z innej perspektywy – nie da się ukryć, że kulinarnie to jednak znaczny progres. Otwierasz lodówkę, a tam w osiemdziesiąt dni dookoła świata! Podróż na łbie ośmiornicy przez kawiorowe doliny! I co, serio lepsze to co wcześniej? Trucht świńską nóżką przez płomień gazowy?

– Lubisz jeść – powiedziałam niepewnie, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Pewnie – odparł. – To lepsze niż ruchanie – dodał, dowodząc moim zdaniem tego, że wyżej cenimy rzeczy dobrze nam znane niż te, które pozostają obce.

– Nienawidzę tych nierobów, filutów, którzy chcą tylko zabrać nam naszą kasę! – rzuciła jakaś wojowniczo nastawiona dziewczyna z lewej, wywołując lawinę głosów:

– Nienawidzę komunistów! Nienawidzę Arabów! Nienawidzę naszego rządu!

– Nienawidzę pączków z adwokatem! Te z różą jeszcze przejdę – rzucił wreszcie, po chwili namysłu, Alan, który od kilku minut kombinował, jak włączyć się do dyskusji.

Nienawidzę Alicji – pomyślałam. Patrzyłam na nią, stała tam wśród innych, uśmiechnięta, odległa, wywyższona. Stałam i czułam, że coś nadciąga w moją stronę, to było ewidentne i nieuchronne. Jakby krystalizowała się jakaś myśl długo krążąca mi po głowie, utwardzała się, przechodziła w formę stałą. Jakbym sama stawała się filozofką piszącą własny traktat, z tą różnicą, że chciałam to zrobić czynem, a nie słowem.

Było oczywiste, że ktoś musi umrzeć.

Część III

I

Lato huczało nad ludzkimi głowami jak wojenny helikopter. Wtedy właśnie, z początkiem lata, będąc w tym dziwnym stanie ducha, jak gdyby chwiejąc się na zawieszanej wysoko linie, postanowiłam zrobić coś dziwnego. Postanowiłam zrobić coś zupełnie dla siebie niecharakterystycznego. Coś absurdalnego.

Postanowiłam iść na imprezę.

Postanowiłam iść na imprezę, by sprawdzić, jak to teraz wygląda, bo na imprezie byłam dawno, wiele miesięcy, a może i lat temu, kilkakrotnie. Kluby nie były dla mnie – w całości zorganizowane wokół używek i kopulacji. Te pierwsze mnie nie kręciły, to drugie owszem, w teorii, która niestety nigdy nie stała się praktyką. Chciałam tam iść, aby się o czymś przekonać – ale w sumie, kurwa, o czym? Że coś się zmieniło? Ale niby co? Że dziś zamiast nocy techno i ćpania zorganizowano tam koncert smyczkowy?!

A jednak trudno, zrobiłam to, weszłam do środka. Do jakiegoś klubu, pierwszego lepszego w mieście, pierwszego lepszego w mieście, a jednak takiego, o którym wiedziałam, że alternatywna jego nazwa brzmi Sodoma i Gomora, gdyż tylko takie miejsca, jeśli już, mnie kręciły, wieczerek wspomnieniowy z browarem w mikroszkłance mogłam zorganizować sobie sama.

Upiłam się oczywiście wcześniej, by było taniej, upiłam się, rzecz można, przewencyjnie, a potem weszłam do tego klubu, czarna kotara oddzielająca wejście od jego ponurych wnętrzności przemknęła mi po głowie jak

zblakany nietoperz; wszystko się zgadzało – czułam się, jakbym wchodziła do jakiejś groty czy pieczary. A potem błądziłam, błądziłam po tym klubie jak po labiryncie, zupełnie pijana, zupełnie jak nie ja. Przestrzeń wirowała wokół mnie, jakbym była w wyjątkowo trudnej grze komputerowej, gdybym chciała kogoś ustrzelić, na pewno nikogo bym nie trafiła. Kiedy zesłam na dół, otoczyła mnie przestrzeń złożona z wielkich luster – objęła mnie ich mnogość, w każdym odbijała się moja twarz. Grad moich twarzy spad! na mnie jak pułapka, przeraziłam się i musiałam na chwilę zamknąć oczy.

Rozejrzałam się wkoło. Wszystko wyglądało tak samo – jak w pikselowym lesie. Nagle koło mnie przemknęła pijana para, słyszałam jej śmiechy i szalony pomruk, pozwoliłam, by to wszystko przetoczyło się obok jak sen.

Opadłam na jakieś krzesło, znowu zamknęłam oczy, zrobiło mi się trochę niedobrze, ale to przetrwałam. Siedziałam tam z zamkniętymi oczami i przez chwilę wydawało mi się, że nie jestem w klubie, ale w hotelu na uboczu miasta, usłyszałam nagle dobiegające zewsząd odgłosy życia – jęki, klótnie, oznaki szaleństwa toczącego się za milionem drzwi. Słyszałam kobiety czeszące włosy przed snem, widziałam, jak te włosy spadają z grzebienia na kafelki, słyszałam pełen niezadowolenia pomruk mężczyzn, którym kazano stawić się rano w biurach wcześniej niż zwykle, z tęsknotą patrzących w kierunku hotelowych minilodówek wypełnionych alkoholem, słyszałam odgłosy jednorazowego seksu, krzyki przecinające noc jak kaskady sztucznych ogni. Wszystko biegło jak zwykle z daleka ode mnie, jakbym stała na moście i patrzyła przed siebie, przez wielką wodę, na odbywającą się na drugim brzegu huczną imprezę, od której kilometrami ciągną się jaskrawe światła. Do mnie docierała tylko ich blada poświata.

Wreszcie wstałam z krzesła, chwiejnym krokiem ruszyłam przed siebie, po omacku dalej w ciemność. Otworzyłam jakieś drzwi i przed moimi oczami stanął długi korytarz – nie za wiele widziałam, głównie brudny bordowy dywan, czarne kanapy i jakichś ludzi, leżących lub stojących tu i ówdzie w dziwnych pozach, większość z nich wciągała kreski, było to

zdecydowanie miejsce typu Monar-friendly. „Jeśli wzięłeś wczoraj za dużo mefedronu, pomoże ci wyciąg z karczocha!” – mój niestrudzony umysł – między innymi – copywritera działał na pełnych obrotach, wespół z nabytą w internecie wiedzą dotyczącą się modnych dzisiaj używek.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że część z tych ludzi kopuluje, potknęłam się o wół rozebraną dziewczynę, kątem oka zobaczyłam, jak jeden koleś obciąża drugiemu, muzyka uderzała we mnie jak celnie wymierzona pięść. Nie mogłam rozeznaczyć się w całości, bo szybko odwróciłam wzrok – czułam się znacznie gorzej niż w liceum, kiedy romanistka kazała mi opowiedzieć czytanekę złożoną z listów dwojga bohaterów, Geneviève i Benoît, a ja próbowałam jej wytłumaczyć, że jestem nieprzygotowana, ponieważ nie czytam cudzej korespondencji. Potem jednak pomyślałam, że niepotrzebnie się tak stresuję, wręcz przeciwnie – owa sytuacja stwarza przecież dla mnie tyle możliwości, los mi sprzyja – los mi sprzyja już tylko dlatego, że jest tu ciemno. Mogłabym się położyć, nieruchoma jak manekin, sprytnie podłożyć się pod czyjeś niewidoczne ciało i przejąć należny komu innemu dotyk.

Zastanawiałam się, czy gdybym opadła teraz na tę brudną, poobdzieraną ze skóry sofę – podejrzewałam zresztą, że była to fałszywa skóra, jak i moja była fałszywa, nieludzka, gdyż niepodatna na ludzki dotyk, oblekająca człowieka równie fałszywego, nieludzkiego – to czy miałabym swoich amatorów. Czy gdyby w tych ciemnościach, pod osłoną nocy, te obce dłonie dotknęły mojego ciała, to nie cofnęłyby się jak po dotknięciu meduzy?

Kombinowałam tak, stojąc obok tego lasu ludzkich rąk, nóg i korpusów, słuchając słynnych „odgłosów miłości” zagłuszonych rytmem techno, i jak zwykle na nic się nie odważyłam, zbyt przerażona tym, że ktoś mnie zdemaskuje, że nawet w tych ciemnościach pod rozbieganymi dłońmi odkryje ciało powabem swym przypominające tuszę świńską dziarsko dyndającą na rzeźnickim haku.

Postanowiłam iść dalej, wyrwać się z tej matni, ale nie wiedziałam, dokąd

pójść, to wszystko było jak przerażający ciemny kamienny las. W pewnym momencie potknęłam się o kogoś, najwyraźniej płci męskiej, kto mi oznajmił, że jest wielkim wyznawcą kultury techno, która jest ważnym nurtem współczesności.

– A na czym to polega? – spytałam.

– Na tym, że słuchasz techno i nosisz się na czarno. W sumie tyle – odparł.

– Chcesz może browca? Co to dla zawodowca – zagadnął mnie nagle ktoś inny, ktoś, kto wyłonił się z ciemności niby zagadkowe stworzenie niestrudzonego Boga. Nawet w stanie upojenia było mi trudno uwierzyć, że ktoś złożył mi taką propozycję towarzyską, tłumaczyłam to tym, że było bardzo ciemno.

– Nie, chyba już więcej nie mogę – wymamrotałam.

– To może coś innego? – zapytał, wymierzając we mnie wzrok pełen znaków zapytania. W tym mroku dobrze widziałam tylko jego białe i rozbiegane gałki oczne, czułam się, jakbym brała udział w sekretnym obrzędzie, na odległym kontynencie, wśród Obcych.

– Nie rozumiem twojej oferty korupcyjnej – odpowiedziałam zaskakująco dla samej siebie, nie wiem, skąd wzięłam te słowa.

– Serio?! Jesteś z pierwszej łapanki?! Hm, ciekawe, a nie wyglądasz! – powiedział, przyglądając mi się badawczo, nie byłam pewna, o co mu chodzi. Miałam wrażenie, że o moją twarz, która wskutek swej asymetrii była doskonałą matrycą do malowania kubistycznych obrazów. Refleksję miałam inną: wcale nie było tu tak ciemno, jak mi się wydawało. Dobrze bym się czuła chyba wyłącznie na imprezie w ośrodku w Laskach. – Cho, dam ci coś zajebistego! – rzucił ten zachęcająco i powiódł mnie w kąt, ku jakiemuś prawdopodobnie stolikowi.

Powoli zaczynałam rozumieć sedno dziejących się tu zdarzeń – ten ktoś oferował mi darmowe substancje psychoaktywne. Strasznie bałam się je wziąć, a z drugiej strony – pomyślałam sobie – co mam do stracenia? Nawet

jak się przekręcę, to w moim przypadku i tak niczego to nie zmieni. Może to coś zmienić jedynie w przypadku jakiegoś nakręconego nekrofila z zakładów pogrzebowych – z pewnością żaden z nich nie kopułowa! jeszcze z tak starą dziewczyną!

Moje myśli były coraz dziwniejsze, rzadko piłam alkohol.

Zawlókł mnie znowu do pomieszczenia grupowej kopulacji. Usiadł na czarnej odrażającej kanapie, miałam nawet wrażenie, że uprzednio zepchnął z niej jakichś dwóch szepionych ze sobą pedałów, którym, zdaje się, w niczym to nie przeszkodziło, po czym zrobił mi miejsce koło siebie i na stolik przed nami wysypał trochę białego proszku.

– Masz jakąś kartę? – zapytał.

Dałam mu kartę zniżkową do kina. Nie dałabym mu przecież dowodu – choć w sumie niczego by pewnie nie dostrzegł; w tym miejscu ciemności znów nas spowijały jak całun. Było to jednak ryzyko. Perspektywa zrobienia czegokolwiek – choćby i narkotyków – z takim próchnem na pewno by go przeraziła.

Zaczął ubijać proszek i formować go w dwie grube kreski. Serce waliło mi jak oszalałe, nie wiedziałam, czego się po tym wszystkim spodziewać, bałam się, że to moja ostatnia noc na ziemi.

Wreszcie ubił dwie białe krechy, wielkie jak dżdżownice, zrolował jakiś banknot i podał mi go.

– Mam dobry towar – powiedział. – Zupełnie niepolski. Bo wszystko w tej Polsce jest takie polskie, nawet koks. Nawet koks, co oznacza tydzień we własnym łóżku na zjeździe, tydzień we własnym łóżku w potwornej trzęsawicy. A tutaj cię to nie spotka. Dawaj do nosa! – zarządził.

Przeżona wykonałam jego rozkaz, a wtedy on wyjął mi banknot z dłoni i zrobił to samo. Już w chwili, gdy pochylał się nad stolikiem, czułam, że zachodzi we mnie magiczna przemiana. Że wszystko to, co było mną, staje się nagle kimś innym umieszczonym niby w mojej skórze, ale pozbawionym dawnej mnie ze wszystkimi tej osoby atrybutami – smutkiem, niechęcią czy

rozpaczą, przytroczonymi do szyi jak kamień młyński. To, co było wcześniej wypchaną sową stojącą w rogu pokoju, cennym trofeum myśliwskim o nieruchomych szklanych oczach, zgładzone, pokonane, zmienione w żaloszny eksponat, teraz nabrało życia – zatrzepotało przykurzonymi skrzydłami, mrugnęło ślepiami i rażno sfrunęło ze ściany, czując, że świat to jednak supermiejsce, to wszystko prawda, co o nim mówią przewodnicy duchowi i inni coachowie! Szybując umownie nad tym stolikiem, nad tą rozdartą kanapą, nad tymi ludźmi, nad tą Sodomą i Gomorą, czułam, że wszystko jest możliwe – negocjacja z własną traumą, by minęła, i usunięcie polipa z nosa siłą woli, seks, gdy jest się brzydkim, i nawet wówczas założenie rodziny – a co, znajdę na siebie amatora! Ślepego, karłowatego kalekę, weterana wojennego bez rąk, nóg i oczu, takiego samego jak ja brzydkiego Nosferatu! Stworzę w internecie awatara, który mnie pokocha, zajdę w ciążę z całym bankiem spermy i urodzę stadko szpetnych dzieci; dzieci wyglądających jak nietoperze – Pola, Lena i Zuzia albo Staś, Eranio i Zosia, co niedziela będziemy jeździć do Ojcowy i kryć się po grotach, gdzie nasze miejsce, zawiśniemy tam twarzami w dół. To jest ta pozycja, w której zawsze chcieli mnie widzieć inni – twarzą w dół, tak bym włosami czyściła ich podłogę. Ale ja już się wyklułam z tego czarnego jaja i dorobiłam skrzydeł – teraz będę nad wami latać, teraz ja będę was sobą dręczyć! To myśląc, już symbolicznie przelatywałam między tymi wszystkimi ludźmi stłoczonymi tu jak w jakiejś szatańskiej arce Noego, arce Noego płynącej wprost do piekła.

– Jak się czujesz? – zapytał mój nowy kolega, błyskając zębami w ciemności. Widziałam, że on też sfrunął ze ściany.

– Super! – odrzekłam prędko, choć z dozą niepewności, wynikającej z tego, że nie byłam pewna, jakich słów użyć, żeby określić mój stan, albowiem doświadczałam go po raz pierwszy w życiu. Po raz pierwszy w życiu czułam coś poza złością, smutkiem i przygnębieniem. Napawałam się tym stanem, nie mogłam uwierzyć, że te uczucia są możliwe, że istnieją

gdzieś poza artykułami o terapii w pismach kobiecych; wszechświat wirował we mnie jak derwisz. Mój towarzysz chyba miał podobnie. Podaliśmy więc sobie ręce i zaczęliśmy opowiadać całe nasze życie, nie pomijając przeszłych wcieleń. Otóż on ma prawie trzydzieści lat, nigdy nie pracował na etacie, bo to go zupełnie nie kręci, inna sprawa, że nie ma etatów, ale i tak by nie chciał, nawet jakby dawali, gdyż praca w biurze to niewola. Chce coś robić, ale jeszcze nie jest pewien co, obecnie trochę robi w Żydach, to znaczy szuka korzeni żydowskich różnych niby to Żydów, lecz to się jeszcze okaże. To jest ostatnio dość popularne i ma dzięki temu całkiem sporo klientów, minus jednak jest taki, że trzeba jeździć, szperać po archiwach, a on jednak lubi też długo spać, bo w nocy sporo się dzieje w mieście. Trochę przez chwilę ogarniał imprezy w klubie, ale szybko mu się znudziło, właściwie kiedykolwiek coś robi, to myśli, że wołałby robić coś innego, to tak jak z pannami, gdy na imprezie liże się z jedną, to już przez ramię widzi, że wołałby z inną, a generalnie zajmuje go teraz zupełnie nowa kwestia – konstrukcja symulatora rzeczywistości.

To mnie naprawdę rozbawiło, zaczęłam się śmiać, on też i razem dusiliśmy się ze śmiechu, spadając z kanapy.

– Ale jak by to miało wyglądać, ten symulator całej rzeczywistości? – zapytałam. I nie czekając na odpowiedź, zaczęłam sobie to wszystko wyobrażać, jak by to było tak w skrócie odwzorować całutką rzeczywistość, a dało się to łatwo wymyślić, bo mój mózg nie był teraz mózgiem, ale czymś w rodzaju rozkręconego na całą pytę bączka, i symulator rzeczywistości wytworzył się w nim w sekundę, w całej okazałości: dzięki tajemniczemu wehikułowi dostać się można pod drzwi fabryki koszulek bawełnianych, w środku kłębią się ludzkie stada, robią tam dwanaście godzin, po czym cofają się w czasie i zaczynają od nowa, ale z wypracowanym zmęczeniem, maszyna rozkłada im nogi, właściwie okręca im je wokół szyi i wielokrotnie gwałci, w tle ukazując obrazy śmierci i pożogi, dzięki osiągnięciom techniki można poczuć też zapach krwi oraz rozkładających się w zachodzącym

słońcu ciał, pot spływa po licznie tu zgromadzonych niczym siarczysta ulewa. Pot spływa po licznie tu zgromadzonych niczym siarczysta ulewa, albowiem oto teraz jesteśmy pod rozłożystą palmą, wszyscy tutaj obecni zbiorowo i jak na komendę żrą czerwonego homara, jego chrupiąca skórka trzaska im pod zdrowymi, białymi i zupełnie sztucznymi zębami, trzaskane są też fotki lazuru morza, wrzucane potem na Instagrama, w tle błyska już ortolan podany na przystawkę, poprawiony następnie foie gras, kolejne ptasie generacje przemykają przez ludzkie stoły tak prędko, że nie sposób za nimi nadążyć, tłuszcz cieknie po brodzie ucztujących wespół z szampanem, którym polewa ich zamówiona na godzinę kochanka. Jest wygenerowana komputerowo, a zamiast ust ma dwie kropeczki kawioru, kiedy się ją pocałuje, można od razu uzupełnić wszelkie niedobory aminokwasów. Ci, którzy siedzą przy pięknym dębowym stole, patrzą na bukiet orchidei regularnie pielęgnowany przez wydepilowane kelnerki, ktoś tam podchodzi i strąca jeden drogocenny płatek, to wywołuje złość ich panów. Oto zasady panujące na plantacjach bawełny: ci, których teraz widać, smażą się w preraźliwym słońcu, spływają z nich jeziora potu, na ich plecach, w bruzdach wyżłobionych batem, tworzą się koryta słonych rzek, a kiedy zbiorowo unoszą wzrok, widzą tylko milczenie, przepaść błękitnego nieba, głuchego jak grobowiec. Od błękitu nieba wzrokiem wrócić można do kostiumów kąpielowych z limitowanych kolekcji, w których na rajskich plażach siedzą one – dzieci oligarchów, wyrzucone z życia i umieszczone w bańce wytynkowanej rublem, plaża jest rajska, a słońce – pozornie pod każdą szerokością geograficzną jednakie – w jednym miejscu bywa pieszczotą, w innym torturą. Głód zawsze jest głodny, jednak już z jego pokonaniem różnie bywa, niekiedy wysyła się przeciwko niemu równiutką ćwiartkę soczystego ananasa, kiedy indziej jedynie szkielet dawno ogryzionej ryby. Łyse czaszki umierających kwitną jak tajemnicze kwiaty nocy, jakie obejrzeć można za szybami ogrodów botanicznych, niektóre z tych roślin pożerają owady, owady tego samego gatunku, które na

azjatyckim targu można chrupać jako przekąskę. Przekąska skwierczy w zębach, skwierczy w zębach śmierć, która, przeżuta, trafia do żołądka, a stamtąd dalej, do rur kanalizacyjnych, gdzie kończy się jej droga. Teraz widzimy papieża, stoi w swoim watykańskim oknie jak kukła na paradzie, omiata wzrokiem wiernych, wznosi świętą dłoń i pozdrawia pielgrzymów, słońce, które na nią pada, jest równie tradycyjne jak on sam, równie niezreformowane. A teraz widzimy już dzisiejszego, zreformowanego papieża, kochają go wszyscy renegaci. Dalej – to właśnie oni, renegaci, spiskują w swych zacisznych salach, spiskują na wielkich placach, placach tak wielkich, jak wielka była pogarda tych, którzy kazali je wybudować; pogarda ta przybrała teraz rozmiar serc tych renegatów, w których się cała mieści – jej mocą chcą oni te place zburzyć. Koło historii kręci się dalej, trącone jak zwykle siłą ironii; przy następnym obrocie lądujemy na wojnie, do wyboru kolejno jest los Niemca, Polaka i Żyda – który wybierasz? Głupie pytanie, nie ma żadnego wyboru, los zostaje tu przydzielony niczym posiłek w stołówce – najpierw jest ten, który w ręku ma bat i rewolwer, a obok owczarka niemieckiego; kiedy idzie ulicą, inni spuszczają wzrok. Śmierć, to właśnie ona, płcze się mu pod nogami jak ten owczarek, kiedy tylko będzie chciał, może ją spuścić ze smyczy. A teraz, gdy pierwszy przeszedł, już tamten drugi podnosi wzrok, serce tłukące się w piersi niczym te wozy jeżdżące obok po kocich łbach powoli się uspokaja, pierwszy znika z pola widzenia, a zatem drugi trzęsącymi się dłońmi może już włożyć na głowę zmiętą brudną czapkę i w zależności od przydzielonego losu albo idzie dalej chować swojego Żyda, albo go wydaje; teraz jest ten, który jest Żydem, podnosi swój z kolei wzrok, wkoło wiruje pierze z naprędcie rozerwanych kołder, wszystko, co do niedawna było życiem, teraz jest jego przeciwieństwem, place się wyludniły, domy osypały z cegieł, a w miejscach, gdzie byli wszyscy znajomi ludzie, teraz jest wyrwa po naprędcie zrzuconej bombie. Ten, który myśli, że nic już nie ma, jest w absolutnym błędzie – został strach, ten nieodłączny towarzysz, na niego zawsze można

liczyć, on nieustannie kroczy obok, podnosi wierny łeb. Strach – ten nieodłączny towarzysz mały w laboratorium, strach – ten nieodłączny towarzysz wiejskiego psa oraz miejskiego szczura. Nimi także można kolejno być, następnie można być już tak bardzo niczym, że się nie jest.

Po chwili wróciłam myślami do rzeczywistości – tej niezaprogramowanej przez symulator – a mój nowy kolega mówił dalej. Dziś oglądał na Netfliksie kilka odcinków czegoś tam, piguła, którą wziął kilka godzin temu, źle mu zrobiła, dilerom chuj na imię, na szczęście potem kupił tu coś lepszego, podobno przemycane z Belgii, od razu widać. Kiedyś dużo ruchał, ale go to znudziło, czy my myślimy, że oni chcą nas tylko ruchać? To dużo bardziej skomplikowane. Owszem, chcą, ale potem, kiedy się okazuje, że trzeba w to inwestować, coś postawić, gadać, zabawiać, odpowiadać na te upokarzające pytania o zawód, którego się nie ma, i może jeszcze brać do domu, robić to, z czym może też być czasem problem, gdy jest się zanadto zrobionym, potem też wspólnie spać, i te koszmary porannej jajecznicy, gdy człowiek chce się tylko w spokoju wyrzygać, zażyć dwa ibupromy, wypić butelkę wody, a później dzwonić po przyjaciółach i pytać, gdzie wczoraj byli; to wszystko jednak wychodzi na minus i on na tym położył lachę. Co ja myślę o Donaldzie Trumpie, on nie za dobrze, ale tej kurwy Hillary też nie popiera, to zwykła szmata i złodziejka, generalnie nienawidzi elit Waszyngtonu, jak ja mam w ogóle na imię i czy chcę pójść z nim do drugiej sali, bo jednak nabrał ochoty na seks.

Przez chwilę wydawało mi się, że się przesłyszałam. Cała w środku zastygłam. Nikt nigdy nie złożył mi takiej propozycji. Z jednej strony byłam absolutnie przerażona, z drugiej czułam, jak wszystkie moje części ciała, szczególnie te strategiczne, wiwatują, trzepoczą z podekscytowania jak małe chorągiewki.

– Okej – powiedziałam odrobinę niepewnie, a on podał mi rękę i poprowadził mnie gdzieś dalej, przed siebie, nie wiadomo gdzie, miałam wrażenie, że ten klub nie ma końca, ciągle go przyrasta, jak zupy w czytanej

w dzieciństwie baśni.

Wreszcie weszliśmy do jakiejś jeszcze innej sali, rozjaśnionej nagłym światłem stroboskopu, które uderzyło mnie w twarz, i to mnie przeraziło – zostałam ujawniona. I rzeczywiście, miałam wrażenie, że on, mój towarzysz, jakby pobladł, jego nagły entuzjazm został przyćmiony, może to tylko narkotyki schodziły, słyszałam o tym efekcie na pogadance antynarkotykowej, ale jak zwykle brałam to do siebie. Lecz rzeczy działały się nadal, popchnął mnie, bym gdzieś weszła, było to jakieś niewielkie pomieszczenie z lustrem, właściwie chyba toaleta, rozjaśniona niemrawym, ale jednak światłem, nie da się ukryć, że moja twarz nie była już twarzą z obrazów Rembrandta, stawała się dosyć wyraźna, i usłyszałam, jak on powiedział: „O”.

Jeśli chodzi o „o”, to ja je pomyślałam. Nie da się bowiem ukryć, że i jego oblicze zostało wtedy ujawnione, co wyszło na niekorzyść. Mój kolega był chudy, o rysach ostrych i spiczastych, oczach małych i rozbieganych, a cerze zniszczonej; w całej postaci było coś nikczemnego – kiedy tak stanął w tym anemicznym świetle dogorywającej żarówki, które wyostrzyło mu rysy, a na ścianę rzuciło jego chudy lisi cień, wyglądał ni mniej, ni więcej, tylko jak wróg klasowy ze starych plakatów.

Ciągle jeszcze byłam rozbawiona, ale entuzjazm zsuwał się już ze mnie jak źle dobrany płaszcz, którym zresztą był – entuzjazm na mnie nie pasował, zdecydowanie szyto go na kogoś innego.

– Chcę cię tu przelecieć – powiedział mój nowy kolega. – Rozbierz się.

Do kibla zaczęli się dobijać jacyś ludzie. Przestraszyło mnie to.

– O rany, ale jacyś ludzie – powiedziałam niepewnie. – Co im powiemy?

– Powiedz im, że zajęte – zarządził. – I że długo jeszcze będzie zajęte, bo rzygamy. – Po czym swój wyśmienity pomysł osobiście zrealizował, w sumie tylko go kompromitując: w odpowiedzi na jego słowa walenie pięściami w drzwi się nasiliło.

– Chuj z nimi – powiedział. – Trzeba być asertywnym. – Popatrzył na mnie wzrokiem rozkazującym, ale, nie da się ukryć, już zapadającym się w sobie niczym budynki, pod które podłożono ładunek wybuchowy. – No, koszulka, majtki.

Trochę rozdygotana, ale wciąż pełna animuszu, zdjęłam koszulkę, a potem stanik. Moje cycki zrobiły na nim takie wrażenie, jakie na deweloperach robią ruiny. Kiedy wyskoczyły ze stanika, miałam wrażenie, że opadły jeszcze niżej niż zazwyczaj i wirują mi koło kolan. Postanowiłam jednak robić dobrą minę do złej gry – przecież całe życie marzyłam o tej właśnie chwili, tej chwili, w której moje ciało wywoła w kimś jakiś entuzjazm i ten ktoś nie będzie monstremologiem.

Podszedł do mnie i mnie pocałował. Czułam w ustach jego wielki język o dziwnym aromacie – był to język, który można było odciąć i sprzedawać narkomanom jako fetysz.

– No dobra, cycki masz słabe, nie oszukujmy się, ale nie bądźmy małostkowi – powiedział. – Zdejmuj spodnie i majtki.

Byłam już jakby całkiem ogołocoła z używek – świat, który przed chwilą jawił mi się jako gigantyczna stroboskopowa kula, na której się kręcę, teraz zdawał mi się raczej kulą, która spadła z sufitu i roztrzaskała się na milion kawałków. Zastanawiałam się, czy nie przerwać tej całej akcji, ale wiedziałam, że możliwość, by ktoś chciał mnie pocałować czy widzieć nago, prawdopodobnie nigdy się nie powtórzy. To była moja jedyna szansa na cokolwiek.

Po chwili namysłu ściągnęłam więc dzinsy, i zaczęłam się zastanawiać nad majtkami. Akurat włożyłam dziś te nie najgorsze, za co zanosłam teraz modły dziękczynne do być może istniejącego Boga. Niemniej utracona na chwilę świadomość powracała do mnie – choć na raty, to bezlitośnie: coraz wyraźniej widziałam, że te majtki na zdumiewająco wypukłym brzuchu wyglądały jak płachta jedwabiu rozpięta na starym namiocie. Zaryzykowałam jednak i je zdjęłam. Zaczęłam czuć się źle, coraz bardziej

źle. Stałam przed nim naga, gdzieniegdzie za mała, gdzieniegdzie za duża, zupełnie niekształtna, jak ludzik z plasteliny ulepiony niewprawną ręką dziecka. Nie mogłam się jednak wycofać.

– Odwróć się tyłem. Pochyl się i rozchyl pośladki – zarządził.

Pomyślałam, że tego już za wiele, propozycja jest krępująca, ale z drugiej strony – kombinowałam – jeśli wykonam ten upokarzający rozkaz, do czegoś może jednak dojdzie, zrobię wszystko, by do czegoś doszło. Działalam jak zaprogramowana, chciałam tylko po żołniersku wykonać zadanie i przejść do dalszego etapu życia. Przełamałam się więc i zrobiłam to, co mi kazał. Stanęłam przed nim zgięta w pół, całkiem obnażona. Stojąc tak, obserwowałam fałdki swojego brzucha zawieszane na wysokości wzroku – tworzyły one dziwną pofalowaną powierzchnię, jak nieudane ciasto. Krew napłynęła mi do głowy, czułam, że robię się cała czerwona. Włosy łaskotały mnie w twarz, chciałam się podrapać, ale nie wiedziałam, czy mogę, musiałabym wtedy puścić pośladki, które dzielnie i żałośnie zarazem ścisnęłam drżącymi rękami. Zamiast tego próbowałam więc potrząsnąć głową i jeszcze bardziej się pochyliłam. Między nogami dostrzegłam swoje nierówne wargi sromowe – jedna była dłuższa od drugiej i zwisała smętnie jak kawałek surowego kurczaka.

Podobno aktorka filmów pornograficznych Sasha Grey w przypadku, gdy ma do czynienia z nieatrakcyjnym partnerem, koncentruje się na jego genitaliach. Jeżeli o mnie chodzi, to i ta inteligentna metoda nie miałaby racji bytu. Przypomniałam sobie, co mówią o pięknie – że polega ono na symetrii – i poczułam się jeszcze straszniej, jeszcze bardziej oszukana przez los.

Wreszcie pochyliłam się jeszcze niżej, a wtedy go zobaczyłam – próbował samodzielnie doprowadzić swoje ciało do seksualnego użytku; z marnym skutkiem. Już nawet na mnie nie patrzył, gdyż to mogło być, jak to mówiła na wykładzie Alicja, przeciwnie, chyba po prostu próbował zawierzyć sile wyobraźni. Efekty wskazywały na to, że nie był człowiekiem

z fantazją.

Krew napłynęła mi do głowy tak bardzo, że dłużej już nie mogłam stać w tej pozycji, więc się wyprostowałam, a wtedy on powiedział:

– Nic z tego.

Naciągnął z powrotem spodnie, zapiął rozporek i zde gustowany odwrócił się do drzwi. A kiedy ja w popłochu zbierałam z podłogi swoje ubrania, spojrzał na mnie i rzucił na odchodne:

– Kulawi wejda pierwsi.

Kiedy wyszedł, znów zamknęłam za sobą drzwi, z trudem, zważywszy na napierającą na nie ludzką falę. Powoli założyłam ciuchy, stanęłam przed zajmującym całą ścianę lustrem i popatrzyłam na siebie. Czułam się jak podczas kulminacji jakiejś okrutnej ceremonii. To byłam ja, piekielna ja, żart Boga, igraszka alchemików. Dlaczego nie mogłam być jak wężowa skóra i z samej siebie opaść, a potem bezszelestnie wyłonić się w nowej, lepszej postaci? Wychylić głowę spod ziemi, jak robią to kwiaty? Dlaczego musiałam tkwić w swoim ciele jak bylina w ziemi i nigdy nie zakwitnąć?

Wzięłam stojącą przy WC metalową szczotkę do toalety i roztrzaskałam lustro; wydawało mi się, że te tysiące srebrzystych odłamków wirują teraz w powietrzu i spadają mi na głowę jak śnieg. Pomyślałam, że gdyby jeden z nich wpadł mi do oka, to może i ja zobaczyłabym świat inaczej – w pięknej odświeżeniu? Wreszcie podniosłam okruch szkła i przycisnęłam do skóry, najpierw na rękę, potem na brzuchu, wreszcie na udzie, rozpaczliwie, zupełnie niecelnie i niewprawnie. Potem położyłam się na podłodze, patrzyłam na płynącą z kranu wodę i na złote światło wykonujące harce na pozostałościach lustra; zastanawiałam się, jak to jest być syreną, która wreszcie traci swój rybi ogon, jak to jest, kiedy te szpetne łuski się z niej osypują.

Tak bardzo chciałabym zostać złapana przez rybaków w ich sieci, tak bardzo chciałabym zostać wywleczona na brzeg, a potem pozbawiona

nie ludzkich części, wydobyta z pułapki, którą sama dla siebie stanowiłam. Niestety, nie było żadnych rybaków, dobijało się do mnie tylko to obce ludzkie stado. Nie reagowałam na ich okrzyki, trochę płakałam, zamknęłam oczy i próbowałam odpłynąć, mając nadzieję, że kiedy się obudzę, będę już kimś innym, tym czymś skrytym pod tą fałszywą łuską.

„Kulawi wejda pierwi” – ta fraza tłukła mi się po głowie jak mosięzna kulka. Kulawi wejda pierwi – czy to rzeczywiście nie powinno być dla mnie jakimś pocieszeniem? To całe niebo, gdzie w sumie jako brzydka faktycznie miałam mieć ponoć pierwszeństwo wstępu. Choć tu, na ziemi, nic się nie zdarzyło, tam odbiję sobie wszelkie straty. Śmierć, tak, ona miała być pocieszeniem. Uroda była moim krzyżem, który doniosłam do ostatniej stacji. Wraz ze mną wszystko zniknie. Już zaraz znajdę się wśród zastępów podobnych mi bezzębnych aniołów i szpotawych duszyczek wyciągających połamane palce w kierunku pikselowych zasłon oddzielających niebiański VIP-room od tego żalostnego piekła, oddzielających jednych od drugich, dokładnie tak jak w życiu, tyle że tutaj na odwrót, na przeciwnych zasadach – ktoś całkiem zmyślnie to opracował. Zaraz i ja ustawię się w tej długiej, pchającej się do drzwi kolejce, mającej przed sobą jeszcze selekcję na okoliczność dobra i zła z opcją środkową, czyścica, wreszcie będę mogła się pławić w złotej darmowej aureoli, oddzielona od reszty jasną łuną nieprzekraczalnego światła. Światła, które pierwszy raz zaświeci i dla mnie – kulawej, dotychczas pogrążonej w mroku.

Brzydota – ona miała sens, wystarczyło tylko zorientować się na życie pozagrobowe.

II

Ze śmiercią nie jest ci do twarzy – mówi do mnie coś – ze śmiercią nikomu nie jest do twarzy, bo ona powoduje zanik twarzy, mięśni, zanik wszystkiego, co składa się na życie i jest ożywcze, ludzkie. Śmierć dobra jest tylko dla umarłych, gdyż oni mają ją już za sobą.

Dlaczego chcesz umierać, kiedy świat tak bardzo stara ci się przypodobać? Świat zmierza do samych pozytywnych rozwiązań – kuchenne bioreaktory już niebawem zaczną wytwarzać wołowinę, co wszak oszczędzi krowy, może świat wymyśli jutro i coś dla ciebie, coś, co cię oszczędzi? Jest tyle klinik, tyle tkanek, w inkubatorach już teraz powstają jadalne owady, na pewno istnieje jakiś sposób na to, byś i ty mogła powstać kiedyś od nowa. Krowy zostaną przy życiu, a ty nie chcesz? Przestań z tą śmiercią, śmierć jest taka niepopularna, inni już dawno z nią zerwali. Przeszczep rąk, nóg, przeszczep nawet i całej głowy – to transplantacyjna nowość, nad którą obecnie trwają prace. Nawet martwi skłonni by byli twierdzić, że nie są martwi, gdyby śmierć nie pozbawiła ich prawa głosu. Domowe ekspresy do robienia mięsa z białek roślinnych, tylko o tym pomyśl, nie sądzisz, że niebawem powstanie na pewno domowy ekspres do zrobienia ciebie od nowa? Wycinka wszystkich złych wspomnień – to też już jest grane, usuną twoją rozpacz, skutecznie ją odwirują, jednym przyciskiem, w pełni zapomnisz, że byłaś kiedyś brzydka, w pełni zapomnisz, że byłaś kiedyś sobą.

Postęp, musisz jedynie uwierzyć w postęp, postęp jest twoim sprzymierzeńcem.

Coś takiego słyszałam, a potem jechałam przez nocne czy raczej świtające miasto, przy mnie był Olaf, choć nie wiem, jak się tam znalazł, jak przez mgłę widziałam twarze obcych ludzi wyłaniających się z ciemności klubu, z tych bordowych sal niczym druidzi z lasu, przypominało mi się to chemiczne szczęście, jakbym wracała do przyjmujących mnie gościnnie, otaczających ciepłem wód płodowych. Pamiętałam DJ-a mającego na końcu sali, był teraz Chrystusem w aureoli zielono-niebiesko-czerwonych neonów, wyciągałam do niego ręce jak wszyscy inni, tracąc poczucie wstydu, świadomość swojej brzydoty, świadomość samej siebie, która tak mi ciążyła. Byłam częścią skandującego tłumu, tak samo jak wtedy, w dzieciństwie, byłam częścią tego milczącego tłumu, który szedł wiejską drogą w świątecznej procesji, za drewnianym Chrystusem, wtapiałam się w ten organizm, byłam jednym z jego rażno kręcących się, podobnych do innych trybów.

Potem leżałam u siebie w domu i chyba usnęłam, a kiedy się obudziłam, Olafa już ze mną nie było, a to, co się ze mną działo, mogę określić mianem ponurego otrzeźwienia. Coś się skończyło, tak samo, jak kiedyś skończyło się dzieciństwo, przyszło przekleństwo świadomości i wpadłam w próżnię; Jezus stał się kawałkiem drewna, opłatek – mąką z wodą, a cuda propagandą, powoli gasły wszystkie światła. Dokładnie tak było i teraz, zgasły już światła w klubie, konsola stała pusta, klubowy Chrystus w blasku dnia był tylko bladą atrapą swojej wczorajszej świetności, chudym chłopakiem o trzęsących się dłoniach.

Miałam wrażenie, że każda idea, której kiedykolwiek się czepiałam, zawsze okazywała się jedynie niespełnioną obietnicą. Uczciwa była wyłącznie nienawiść. Tylko ją można nazwać wieczną ideą. I teraz znów rosła we mnie jak strzelisty kościół. Nagle każda drwina ze mnie samej, kolejne niepowodzenia w dziedzinie miłosnej, kolejne odrzucenia, których przyczyną był mój wygląd i moja genetyczna niemalże, życiowa bezradność, ten wzrok innych, który spadał na mnie jak policzek – to wszystko był

materiał, z którego budowałam własny kościół. Ten gmach od lat, codziennie rósł, każdego dnia przybywało zimnego czarnego kamienia, który powoli formował bezlitosną wieżę pnącą się coraz wyżej i wyżej w wyobrażone niebo.

III

Mówią, że brzydki ten, kto ma brzydkie myśli, i według tej teorii byłam już teraz prawdziwie szpetna. Nadeszło lato i wszystko zaczęło uparcie rodzić owoce. To, co toczyło się za oknem, stało się jeszcze donośniejsze, jeszcze bardziej bezwstydne, bo jeszcze lepiej widoczne w tym długim świetle dnia. Place zabaw, na których huśtawki odbijane silnymi dłońmi dorosłych wznosiły się w górę, a wraz z nimi w górę, jak bezużyteczne baloniki, wznosiły się dzieci. Kolorowe karuzele wirowały wkoło jak spódnice ludowych tancerek, które widywałam w dzieciństwie, na jakimś wiejskim festynie, na który zabrała mnie matka, i wtedy, i teraz było podobnie głośno, śmiech i piski niosły się daleko, aż tam gdzieś, gdzie mieszały się ze swędem palonego na ogniu mięsa i słodkim zapachem gotowanych kolb kukurydzy.

Szłam nad rzekę, podobnie jak kiedyś, z tym że teraz była to Wisła, wtedy mała wiejska rzeczka przepływająca przez miejscowość, w której co roku z rodzicami spędzaliśmy wakacje. Ta rzeczka wydawała mi się zresztą wtedy wielkim, przerażającym i groźnym żywiołem, bałam się podejść zbyt blisko, by nie zostać porwaną przez jej nurt i nie popłynąć wraz z nim jak ta niewprawnie wykonana, sklecona ze słomy i gałganów marzanna, którą na wiosnę zawsze topiły w niej roześmiane dzieci.

Szłam gasnącym lipcowym miastem, a dawne obrazy przychodziły do mnie jak trupy, jakbym brała udział w tajemnym obrzędzie. Smagały mnie po twarzy szczupłymi białymi palcami: sierpień z matką na wsi dawno temu, ekstatyczne odgłosy orkiestry i ciała pod sceną jak parada przyszlých

możliwości, zgiełk i zapraszające krzyki, alkohol w plastikowych kubkach, jaskrawy wąż ludzi przecinający plac targowy. Ja, przytwierdzona do zimnej dłoni matki w natłoku życia, w którym kiedyś będę mogła uczestniczyć, w tym wszystkim, co teraz przeżyło się przed nami bezwstydnie jak sprzedaj na kobieta w portowej knajpie. Myślałam: kiedyś wpłynę na ten ocean życia, wejść do niego po kostki, po pas, zobaczę, co kryje się za tym przesytem, za tą muzyką. Ekstatyczne obcowanie, to właśnie ono, jego znak to ta wiejska impreza, od której trzęsą się w posadach okoliczne domy, to ta wszechmocna defilada wszystkiego przetaczająca się przez te nierówne kocie łby zasłane niedopałkami papierosów, zgniecionym plastikiem, zgubionymi banknotami. Chciałam wszystkiego, co tam było, chciałam złożyć i swoje rzygi pod tą obleganą przez młodzież budką, a pijanymi, rozgorączkowanymi palcami dotykać wieśniaków przyjeżdżających tu wypchanymi po brzegi autami, przerażających teraz w swej bezrefleksyjnej, namiętnej woli życia. Chciałam spółkować z nimi pod pierwszym lepszym drzewem, jakbym była tym czarnym kotem przemykającym teraz chyłkiem pod domami w poszukiwaniu chętnej samicy. Chciałam być kiedyś tak bezwstydną jak te młode dziewczyny w kusych sukienkach, palące papierosy, dotykające władczyimi dłońmi swoich spalonych słońcem mężczyzn; chciałam wreszcie, by kiedyś i mnie poranek zastawał w źle urządzonych sypialniach z nie do końca dobrze znanymi kompanami u boku, by i przeze mnie przetaczało się poranne kacowe zmęczenie i świadomość, że teraz właśnie to robię – popełniam „błędy młodości”.

Chciałam poznać życie, jego możliwości.

I poznałam jego nieprzebrane możliwości, możliwości wyboru między pizzą z dostawą a mrożonką, możliwości wchodzenia na strony porno, możliwości wielogodzinnego łkania na swojej jednoosobowej barce – starej kanapie, która wiozła mnie przez bezsenne noce w pielgrzymce do ich kresu i która wyrzucała mnie u ich brzegu prosto w rozdziawione o świcie gardła głodnych, głośno krzyczących ptaków, prosto w jasną, świecąca przeraźliwą

jasnością pustkę.

Byłam już prawie u celu – blisko bulwarów. Mogłam stąd dostrzec Wisłę, królową polskich rzek, tę, której należała się błotna korona z krainy śmierci. Jej mężem musiał być Bałtyk – to gotyckie tajemnicze morze, tak inne od Śródziemnego, jakby istniało tylko po to, by natrzęsać się z jego niezwyklej przejrzystej urody.

Szłam długą, ciągnącą się wzdłuż drzew ulicą, mijały mnie auta i przechodzący ludzie, mimo późnej pory było wciąż ciepło. Czasem widziałam grube baki, niezdarnie próbujące znaleźć przed sobą drogę, raz po raz wpadające na ściany budynków, parapety, wystawione w oknach donice. Łądując na wrogim sobie terenie, odbijały się bezgłośnie od krawędzi i wracały do punktu wyjścia. Właściwie, co tu dużo mówić, przypominało mi to moje życie.

Z tym ostatnim pojęciem miałam zresztą problem – było dla mnie zarazem tak przepełnione znaczeniem i tak nic nie znaczące jak strzał na wiat w sylwestrową noc. Wydawało mi się, że to całe życie musi być tym, co jest na tych bulwarach, do czego się zbliżam, ale do czego nigdy nie mogę naprawdę blisko podejść; to było to, co toczyło się za ścianami domów, które mijałam, zresztą nawet teraz, tych domów, w których okna zaglądałam z przesadną ciekawością połączoną z odrazą. Nienawidziłam tego wszystkiego – tych ludzi siedzących w swoich fotelach, ich książek, ich dywanów, gestu, jakim zapalają światło. Tego, że o określonej godzinie gromadzą się w salonie jak wyległe z lasu zwierzęta – omiatają wzrokiem swoich pobratymców i kładą im dłonie na ramionach. Tak mi się właśnie kojarzyli – jak zgromadzone w dobrze oświetlonym miejscu zdrowe okazy zwierząt; na ich widok budził się we mnie instynkt myśliwego.

Byłam już prawie przy samych bulwarach. Coraz wyraźniej słyszałam odgłosy nocy, tętniącą i przybierającą na sile muzykę, w oddali majaczyły girlandy świateł zawieszane w przestrzeni, pod stopami miałam sztucznie

usypany piasek, który brudził nogi, pamiętałam to ze swoich dziecięcych wypraw nad morze. Taki piasek musiałam wysypywać z butów, śmiejąc się przy tym szatańsko, przerażona nagłym przesytem życia, który wniknął w moje obuwie, nie myśląc wcale o tym, że z czasem moje buty staną się puste i będą stały obok siebie w przedpokoju, suche i nieużywane jak para starych nart w domu umarłego sportowca.

Setki ustawionych obok siebie leżaków i ten natłok ludzi toczący się falą przez bulwar, szumiący jak morze. Gdybym tego nie przerabiała już wcześniej, mogłabym pomyśleć, że już zaraz, zaraz znajdę się w centrum wszystkiego, drzwi się otworzą i zobaczę orszak uśmiechniętych twarzy, jak podczas urodzin, tłum mnie zagarnie, wessie w ten wir, w tę muzykę i wejdę w to wszystko tak gładko, jakbym wchodziła na opłacony już dawno temu tor dla gokartów, wsiądę w wyznaczone mi auto i pognam przed siebie przetartym szlakiem, roześmiana, rozbawiona, pewna, że z niczym się nie zderzę, a jeśli już – mam na głowie solidny kask, a obok przyjaciół, którzy podtrzymają mnie w chwili upadku.

Nic takiego się nie działo. Dlatego kierowałam wzrok na ten drugi brzeg rzeki – martwy, otoczony straszliwymi drzewami, pusty i zimny, brzeg dobry do zadawania śmierci. Usiadłam na jednym z leżaków, kupiłam coś do picia i czułam się już częścią tamtej, przerażającej strony. Jak martwa ryba, którą rzeka wyrzuciła na brzeg. Patrzyłam na tych, którzy pchali przed sobą wózki, jedli pizzę i pili kolorowe drinki, a na mój widok albo odwracali wzrok, albo przeciwnie – zatrzymywali go na mnie z politowaniem, a ja odwdzięczałam im się wzrokiem martwej ryby, której oczy mętniały od niechęci i nienawiści.

Rozglądałam się wkoło i patrzyłam na to wszystko z pogardą. Myślałam o tym, że jestem wiatrem, który zrywa te namioty, deszczem, który niszczy te wiaty. Rosło we mnie marzenie o byciu jakimś straszliwym żywiołem, rozsadzającym ten świat w posadach i rechoczącym nad jego gruzami.

– Zbawienie, pragnę zbawienia! – Na bulwarze, tuż przy rzece, stała

jakaś kobieta z rozwianymi włosami i obłąkanym wyrazem twarzy. Nerwowo rozglądała się na boki, łapiąc wzrokiem przemykających obok spacerowiczów, i raz po raz powtarzała to zdanie. Namiot ogródka rozstawionego przy bulwarze szarpał się na wietrze jak pojmane w sidła zwierzę. Wiatr nadciągał z drugiej strony rzeki, tej porośniętej dzikimi zaroślami, ciemnej i opuszczonej.

– Potępieńcy! Wszyscy jesteście grzesznikami! – Zmieniła repertuar. Ptaki kołowały nad ludzkimi głowami, trzy z nich przeleciały tuż nad przechodniami jak drony. – Nie chcę skończyć w piekle! Nie chcę się smażyć! – rzuciła jeszcze histerycznie, piskliwie, nie zważając na to, że z uwagi na porę roku wszyscy smażymy się codziennie w przerażającym skwarze tego lata, które wciągnęło nas w swoje tryby. O tej porze roku w tej dekadzie piekło było jak najbardziej realne, zajęło tę szerokość geograficzną jak pusty pokój. Zresztą wydawało się, że ta temperatura rozlewa się na cały świat. Klimat sprzyjający pożarom zaczynał obejmować całą Europę, która pękała jak dojrzały strąk grochu, a cała jej zawartość wysypywała się pod nogi.

Możliwe, że i ja się do tego przyczyniłam, ja też stanowiłam w pewnym sensie brudny, niepasujący do niczego element. Nigdzie nie przystawałam, nawet do samej siebie; krzywa wieża tuż przed zawaleniem, zwiastun katastrofy. Dlatego teraz, kiedy siedziałam nad rzeką, te dalekie światła układały się w nowy, niepokojący wzór. Ludzie chodzili obok jak kolejne elementy straszliwej układanki, raz po raz któryś zapalał się i gasł. Aż wszyscy zgasną – pomyślałam. Przy jednej z letnich kawiarni zobaczyłam mężczyznę, który – z obawy przed ulewą – ostrożnie zamknął ogromny parasol stojący nad stolikami i położył go na ziemi. Wyglądało to tak, jakby pomagał uspokajać wielkiego ptaka – obłaskawił go, przekonał do tego, by złożył czarne skrzydła. Przyszło mi na myśl, że teraz sama potrzebowałabym kogoś takiego, kogoś, kto przyjdzie i mnie obłaskawi, zapobiegnie katastrofie. Nikt taki jednak się nie pojawiał, a ja czułam, że moje własne

skrzydła, które dotychczas tkwiły głęboko pod skórą, mój ukryty arsenał wojenny, rozpościerają się nagle do jakiegoś straszliwego lotu. Byłam jak ptak drapieżny, który się opierzył i zaczął odkrywać wrodzony instynkt zabijania. Nie zjawiał się żaden sokolnik, który mógłby mnie ułożyć. Tragedia nadciągała z mocą chmur, które właśnie zbierały się nad rzeką. Gęstniała i układała się w coraz wyraźniejszy niepokojący wzór – jakby to śmierć wyszywała makatkę.

IV

Zawsze zastanawiałam się, czy nim dojdzie do ważnych wydarzeń, następuje coś, co je wyzwala, przeważa szalę. Nigdy nie nabrałam absolutnej pewności, ale w tym przypadku istniała jedna rzecz, coś, co nie dawało mi spokoju. Pewnego poranka, kiedy lato już powoli odchodziło w niepamięć, kończył się sierpień, ostatkiem sił wydzielając gorące miodowe masy powietrza, jakby był wielkim ssakiem umierającym gdzieś na sawannie, do mojego mieszkania wleciał szerszeń. Około szóstej rano obudziło mnie dobiegające z kuchni brzęczenie – przeraźliwe, uparte, zwiastujące niebezpieczeństwo. Przypominało nadciągające z oddali samoloty bojowe.

Wstałam z łóżka i na palcach poszłam do kuchni. Wychyliłam się zza ściany jak postać z horroru – zresztą jestem pewna, że tak właśnie wyglądałam, zważywszy już nie tylko na mój zwykły wygląd, lecz i na porę dnia. Od razu go dostrzegłam. Po raz pierwszy w życiu widziałam szerszenia – był wielki i przerażający. Silny, niemal wszechmocny. Zdawało mi się, że to złoczyńca, który plądruje mi kuchnię. Bezcelnie latał między kolejnymi garnkami, wlatywał do zlewu, krążył po kolejnych słoikach, przysiadał na nich tylko na chwilę, by znów poderwać się do lotu, dominował przestrzeń; wszystko, co było wkoło, należało tylko do niego, jakby był tyranem, dowódcą wrogiej zwycięskiej armii. Wpatrywałam się w niego zza ściany, absolutnie przerażona. Silne osobowości – a ten owad poniekąd je reprezentował – zawsze wpędzały mnie w popłoch. Byłam pewna, że jeśli się poruszę, zauważy moją obecność i zaatakuje mnie, a wtedy umrę, jego jad na pewno mnie zabije.

Nawet pora, o której wleciał do domu – szósta rano – pasowała do zbrodni i karygodnych czynów. Wszystko się zgadzało. Słońce już weszło do mieszkania, było coś przerażającego w tej ponurej jasności, wzmacnianej uporczywym złowieszczym brzęczeniem szerszenia. Wiedziałam, że jeśli ja nie zabiję jego, on zabije mnie.

Wzięłam więc wielki szklany słoć i zaczęłam na niego polować. Nie było to proste, bo szerszeń wciąż zmieniał miejsce pobytu, a ja truchlałam ze strachu. Kilka podjętych prób zakończyło się brakiem sukcesu, ale wreszcie, wreszcie znalazłam odpowiedni moment – wtedy, gdy przysiadł na blacie tuż obok zlewu – jego żółto-czarny odwłok lśnił jak wypolerowany żołnierski hełm. „Przysiadł” to zresztą złe określenie – nerwowo kręcił się po blacie i zuchwale ruszał czułkami; absolutnie mnie przerażał. Zbliżałam się do niego z tą wielką szklaną pułapką w ręku, serce biło mi tak, że chybotał się od tego również słoć, który generalnie trudno mi było utrzymać w mokrych od potu dłoniach. Dopadłam go przy samej krawędzi, udało mi się skupić i jednym celnym ruchem uwięziłam go w szklanej miniwieży.

Długo wstrzymywany oddech uleciał ze mnie ze świstem. Miałam go. Żółto– czarny żołnierz był cały mój. Wpatrywałam się w swoją zdobycz, próbując się choć trochę uspokoić. Szerszeń z początku zdawał się niezrażony niewolą, maszerował rażno po swym kolistym spacerniaku, czasem trochę podlatując ku górze, a ja patrzyłam na niego z bliska, przykładając twarz do słoja, całkowicie zafascynowana. Obserwowałam go tak, jak obserwuje się przerażający okaz drapieżnika w terrarium, w zoo. Dzień toczył się między nami jak niemrawa kulka po bilardowym stole. On żył i ja żyłam, ale właściwie można było wyczuć, że śmierć jest blisko, wciska się między nas jak uparty pasażer w autobusie, chce gdzieś usiąść, choć nie ma wolnych miejsc. Myślałam, co dalej. Początkowo chciałam wypuścić go na wolność, ale nie wiedziałam, jak to zrobić, by nie zagrozić samej sobie. Ciągle patrzyłam na niego z podziwem, emanował obezwładniającą chęcią życia, był taki władczy, pewny swego, właściwie

miał w sobie coś z Alicji, zachowywał się jak ona i jej podobni, stojący po stronie zwycięzców.

Patrzyłam na niego i patrzyłam, mijały minuty. Wydawał się coraz bardziej rozzłoszczony, a mnie zaczynało to trochę cieszyć. Miałam wrażenie, że z czasem, bo czas mijał, poranek nieuchronnie przechodził w przedpołudnie, jego złość zaczęła ustępować miejsca zniechęceni. Męczył się, markotniał. Stałam nad nim – ta, która mogła go uwolnić, pani życia i śmierci – ale nic nie robiłam. Było gorąco, słońce już całkiem weszło do pokoju, miałam wrażenie, że wypala we mnie dziurę. Patrzyłam na uwięzionego w słoju szerszenia i pozwalałam mu się męczyć. Słabł z minuty na minutę. Z tego silnego drapieżnika, którym był na początku, stawał się żalonym okazem słabości, coraz wolniej się ruszał, robił okrążenia z coraz mniejszą siłą, a ja siedziałam przed nim i na to patrzyłam, nieruchoma, prześwietlona słońcem, jakby martwa.

Mijały godziny, a ja patrzyłam na jego śmierć. Kiedy zaczął się dusić, zwinął się na blacie stołu, w swym szklanym więzieniu, i przykrył głowę odnóżami – leżąc tam w drgawkach, zasłaniając głowę, wyglądał, jakby płakał, umierał i płakał.

Kiedy umarł, podniosłam słoje i w ciszy zmiotłam szerszenia na gazetę, a potem otworzyłam okno i wyrzuciłam do ogrodu pod domem. Później coś mnie naszło, zarzuciłam byle co na siebie i wyszłam na zewnątrz; był we mnie jakiś przymus zobaczenia go ostatni raz, jak na pogrzebie. Po długich poszukiwaniach znalazłam go w trawie, tak bardzo nieżyjącego, że było to wręcz nieprzyzwoite. Klęczałam nad jego trupem, żółto-czarne zwłoki źle komponowały się z zielenią sierpniowych traw. Klęczałam nad nim długo, może i całe godziny, a lato zamykało się nad nami jak pokrywa grobu. Kiedy wreszcie wstałam z kolan, nie mogłam się opędzić od dziwnego poczucia: coś zostało przesunięte w tym tajemniczym układzie sił; czarna kulka na bilardowym stole została pchnięta cudzym kijem i wpadła do dziury.

V

Końcówkę lata przeżyłam w dziwnym otepieniu. Dni mijały tak nieustępliwie i jednostajnie, jakby były jakimś fabrycznym, masowym produktem rzuconym na taśmę. Czasem pod koniec dnia otwierałam okno i rozglądałam się wkoło, po tym uroczym żoliborskim ogrodzie, jedynym estetycznie dodatnim elemencie mojego życia, i wydawało mi się, że wręcz widzę ciepło zsuwające się z dachów domów jak pokrowiec, a potem słyszę, jak te domy zaczynają się wypełniać gwarem, bo ci, którzy z nich wyszli, teraz do nich wrócili. Patrzyłam na to wszystko z perspektywy pierwszego piętra swojego idealnie cichego wynajętego mieszkania, zupełnie oddzielona od tego, co poniżej, i pozwalałam, by krystalizowało się we mnie coś dziwnego; nastawała jesień.

„Cho, zabieram cię na nocną przejażdżkę” – napisał Olaf, kiedy już skończyło się lato. Nocna przejażdżka to było coś dla mnie – nie przepadałam za słońcem, w ogóle nie przepadałam za dniem, to noc była moim sprzymierzeńcem. W nocy moje rysy wyglądały na bardziej ludzkie – znamię na twarzy gasło jak zepsuta latarnia, oblicze rozjaśniało się i upodabniało do przeciętnego człowieczego oblicza; w nocy można było mnie nawet nie dostrzec.

Zgodziłam się i pojechaliśmy – samochód i my pośrodku ulic jak serpentyny, pośrodku tego labiryntu. Jechaliśmy, powoli zostawiając w tyle cywilizację – wysokie kominy, gładkie dachy domów, odległe, śpiące już fabryki – i wjechaliśmy w długi korytarz niczego, bo tym wydawała się naga, niewzruszona przestrzeń natury.

Nad nami wirowały liście, tysiące rudych liści na ulicy, przed nami, przed naszym autem, liście jak ruchliwe, żywe stworzenia, rozganiane wiatrem, mijaliśmy pola i smagłe tyczki, które wznosiły głowy w stronę zachodzącego już słońca; wśród pól biegły ścieżki, ścieżki w tę wyłożoną zielenią dal, do miejsca, w którym kończy się nawet światło. Aż wreszcie wjechaliśmy w las, złotoczerwony korytarz zamknął się nad nami jak czyjeś dłonie – nie wiadomo, czy opiekuńcze czy bezlitosne – jego piękno kontrastowało z mrokiem siedzącym tuż za gałęziami jak nastroszony ptak, nocny łowca, i z martwym, stratowanym przez samochód, leżącym w rowie kotem. I wtedy, jadąc tym jesiennym tunelem, obserwując liście spadające na maskę jak zbłąkane owady, obserwując ich taniec na spowitej mrokiem ulicy, zobaczyłam to coś, czego nie umiem nazwać, ale były to jakby drzwi w ciemność.

– Skąd przychodzisz? – szepnęłam do niej, ale odpowiedział mi tylko liść, który spadł z drzewa i na chwilę przykleił się do przedniej szyby; wydawało się, że chce mi pogrozić palcem.

Znów przypomniała mi się przeszłość – dogorywające, widziane z oddali ognisko. Świniobicie i zabawa w odbijanie wyglądających jak balony świńskich pęcherzy, podrzucanie ich raz jedną, raz drugą dłonią, zonglerka śmiercią. Potem noce sobótki, zapalone żerdzie wyrzucane w powietrze, zebrany w oddali tłum, majaczące na horyzoncie sylwetki. Mężczyźni gromadzący się przy ogniu jak pierwotni ludzie, oświetleni jasną łuną, osiadającą na ich twarzach i zgarbionych barkach. Zwierzęta, kilka dni przed tym, jak zostaną zabite, teraz stojące jeszcze w stodołach, przebierające nogami, przywierające do siebie ciepłymi nosami. Ja w ciemności obok matki, ściskająca jej rękę, zapach pieczonych ziemniaków i dym rzucony na ciemne niebo jak siwy szalik.

Przeszył mnie dziwny niepokój. Popatrzyłam na Olafa nonszalancko prowadzącego auto. Jego twarz przypominała pysk szczura kanałowego,

a ręce gorączkowo zaciskały się na kierownicy, jakby chciały w niej znaleźć jakąś ostateczną odpowiedź na nigdy niezadane pytanie. Jechaliśmy w milczeniu niby para życiowych rozbitków tuż po popełnieniu strasznej zbrodni. Wreszcie Olaf zatrzymał auto pośrodku leśnej polany i zarządził wysiadkę.

Stanęliśmy pośrodku niczego. Drzewa otaczały nas jak świadkowie zbrodni, a trawy zachowywały się jak złoczyńcy zaskoczeni naszym najściem i zupełnie nie stawiały oporu, gdy po chwili zaczęliśmy je deptać, przechodząc jeszcze parę metrów – nie wiedziałam gdzie, po prostu posłusznie szłam za Olafem.

– To miejsce przestępstwa – powiedział, kiedy wreszcie przystanął. – Tu ją zajebali.

– Kogo? – zapytałam, zdezorientowana i przestraszona.

– Ją, tę dziewczynę. Tę dziewczynę, z której znaleziono głównie paznokcie. Dokładnie tu, na tej polanie.

Popatrzyłam na niego z przestachem.

– Po coś mnie tu przywiózł?

Odwrócił ode mnie wzrok i rozejrzał się po lesie, który nagle zaczął mnie przerażać. Gdyby się nad tym zastanowić, to właściwie przypominał worek naciągnięty na zwłoki. Uroczo zielony, pozornie niewinny, tak naprawdę stanowił schowek na rozliczne śmierci. Umierały w nim sarny, dziki i owady. Umierały w nim bobry i zające. Jeśli mieli pecha, umierali w nim czasem także ludzie. Ostatnio i tak jakby mniej, epoka była pod tym względem łaskawsza.

Olaf podszedł do auta, otworzył bagażnik i wyjął z niego sznur.

– „Jeśli to, co ma się stać, stać się musi, niechby przynajmniej stało się niezwłocznie” – powiedział z dziwnym błyskiem w oku. – Pomyślałem sobie, że tutaj umrzemy. Ty i ja. To miejsce jest już tak przecwelone śmiercią, że co nam szkodzi dodać do rachunku własną – wyjaśnił, czytając w moich myślach. Słuchałam go w osłupieniu, a on kontynuował

niezrażony: – Tylko to sobie wyobraź. Dyndamy tu i dyndamy, leśne ptaszyska wyłupiają nam oczy, nasze ciała gniją i opadają z samych siebie, wreszcie jesteśmy wolni, wreszcie od nich uwolnieni, dwa dumne, niczym nie obciążone szkielety.

Ale ja pomyślałam, że nie, wcale tego nie chcę, znów wyrzekałam się śmierci niczym Judasz, chciałam, żeby do mnie przyszła, kiedy sama tego chciałam, a nie wtedy, kiedy ktoś ją dla mnie organizował jak urodzinowe przyjęcie niespodziankę. Znów przypominałam sobie te chwile, kiedy siedziałam przy stole, paliłam świece, jednak piłam alkohol i myślałam o śmierci, czując się co najmniej jak żołnierz wyklęty. Ogniki świeczek migotały jak chytre leśne stworzenia przecinające gęstwiny; te same, które i teraz kryły się w nich pewnie gdzieś obok i będą to robić jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie zabiją ich myśliwi.

I kiedy patrzyłam na tę polanę, przypominałam sobie tę historię, historię tej dziewczyny, która tutaj zginęła. Czytałam, że kiedy policja przyjechała na miejsce, polana wyglądała jak pokój tuż po niespodziewanej rewizji, zielony pokój, który dokładnie przetrząsnięto i zostawiono w stanie chaosu. Rozdarta bluzka przewieszona przez gałąź drzewa, błękitna, naznaczona brunatnymi plamami krwi, jak egzotyczne zwierzę, które wyzionęło ducha. Brudne dżinsowe spodnie w paru kawałkach, kraciasty płaszcz, niegdyś beżowy, teraz ziemisto– krwisty, częściowo podarty, rzucony na trawę, wreszcie majtki – nieprzypominające bielizny, tylko zużyta podpaszkę.

Nigdzie nie było ciała, a jednak, gdyby przeczesać teren bardzo dokładnie, z nosem przy ziemi, co oczywiście później zrobiono, w roli nosów obsadziwszy te psy, w trawie można by znaleźć połamane paznokcie. Małe kremowe paznokcie rozrzucone wkoło jak płatki kwiatów. Można by je zbierać, szepcząc pod nosem wyliczankę z dzieciństwa: kocha – nie kocha, jeśli tylko uwierzyć, że ta wróżba zadziała i wtedy, gdy podejdziesz się do niej w odwrotnej kolejności.

Miejsce zbrodni – tak mówi się o tego typu przestrzeni. A wokół miejsca

zbrodni ten milczący krąg, czyli drzewa, zielone drzewa, które nie były już całkiem zielone, jeśli chodzi o zbrodnię – były jej niemymi świadkami. Wiedziały już, jak się z nią obchodzić, wiedziały, jak zatykać usta, jak zrywać ubranie, jak dobierać się do ciała, które pulsuje z przerażenia niczym ciała dzikich zwierząt pojmanyh w sidła, jak je szarpać, by z wolna traciło siły, jak wchodzić w czyjeś ciało swoim ciałem, umieszczać się w czymś wijącym się z bólu ciele, wyjącym w leśną głąszę, płoszącym zwierzynę, która sama przysłała tu na łowy, a teraz unosiła ze zdziwieniem spiczaste uszy na widok konkurencji i zabierała swoje ciężkie skrzydła, swoje wielkie oczy i zakrzywione pazury dalej, w głąb lasu, tam, gdzie to ona mogła być dyspozytorem śmierci, a nie jej mimowolnym świadkiem.

Te drzewa już wiedziały, jak wymierzać ciału ostatni cios, jak sprawić, aby zwijało się w konwulsjach, a potem jak się pochylić tak, żeby złapać do ust ostatni, zduszony oddech ofiary i tam go wtłoczyć jak dym, jak pośmiertną pamiątkę. Wreszcie wiedziały, jak to jest, gdy opór ciała niknie, a ono samo, dotąd trzymane w kleszczowym uścisku, gaśnie i w końcu opada na trawę jak żałosna pacynka, lalka po skończonej zabawie. Poznały nawet i ten ostatni improwizowany akord lekcji śmierci – tego nie było w planie: kiedy otwarte usta ofiary zetknęły się z podłożem, wpadła w nie grudka mokrej brunatnej ziemi.

Gdy jednak wszyscy ci, którzy specjalizują się w pobytach na miejscach zbrodni już po tym, kiedy te – zbrodnie – się odbyły, zjawili się tam, gdzie powinni, ciała już nigdzie nie było, zniknęło. Choć go szukano, uczciwie i rzetelnie, przetrząsnęto każdy zagajnik, każdą polanę, każdą króliczą norę i przeczesano każdy kawałek ziemi, fragment po fragmencie, na nic się to nie zdało, ciało jak kamień w wodę, co zresztą nie było tylko metaforą. Łaskawa przyroda dopiero po dwóch miesiącach zwróciła te części ciała, które jej powierzono – z pobliskiego jeziora wypłynęły dwie damskie ręce i dwie damskie nogi, kończyzna po kończyźnie, jak martwe ryby. Odpowiednie służby zapakowały je w foliowe worki i odwiozły do swych

zakładów; choć cała zagadka nie w pełni się wyjaśniła, gdyż wciąż brakowało niektórych elementów tej układanki, jak choćby głowy, to jedno stało się nieodwołalnie jasne – w tym konkretnym przypadku, jeśli chodzi o działalność szumnie nazwaną życiem, to by było na tyle. I nagle, kiedy o tym wszystkim myślałam, o martwych zwierzętach i martwych ludziach, w różny sposób przetworzonych, przemielonych przez rozmaite siły i zwróconych przyrodzie w formie odbiegającej od żywej, coś się we mnie przestawiło, jak klocek na flipperach. Nagle zaczęłam widzieć wszystko w innych barwach. Stała część mnie samej, nienawiść, obróciła się we mnie jak płód i zrozumiałam, że może być orężem w moich rękach. Zobaczyłam przed sobą wyraźny cel.

Stojąc tam, w tym lesie, pośrodku tej niepokojącej ciszy, patrząc w ciemność, powoli opuszczałam wszystkie upragnione przeze mnie i niezdobyte bazy, demontowałam swoje chorągiewki zatknięte wszędzie tam, gdzie nakazywano mi upatrywać szczęścia, a gdzie spotykałam tylko upokorzenie. Wszystko już zrozumiałam. Od dawna przesuwiałam samą siebie w ten obcy, niejasny jeszcze rejon, a teraz zrobiłam to świadomie i ostatecznie: przesunęłam siebie tam, gdzie – jak przeczuwałam – i ja miałam szansę na to, by wypełnić to tak ważne współczesne zadanie: odnieść sukces. Zatriumfować.

Wystarczyło kogoś zabić.

VI

– Erozja klasy średniej – mówi. – Brexit. Donald Trump.

W telewizji wygląda na jeszcze piękniejszą i jeszcze bardziej niedostępną, trochę jak lalka Barbie, którą w dzieciństwie widywałam za szybą w peweksie. Mogę przywrzeć do niej dłońmi i ustami, mogę wyciągnąć język i ją polizać; tym całe życie jestem – specem od lizania przez szybę. Słyszę, jak produkuje kolejne teorie, psychopatycznie wpatrzona w kamerę, jej oczy są nieruchome, na jej twarzy nie ma ani cienia wahania czy innych emocji. Jest idealnym produktem naszych czasów – zombie z wgranym na płytę główną przesłaniem ideologicznym, tymczasem ja – jego produktem ubocznym, rewersem propagandy sukcesu. Jestem jej rewersem, a ona jest rewersem mnie. Tak bardzo chciałam być jak ona, nienawidziłam jej i chciałam być jak ona, mieć jej ręce, nogi, oczy, mieć jej kości. Chciałam być jak ona i jak wszyscy inni, ci, którym się udaje. Chciałam być jak wszyscy ci, którzy co sobota rozkładają leżaki na balkonach, rozkładają je nad rzeką, dokąd przyjeżdżają swoimi autami błyszczącymi jak czarne chrząszcze, błyszczącymi jak ich oczy, z radości i podniecenia. Ci inni ludzie wokół nich, te małe stada, ich potomstwo, które chronią przed zagrożeniami płynącymi wprost z życia, w które tak samolubnie je wrzucili, ci ludzie stojący wkoło siebie jak małe osobne plemiona, gotowe rzucić się do walki w obronie drugiego, rozedrzeć na strzępy, gotowe rozłożyć nad drugim parasol z własnych dłoni w razie deszczu. Nienawidziłam każdego ich fragmentu. Kiedy patrzyłam na nich, zbierających się na balkonach, zbierających się w parkach czy nad rzeką, zbierających się bezwstydnie jak widownia pod szubienicą, jak tłum pod

drzewami, na których wieszali czarnych, gotowi do zrobienia sobie pamiątkowej fotografii z trupem, kiedy patrzyłam na ich twarze, jeśli nie piękne, to chociaż szlachetne, choćby przyzwoite, w każdym razie doskonale wkomponowane w tę zimną urodę świata, wszystko, czego chciałam, to ich zniszczyć. Zniszczyć tych, którzy chronili swoich i tylko swoich. Byli jak potomkowie nazistów, przetrwałe czarne ziarno. Tak zdrowi i zadowoleni z siebie, żyźni jak urodzajna gleba. Chciałam spruć ich uśmiech, zedrzeć go z ich twarzy i zawiesić na drzewie, tym samym, na którym oni chcieliby zawiesić wszystkich innych, nie takich jak oni.

Zdrowa tkanka społeczeństwa – patrzyłam na nią zawsze z dala, tak samo jak z dala ona patrzyła zawsze na mnie; nasze spojrzenia krzyżowały się w powietrzu jak stada opętanych ptaków. Marzyłam wtedy o tym, żeby wdrzeć się do ich położonych w dobrych dzielnicach domów, tych samych, w których uczyli się pogardy, podbiec do łóżeczek, w których śpią już ich dzieci, i jedno po drugim je udusić, jak odebrane matce kocięta. Marzyłam, by wdrzeć się do ich aut, w których siedzą, roześmiani, ustawieni jak do zdjęcia, jeden z nich na jeden skórzany fotel, i ukrećić na nich samych sznur z ich własnych ubrań, a potem wieszać ich na tych stuletnich drzewach rosnących wokół ich domów, skutecznie przesłaniających im na wszystko widok.

Teraz patrzyłam w ten ekran, na którym widniała jej twarz; jej nieruchome stalowe spojrzenie i wszystko inne prezentowało się tak jak zwykle: jej perfekcyjność, jej buta, jej pewność siebie przetykana tą udawaną troską, tym wypreparowanym miłosierdziem. Jej słowa brzmiały jak dźwięki orkiestry na nazistowskich paradach. Oto całe życie, którego w najmniejszym stopniu nie poznała, o którym mówi zaś, jakby przeszła je całe wzdłuż i wszerz, jakby przecięła je, jak przecina się brzuch patroszonej ryby – jakby naprawdę miała dostęp do wszystkich schowanych tam wnętrzości. Tymczasem nic o nim nie wie. Gdy wszyscy inni zaznawali życia, ona zaznawała jego lektury, martwe słowa, teoretyczne koncepty brała

za najwierniejsze odbicie życia, inną drogę odrzucała. Jej lektury, jej filozofowie – jej wątpliwy koncept przyswojenia wiedzy przez osmozę.

Twórcy teorii, twórcy teorii w wieżach z kości słoniowej – cennych i trwałych, choć powstałych z ofiar – imponowali jej, bo sama nie chciała stać się ofiarą, to, o czym czytała, to był już ten martwy słoń, z którego wykrojono kość, wystarczyło tylko po nią sięgnąć i nią handlować, zamiast od nowa urządzać polowanie. Nie była niczym więcej niż handlarką na targu idei, handlarką ideologicznym trupem.

Stała tam, za tą szklaną przegrodą, i coś mówiła. Patrzyłam na nią i wydawała mi się bliska myśliwemu na ambonie – stała tam, doskonale oddzielona od tego, co mogłoby ją dosięgnąć, doskonale wyniesiona ponad innych, którzy przecież nie mieli żadnych szans, by się z nią zmierzyć, i wskazywała palcem swe nieświadome ofiary, mówiąc: ten, ta, tamten. Kiedy jej ideologiczny śrut dziurawił obce ciała, była nieobecna, oddalona od nich niby tajemny bóg lasu, okrutny i niewidoczny. A później pozwalała, by znoszono martwe ciała, sarny, jelenie i bażanty, znoszono je na wielki stos, którego z daleka doglądała, niewzruszona jak grecki posąg. I kiedy zabici mówili „zabiliście nas”, wydawało się, że odpowiada obojętnie „dawno już nie żyliście, bo ci, co nie mają głosu, nie przeżyją”. Dawno już więc byliście martwi, przychodzicie na świat jako trupy, z wyrwanym językiem, z wielką wyjącą dziurą po języku, który my mamy w rękach, triumfalnie nim powiewamy wam przed oczami, podrzucamy go do góry, nie pozwalając, by spadł na podłogę, na której klęczycie. Tacy jak wy, niemi, zawsze zginą w zetknięciu z wyposażonymi w język. Wasza sprawa od początku należała do przegranych. Lepiej by dla was było, gdybyście nigdy się nie urodzili, dobrze wam radzę: nigdy więcej się nie rodźcie.

Nie mogłam już tego znieść. My też jesteśmy częścią tego świata – szeptałam w myślach, patrząc jej w twarz. My też jesteśmy częścią tego świata – myślałam i rósł we mnie potencjał kamienia. Też nią jesteśmy, tak samo jak brunatne ślepe dżdżownice toczące tunele w jelitach ziemi. Jak

ćmy o burych skrzydłach, brzydkie, niezdarne, nie bardzo umiejące latać, ćmy, które wpadają na stare lampy i w nich płoną. Jak psy bez sierści przypominające przedwcześnie urodzone płody.

A teraz, kiedy mówicie tyle o swojej odpowiedzialności, powiem wam jedno – rzeczywiście jesteście odpowiedzialni. Pierdoleni *public intellectuals* i wam pokrewni, stacjonujący wszędzie tam, gdzie możemy was zobaczyć, ale już nie dotknąć, stacjonujący za ekranami, za kuloodpornymi szybami oraz w domach za świerkami, odgradzeni ode mnie, od nas, pasmem nocnej ciszy, którą przeciąć może jedynie zamocowany w waszych drzwiach sygnał alarmu – jesteście odpowiedzialni za moją nienawiść. Weźcie ją całą do rąk, rozwińcie ją niczym harmonijkę z papieru, niech spadnie wam pod nogi – cała zapisana moim koślawym pismem.

Patrzę na was i chce mi się rzygać. Patrzę na was i czuję tylko nienawiść, nienawiść obłą jak czyjeś ciało, które teraz chcę wam rzucić pod nogi.

VII

Zacząłam umierać we wtorek, pierwszego listopada, parę minut po dwudziestej. Przeżyłam samą siebie. Moje życie wydawało mi się czymś w rodzaju przedmiotu już prawie przez kogoś nabytego, ale w ostatniej chwili zwróconego właścicielowi bez podania przyczyny. A może jednak istniała jakaś przyczyna. Taka, że teraz, tydzień później, we wtorek, ósmego listopada, byłam tak bardzo żywa, że mogłam ją zabić. Co prawda nie czułam się najlepiej. Gardło miałam pocięte przez zapowiedziane przez lekarza tortury – codzienne poszerzanie rany – twarz zacerowaną jak stara skarpetka, i gdyby nie leki, na pewno i dziś płonęłabym w gorączce. Ale to była moja jedyna szansa. Datę śmierci Alicji wyznaczył termin jej jedyne go w tym semestrze wykładu.

Pojechałam na uczelnię, usiadłam pod salą i czekałam.

Zajęcia się skończyły, ktoś otworzył drzwi do sali; tłum wychodzących z niej ludzi rozpierchł się po chwili jak stado przestraszonych kurczaków. Czekałam na nią; siedząc na korytarzu, widziałam, że już zbiera swoje rzeczy z katedry. Kiedy wyszła, ruszyłam za nią. Jej włosy były jak osobny wiatr, świszczący mi w twarz, nawet jej włosy ze mnie kpiły. Drzwi wiekowego budynku wypłuły nas obie jak niechętnie usta. Wyszłyśmy na zewnątrz i szłyśmy dalej, ja krok za nią, zaciskając pięści w kieszeniach. Aleje szumiały swoim rytmem, a nasz wyznaczany był przez stukot naszych butów po tych nagich ulicach. Kamień był biały i ostry, kiedy podnosiłam go z ziemi, dostrzegłam w pobliżu martwego, rozkładającego się już ptaka.

Podążałam za nią jak w transie. Doszłyśmy do bulwarów, patrzyłam na

nią, gdy szła przede mną, jej włosy to unosiły się, to opadały, wraz z podmuchami wiatru. Schowałam kamień w kieszeni i przyspieszyłam kroku, a ona jakby go spowolniła; dzieląca nas odległość nie była już tak duża, gdybym chciała, mogłam właściwie poczuć jej zapach, a oddychałam spokojnie, jakbym ściśle odmierzała dawki powietrza – moja nienawiść była ciałem stałym, jak ten kamień. I kiedy, czując jego ciężar w ręce, stanęłam tuż za nią, w odległości kilku metrów, nagle zastygłam. Zacisnęłam go w dłoni, niemal kalecząc palce, i zrozumiałam, że tylko on był ciężarem na moją miarę. Niewiele ważył, jak i ja sama niewiele ważyłam, tkwiąc tu, pośród rozhulanych drzew, w pobliżu rzeki, która toczyła się przez miasto jak ciężkie ciało, i całej reszty: domów, ulic, ogrodów oraz ludzi – zamykającej się teraz nade mną jak skrzydła, jednocześnie marne i władcze.

Patrzyłam na nią, wolno odchodzącą, jej sylwetka nikła w przestrzeni, zagarniała ją odległa przestrzeń, zagarniały ją drzewa. Powoli stawała się tylko odległym punktem, który z każdą sekundą coraz bardziej znikał mi z oczu, ginął za horyzontem. Nie ruszyłam się jednak, pozwoliłam jej się oddalać. Trwało to bardzo długo, miałam wrażenie, że tkwię tam całą wieczność, sama zmieniając się w jeden z leżących na ziemi kamieni, zastygłych, nieruchomych, martwych. Stałam i patrzyłam, jak wszystko to, czego chciałam, nieubłaganie odchodziło, aż całkiem przepadło. Miało w tym wprawę.

W książce wykorzystano cytaty z następujących źródeł:

Czesław Miłosz, *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky, dajmy na to w Minneapolis*, w: tegoż, *To*, Kraków 2000, s. 23.

William Szekspir, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, w: tegoż, *Tragedie*, Warszawa 1973, s. 738.

Podziękowania

Robię to – zamieszczam w książce podziękowania, bo tym razem naprawdę mam za co dziękować.

Dziękuję Wydawnictwu Znak za cierpliwość, wyrozumiałość i profesjonalizm.

Dziękuję wszystkim tym, którzy pozwolili mi przetrwać ostatnie dwa lata, które określiłabym jako – delikatnie mówiąc – męczące.

Po pierwsze kochanej Rodzinie.

Poza tym przyjaciółom: Magdzie Durak, Agnieszce Wojciechowskiej, Oldze Surmie, Eugeniuszowi Twarogowi, Piotrowi Jaworowi, Bartkowi Grzeskiemu. Marcinowi Wawro, Adze Binkul, Iwonie Brych, Verze Piskorz – za mega wsparcie pod każdą postacią.

Magdzie Miecznickiej i Malwinie Wapińskiej dziękuję nie tylko za wsparcie, ale i za uwagi do książki. Za te ostatnie dziękuję też Piotrowi Kofcie.

Za wspólne smęcenie o literaturze dziękuję Maćkowi Płazie, a za słowo otuchy przed premierą Magdzie Lankosz.

Macieju Kałużo – jeśli przeczytasz tę książkę, prędko zorientujesz się, że ukradłam Ci parę facebookowych wypowiedzi. Co zrobić, skoro były takie zabawne!

Jeśli książka zostanie uznana za okropną, to wybaczcie, że w niej jesteście!

Spis treści

Karta tytułowa

Część I

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Część II

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Część III

Rozdział I

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Patrycja Pustkowiak

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia na okładce

Copyright © Lidia Vives/Arcangel

Redakcja

Anna Mirkowska

Opieka redakcyjna

Anna Niklewicz

Agata Pieniążek

Korekta

Małgorzata Kuśnierz

Katarzyna Onderka

ISBN 978-83-240-4863-2



Nagroda
im. Adama Włodka

Książka powstała dzięki Nagrodzie im. Adama Włodka przyznanej przez
Fundację Wisławy Szymborskiej

znak *litera
nova*

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek